cena 12 PLN (w tym 8% VAT) www.panstwo.net indeks 211060 #191 05/2022

Piotr Lisiewicz
POLAK W MOSKWIE, CZYLI ZUCHWAŁY WYPAD

Grzegorz Wierzchołowski
DLACZEGO ZAMORDOWANO LECHA KACZYŃSKIEGO? MOTYWY ZAMACHOWCÓW W RAPORCIE SMOLEŃSKIM

NIEZALEŻNA MIESIĘCZNIKA POLSKA

NOWE PAŃSTWO

STRASZAK MASOWEGO RAŻENIA

ILUSTRACJA MARIUSZ TROLIŃSKI STUDIO, FOT. WIKIPEDIA, ADOBE STOCK (2)

ISSN 1895-4960

eprasa.pl d1d189da9f

TEMAT NUMERU ▼ 4–19

Atomowe bankructwo Rosji / 4

KRAJ ▼ 20–29

Dlaczego zamordowano Lecha Kaczyńskiego?... / 20

IDEE ▼ 30–47

Rosja w objawieniach fatimskich / 30

HISTORIA ▼ 48–67

Polak w Moskwie, czyli zuchwały wypad / 48

ŚWIAT ▼ 74–97

Tutaj umiera się po cichu / 74

Spis treści

TEMAT NUMERU

Piotr Grochmalski
Atomowe bankructwo Rosji /4

Antoni Rybczyński
Broń pod przykryciem. Od Lenina do Putina /14

Ryszard Czarnecki
ABC, czyli wojna totalna /19

KRAJ

Grzegorz Wierzchołowski
Dlaczego zamordowano Lecha Kaczyńskiego? Motywy zamachowców w raporcie smoleńskim /20

Grzegorz Wszołek
Klub Wałdajski, czyli pożyteczni idioci Putina /26

IDEE

Tomasz Łysiak
Rosja w objawieniach fatimskich /30

Ewa Polak-Pałkiewicz
„Żegnajcie, chachły!", czyli skąd wziął się żal w dumce kozackiej /36

Krzysztof Karnkowski
Z kamerą na tułaczce lub w rosyjskim sklepie /42

Leszek Galarowicz
Co w nas pozostało z nauczania Jana Pawła II? /44

Małgorzata Matuszak
Człowiek z sercem świni /46

HISTORIA

Piotr Lisiewicz
Polak w Moskwie, czyli zuchwały wypad /48

Dariusz Jarosiński
Józef Mackiewicz. Pisarz zdradzonych /54

Agnieszka Kowalczyk
Rosja w pismach Józefa Piłsudskiego /60

Paul Kengor
Religijność Reagana a zwycięstwo w wyścigu zbrojeń /66

ŚWIAT

Stefan Czerniecki
Tutaj umiera się po cichu /74

Hanna Shen
Bohaterowie wolności /82

Olga Doleśniak-Harczuk, Antoni Opaliński
Księżniczka, wybory i uśmiech apostoła /86

Hanna Shen
Tak minął miesiąc w Azji /92

oprac. Antoni Rybczyński
„Nowiczok" majora Pietrenki. Jak żyją ofiary sowieckich eksperymentów na ludziach /94

eprasa.pl d1d189da9f

Stałe rubryki

Katarzyna Gójska
Piekielne oblicze moskiewskiego prawosławia
NA POCZĄTEK 3

Krzysztof Wołodźko
Gra złudzeń. Jak Putin i KGB oszukali Zachód
DZIENNIK LEKTUR 68

Małgorzata Matuszak
Czym jest... nienawiść
KATECHIZM INTELIGENTA 72

Marek Kalinowski
Jaka piękna katastrofa
DO GRAJĄCEJ SZAFY... 73

Ryszard Czarnecki
Bucza, Irpień, Kijów. Dziennik podróży
CZARNECKO TO WIDZĘ 89

Olga Doleśniak-Harczuk
Portret upadłej cesarzowej
Z GLOBALNEGO TYGLA 90

Marcin Wolski
Okrucieństwo
PAPKULTURA 98

Tomasz Sakiewicz
Symbole Rosji jak symbole nazizmu
OSTATNIE SŁOWO 99

miesięcznik
WYDAWCA
SŁOWO NIEZALEŻNE Sp. z o.o.
REDAKCJA
02-056 Warszawa
ul. Filtrowa 63/43
e-mail: redakcja@niezalezna.pl
www.panstwo.net

NIEZALEŻNA GAZETA POLSKA
NOWE PAŃSTWO

ZESPÓŁ
Ryszard Czarnecki, Stefan Czerniecki, Olga Doleśniak-Harczuk (z-ca redaktora naczelnego), Bogusław Dopart, Katarzyna Gójska (redaktor naczelny), Dariusz Jarosiński, Dorota Kania, Piotr Lisiewicz, Ewa Polak-Pałkiewicz, Małgorzata Matuszak, Tomasz Sakiewicz, Hanna Shen, Bohdan Urbankowski, Jerzy Urbanowicz, Andrzej Waśko, Grzegorz Wierzchołowski, Marcin Wolski

SEKRETARZ REDAKCJI
Martyna Hajdo-Trolińska

DYREKTOR WYDAWNICZY
Tomasz Sakiewicz

PROJEKT GRAFICZNY
Mariusz Troliński

DTP
Aleksander Razcwarkow

KOREKTA
Maria Fijołek, Irena Biśta-Kanciała

INFORMACJA O PRENUMERACIE
www.prenumerata.swsmedia.pl
prenumerata@swsmedia.pl
tel. 605 900 002
NUMER KONTA DLA PRENUMERATORÓW

NIEZALEŻNE WYDAWNICTWO SP. Z O.O.
BANK PEKAO SA
82 1240 5963 1111 0010 3867 3017
(przelew z zagranicy SWIFT: PKOP PL PW)

DRUK **LOTOS POLIGRAFIA Sp. z o.o.**

Redakcja zastrzega sobie prawo do skracania i redagowania tekstów.
ISSN 1895-4960

Katarzyna Gójska

Piekielne oblicze moskiewskiego prawosławia

Maurycy Mochnacki pisał, iż w Rosji patriotyzmem jest postawa niewolnicza. Moskiewskie prawosławie ma w tym strasznym zjawisku swój niezwykle wydatny udział, jego tradycją jest rugowanie poczucia własnej odrębności i wartości jednostki, tępe i prymitywne zmuszanie wiernych do bezgranicznej uległości wobec władzy, zabijanie w nich pragnienia samodoskonalenia.

Nie sposób nie dostrzec straszliwej roli – wręcz piekielnej – jaką odgrywa moskiewskie prawosławie w wojnie na Ukrainie. Uzasadnienie i rozgrzeszenie dla barbarzyństwa, a nawet zachęcanie do niego to przekaz, jaki płynie ze świątyń religii, która z nauką Jezusa Chrystusa nie ma nic wspólnego. Nawet więcej – jest zaprzeczeniem Ewangelii. Nie mam na myśli zwykłych wiernych, bo zakładam, iż wśród nich mogą być osoby szczerze wierzące. Ale jako instytucja – a może nawet więcej: niemal jako całość – prawosławie w wersji moskiewskiej nie jest chrześcijaństwem. Gdy spojrzymy w daleką przeszłość tej instytucji, sięgając do czasów carów moskiewskich, dostrzeżemy, iż jej dzisiejsze zaangażowanie w zdziczałą politykę Federacji Rosyjskiej jest czymś wręcz naturalnym. Ta część Kościoła Wschodniego od wieków służyła różnym odmianom władzy rosyjskiej do terroryzowania poddanych, budowania w rosyjskim społeczeństwie postawy niewolniczej i stania na straży ciemnoty. Maurycy Mochnacki pisał, iż w Rosji patriotyzmem jest postawa niewolnicza. Moskiewskie prawosławie ma w tym strasznym zjawisku swój niezwykle wydatny udział, jego tradycją jest rugowanie poczucia własnej odrębności i wartości jednostki, tępe i prymitywne zmuszanie wiernych do bezgranicznej uległości wobec władzy, zabijanie w nich pragnienia samodoskonalenia. Sceny, które widzieliśmy w Buczy, Irpieniu czy w końcu w Mariupolu, doskonale opisują mentalność sprawców – Rosjan. Ludzi bez sumień, bez wartości, bez kultury rozumianej jako kanon zachowań i postaw służących dobru. Ludzi stworzonych również przez moskiewskie prawosławie i błogosławionych przez jego duchowych przywódców. Zdążyliśmy już zapomnieć o zbrodniczej naturze Rosjan. Być może część z nas uznała, że to społeczeństwo – dzięki większej otwartości na świat zachodni – zmieniło się, ucywilizowało. Ale dziś widzimy skrępowane ciała Ukraińców, słyszymy relacje matek opowiadających światu o tragedii swych gwałconych dzieci, przyglądamy się zdjęciom przedszkolaków z Mariupola z napisanymi na plecach imionami, nazwiskami, datami urodzenia, danymi rodziców – i widzimy, że to wszystko były mrzonki. Rosjanie mogą podróżować po świecie, mogą wygrzewać się pod palmami, paradować w markowych ubraniach i trzymać w rękach najnowsze modele smartfonów, a i tak pozostaną barbarzyńcami – zdolnymi do zbrodni tak potwornych, że aż przyprawiających o mdłości. Te bestie wypuszczone na ulice ukraińskich miast, miasteczek i wiosek nie są marginesem rosyjskiego społeczeństwa. Są jego reprezentacją. ■

ROSJANIE MOGĄ PODRÓŻOWAĆ PO ŚWIECIE, MOGĄ WYGRZEWAĆ SIĘ POD PALMAMI, PARADOWAĆ W MARKOWYCH UBRANIACH I TRZYMAĆ W RĘKACH NAJNOWSZE MODELE SMARTFONÓW, A I TAK POZOSTANĄ BARBARZYŃCAMI – ZDOLNYMI DO ZBRODNI TAK POTWORNYCH, ŻE AŻ PRZYPRAWIAJĄCYCH O MDŁOŚCI.

eprasa.pl d1d189da9f

Piotr Grochmalski

Atomowe bankructwo Rosji

Zawarte w rosyjskiej doktrynie wojskowej określenie o dopuszczalności użycia broni jądrowej jako środka odwetu jest wykorzystywane przez Moskwę jako element politycznej presji na Zachód. Ma wywoływać niepokój co do intencji Putina i jego gotowości do zastosowania taktycznych ładunków termojądrowych.

ILUSTRACJA MARIUSZ TROLIŃSKI STUDIO, fot. WIKIPEDIA, ADOBE STOCK (2)

eprasa.pl d1d189da9f

eprasa.pl:d1d189da9f

Po klęsce w bitwie kijowskiej, największej, jakiej doznali Rosjanie od zakończenia II wojny światowej, zatopienie 13 kwietnia „Moskwy" (flagowego krążownika rakietowego) przez rakiety Neptun ukraińskiej produkcji, ma symboliczną moc, moralnie druzgocącą mit potęgi Imperium Zła. To także rozbicie całej propagandy kremlowskiej i pokaz skuteczności ukraińskich technologii. I przypomnienie, że w wielkich, ukraińskich zakładach Jużmasz, w czasach sowieckich, produkowane były rakiety balistyczne SS-18, które stanowiły podstawę strategicznego arsenału nuklearnego Związku Sowieckiego. Ale kolejne klęski, ponoszone przez barbarzyńską armię Putina, wywołują zaniepokojenie, czy Kreml dla złamania Ukrainy nie użyje arsenału masowego rażenia (ABC – atomowego, biologicznego, chemicznego).

Fundament nuklearnego odstraszania

Dmitrij Pieskow, rzecznik Putina, 23 marca w rozmowie z CNN nie chciał wykluczyć możliwości sięgnięcia przez Rosję po broń jądrową w trakcie prowadzonej przez Moskwę wojny. Stwierdził, że może ona zostać użyta, jeśli kraj stanie w obliczu „egzystencjalnego zagrożenia". W odpowiedzi rzecznik Pentagonu, John Kirby, powiedział, iż „Odpowiedzialne mocarstwo nuklearne nie powinno się tak zachowywać". Ale takie wypowiedzi ujawniały skalę frustracji na Kremlu i spowodowały, że Biały Dom zaczął opracowywać mapę, w jaki sposób mógłby zareagować, gdyby Rosja użyła broni masowego rażenia. Już w fazie poprzedzającej agresję Putin dał czytelny sygnał, uczestnicząc, razem z Łukaszenką, w ćwiczeniach arsenału nuklearnego FR. Miało to wywołać presję na Waszyngton, aby trzymał się z dystansem wobec działań Rosji na Ukrainie. Zachód nie dał się zastraszyć. Takie działania Kremla jeszcze bardziej przyspieszyły dostawy amerykańskiej broni dla Kijowa. W szybkim tempie skutecznie uzupełniły one potencjał obronny Ukrainy. Ale – według przewidywań zarówno rosyjskich, jak i zachodnich – Rosja miała odnieść szybkie zwycięstwo. Waszyngton spodziewał się, że konflikt przekształci się później w długotrwałą wojnę partyzancką. Jednak ukraińskie wojska w polu, pod Kijowem, pokonały rzekomo drugą armię świata. Spowodowało to rosnącą frustrację na Kremlu. Równocześnie na Zachodzie tysiące analityków skupiło się na poszukiwaniu odpowiedzi na pytanie, jak blisko, w obliczu kolejnych porażek, jest Rosja do użycia swojego arsenału atomowego i jakie byłyby tego skutki. W trakcie drugiego konfliktu globalnego USA w 1945 roku zrzuciły dwie bomby atomowe na japońskie miasta Hiroszimę i Nagasaki, równając je z ziemią i zabijając tysiące ludzi.

W lipcu 1945 roku William Bradford Shockley (który dwa lata później razem z Johnem Bardeenem i Walterem Brattainem zbudują pierwszy tranzystor, za co w 1956 roku otrzymają Nobla) przygotował tajny raport dla amerykańskiego Departamentu Obrony. Dotyczył oceny strat w razie inwazji USA na Japonię: „[...] będziemy musieli prawdopodobnie zabić co najmniej od 5 do 10 mln Japończyków. To może nas kosztować od 1,7 do 4 mln ofiar, w tym 400 000 do 800 000. zabitych". Ta analiza miała istotny wpływ na decyzję zrzucenia bomb atomowych na Hiroszimę i Nagasaki, co złamało Japończyków i doprowadziło do podpisania przez cesarza Hirohito bezwarunkowej kapitulacji. Od zakończenia II wojny światowej żadne państwo nigdy nie użyło później broni atomowej na polu walki. Ale stała się ona fundamentem nuklearnego odstraszania. Uznano bowiem, że w konflikcie atomowym nie będzie zwycięzców. Według danych Arms Control Association Rosja ma obecnie największy na świecie arsenał strategicznej broni atomowej z około 6257 głowicami nuklearnymi, wobec 5550 głowic, jakimi dysponują Stany Zjednoczone. Wyposażone są w nią okręty podwodne, bombowce i międzykontynentalne pociski balistyczne. Nina Tannenwald z Brown Uniwersity, autorka głośnej w USA książki o odstraszaniu atomowym, zauważa, iż „Strategiczna broń nuklearna to pogromcy wielkich miast... To są niewiarygodnie niszczycielskie bronie. Gdybyśmy weszli w wojnę nuklearną z bronią strategiczną, byłby to zasadniczo koniec cywilizacji w obu krajach".

WSZYSCY OBECNI DOWÓDCY ROSYJSKICH OKRĘGÓW WOJSKOWYCH, A TAKŻE DOWÓDCY ROSYJSKICH SIŁ POWIETRZNYCH I FORMACJI POWIETRZNO-DESANTOWYCH ODBYLI CO NAJMNIEJ JEDNĄ SŁUŻBĘ W SYRII JAKO SZEFOWIE SZTABU LUB DOWÓDCY KONTYNGENTU.

eprasa.pl d1d189da9f

Taktyczne zabawki nuklearne Putina

Byłoby to samobójstwo dla Rosji. Jest więc wysoce mało prawdopodobne, aby Putin w trakcie obecnej wojny zdecydował się na taki krok. Pewien niepokój może natomiast budzić taktyczna broń jądrowa (Tactical Nuclear Weapon – TNW), jaką posiada FR. Jest to broń krótkiego zasięgu, nieprzekraczającego 500 km, zdolna do przenoszenia ładunków nuklearnych i jest przeznaczona do bezpośrednich działań bojowych. Kreml nie podaje, jakimi dysponuje zasobami TNW, ale fachowcy oceniają, że może on liczyć od 1 tys. do 4 tys. jednostek. Moc tych ładunków mieści się od 10 kiloton do 1 megatony („Little Boy" zrzucony na Hiroszimę 6 sierpnia 1945 roku miał moc rażenia 15 kiloton). Według danych przedstawionych w 2011 roku przez Jamesa Millera, zastępcę sekretarza obrony ds. strategii w ekipie prezydenta Obamy, Rosja posiadać miała wówczas od 2 tys. do 4 tys. głowic taktycznych, z których 174 jest na wyposażeniu wojsk lądowych, a to one głównie realizują agresję na Ukrainę. Większość, 150 ładunków, wykorzystuje jako nośnik zestawy rakietowe SS-21 Toczka, a pozostałe 24 przenoszone są przez SS-26 Iskander. Dwie rakiety Toczka U, o zasięgu do 120 km, z konwencjonalną głowicą kasetową 9N123K, uderzyły w dworzec kolejowy w Kramatorsku, zabijając 52 osoby cywilne, w tym kobiety i czworo dzieci. Ponad 100 osób zostało ciężko rannych. W chwili ataku na dworcu znajdowało się ponad 4 tys. ludzi. Gdyby głowica zawierała taktyczny ładunek jądrowy, zniszczeniu uległoby niemal całe 200-tysięczne miasto. W chwili ataku w Hiroszimie przebywało w mieście ponad 370 tys. ludzi. 9K720 Iskander M ma zasięg do 500 km, ale system może być wykorzystywany dla pocisków manewrujących Kalibr o zasięgu przekraczającym 2 tys. km. Rosja użyła dotąd przeciw Ukrainie ponad 1300 pocisków balistycznych i manewrujących. Największą liczbą TNW, ponad 730, dysponują jednak siły powietrzne, w tym głównie bombowce Su-24 M, na wyposażeniu których jest 260 taktycznych ładunków nuklearnych, i Tu-22M3, które dysponują 140 bombami AS-4 (to pocisk przeciwokrętowy dalekiego zasięgu sowieckiej konstrukcji, dzieło Biura Projektowego Raduga z Dubnej pod Moskwą i służący do niszczenia lotniskowców) i Raduga Ch-15, rakieta o zasięgu do 150 km. Także Su-34 przystosowany jest do przenoszenia bomb z TNW. Marynarka wojenna dysponuje ponad 700 taktycznymi ładunkami termojądrowymi, a wojska obrony powietrznej, antyrakietowej i wybrzeża – 430 głowicami TNW. Łącznie to ogromny arsenał, który może być zastosowany przez Rosję na linii frontu, aby przełamać pozycje ukraińskie. Część zachodnich ekspertów uważa, iż na pokładzie krążownika „Moskwa", trafionego i zatopionego przez dwie ukraińskie rakiety Neptun, mogły znajdować się głowice TNW. Ta flagowa jednostka Floty Czarnomorskiej posiadała 16 rakiet P-1000 Wulkan, z których kilka mogło być uzbrojonych w głowice atomowe o mocy do 350 kiloton.

Relikt zimnej wojny w rękach „rzeźnika z Aleppo"?

Ta ogromna liczba rosyjskich głowic TNW i ich bardzo zróżnicowana moc rażenia może kusić sztab Gierasimowa, który doświadcza kolejnych spektakularnych porażek podczas ukraińskiej wojny, do której przygotowywał armię od momentu, gdy Szojgu postawił na niego w 2012 roku. Starannie dobrał kadrę. Szczególnie liczył na gen. Czajkę, którego formacje 35. i 36. Armii uderzyły wzdłuż Dniepru, by oskrzydlić Kijów od zachodu i północy. Czajko, pancerniak, trzykrotnie wysłany był przez Gierasimowa do Syrii. Był szefem sztabu pierwszego kontyngentu rosyjskiego w 2015 roku, a w ostatniej fazie przygotowań do agresji na Ukrainę dowodził rosyjskim wojskiem w Syrii w latach 2020–2021. Wszyscy trzej kluczowi dowódcy pierwszej fazy wojny – Żurawlow, Czajko i Dwornikow – dowodzili w Syrii. Ten ostatni miał swój cichy udział w użyciu, w sierpniu 2013 roku w Syrii, przez Asada, sarinu – broni chemicznej. W Ghucie ostrzelano skupiska ludzi 40 rakietami z głowicami wypełnionymi sarinem. Miało zginąć nawet 1338 osób. Dwornikow, gdy oficjalnie objął dowództwo nad pierwszym rosyjskim kontyngentem w Syrii we wrześniu 2015 roku, miał za sobą już doświadczenia pacyfikowania Czeczenii z wykorzystaniem rakiet termobarycznych i bomb kasetowych. Gierasimow uczynił z Syrii poligon doświadczalny dla przyszłej agresji na Ukrainę. Wszyscy obecni dowódcy rosyjskich okręgów wojskowych, a także dowódcy rosyjskich sił powietrznych i formacji powietrzno-desantowych odbyli co najmniej jedną służbę w Syrii jako szefowie sztabu lub dowódcy kontyngentu. Dowódca Zachodniego Okręgu Wojskowego, gen. Aleksander Żurawlow, i szef Wschodniego OW, gen. Aleksander Czajko, przez dwie tury byli w Syrii, każdy spędził tam niemal dwa lata. Ale Dwornikow był tym, który wyznaczył, jako pierwszy, ramy organizacyjne i zasady pacyfikowania miast i zabijania ludności. Przez zachodnie media, za przeprowadzane mordy na masową skalę, został nazwany „rzeźnikiem z Aleppo".

Gierasimow chciał mieć armię gotową do pacyfikacji Kijowa i innych ukraińskich miast. Wzorem

eprasa.pl d1d189da9f

miało być okrucieństwo Dwornikowa. Na ostatniej prostej przed przygotowaniami do agresji na Ukrainę Putin awansował go, 23 czerwca 2020 roku, na stopień generała armii. Stał się najwyższym rangą dowódcą rosyjskiego okręgu wojskowego i oczywistym kandydatem, obok dowódcy Sił Powietrzno-Kosmicznych, gen. armii Siergieja Surowikina, na sukcesję po Gierasimowie, jako przyszły szef rosyjskiego Sztabu Generalnego. Musiał jednak na to zasłużyć. 10 kwietnia objął dowództwo nad całą wojną, ale już trzy dni później stracił krążownik „Moskwa". To, co robił w Aleppo, stosuje teraz w Mariupolu – mord ludności cywilnej na masową skalę. Ale to nie od niego zależy ewentualne użycie na polu walki taktycznej broni atomowej – byłby to krok polityczny o trudnych do przewidzenia konsekwencjach dla Moskwy. Paradoksalnie TNW opracowano w czasach zimnej wojny po to, aby zwiększyć siłę odstraszania nuklearnego. Obie strony miały świadomość, że wzajemne użycie potężnych ładunków atomowych, służących do niszczenia wielkich miast, doprowadziłoby do koszmarnej samozagłady. To z kolei prowadziło do przeświadczenia, że nie zostaną one użyte ze względu na skalę ich destrukcji. Stały się więc przez to mniej wiarygodne jako mechanizm odstraszania. Dlatego wymyślono ładunki o radykalnie mniejszej mocy. Jak zauważa Nina Tannenwald z Brown University: „Argument brzmiał: jeśli masz tę mniejszą, mniej niszczycielską broń nuklearną, groźba jej użycia byłaby bardziej wiarygodna, ponieważ są mniej niszczycielskie, a zatem odstraszanie byłoby silniejsze". Dziś jednak wzrosło ryzyko ich realnego użycia, bowiem „wydają się one bardziej użyteczne i stąd bardziej prawdopodobne jest, że przywódcy mogliby po nie sięgnąć w czasie kryzysu". Paweł Podvig, wybitny ekspert od rosyjskiego potencjału nuklearnego, zauważa, że na współczesnym polu bitwy jest bardzo niewiele scenariuszy taktyczno-operacyjnych, w których może mieć praktyczne zastosowanie taktyczna broń jądrowa wytwarzająca ogromną moc – co najwyżej może być wykorzystana do niszczenia na przykład budowli podziemnych czy bunkrów. Jego zdaniem ważniejszy jest jednak efekt psychologiczny – możliwość wywołania paniki, ale z drugiej strony może to prowadzić do niebezpiecznej eskalacji konfliktu.

▶ Brudna broń radiologiczna Putina

Ale Rosja otwarcie, niemal od początku agresji, testowała inny wariant – ataku radiologicznego jako prowokacji, która miałaby spowodować panikę wśród ludności i załamać determinację wojsk ukraińskich. Była elementem szatańskiego planu Kremla, którego celem było wypchnięcie poza granice napadniętego państwa milionów obywateli trudnych do rusyfikacji. Ta wielka ludzka fala miała równocześnie zdestabilizować NATO-owskie państwa graniczące z Ukrainą. Putinowskie media tworzyły od początku atmosferę zastraszenia ewentualnym skutkiem „katastrofy" reaktora lub rozszczelnienia sarkofagu elektrowni czarnobylskiej. Analitycy Institute for the Study of War (ISW) zwracali uwagę, iż „Kreml mógłby spowodować celową katastrofę radiologiczną lub użyć własnej broni radiologicznej, aby fałszywie obwinić Ukrainę za użycie »brudnej bomby« lub innego ataku radiologicznego". Ta zwana brudna bomba nie jest klasycznym ładunkiem nuklearnym, ale zawiera materiał rozszczepialny, który – w wyniku eksplozji zwykłego ładunku – „zanieczyszcza" radiologicznie przestrzeń. Nie ma więc reakcji łańcuchowej wyzwalającej ogromną energię, lecz jest za to efekt napromieniowania znacznej przestrzeni. Jak zauważają analitycy ISW: „Tradycyjna bomba atomowa może napromieniować tysiące mil kwadratowych. Brudna bomba może natychmiast napromieniować nie więcej niż kilka mil kwadratowych, chociaż materiał radioaktywny może być dalej rozpraszany, jeśli nieumyślnie zostanie przeniesiony przez uciekających ludzi".

Podczas I wojny czeczeńskiej formacje specjalne armii Dudajewa przeniosły do centrum Moskwy cylinder z materiałem rozszczepialnym, a następnie przekazano informację rosyjskim władzom i mediom o jego lokalizacji. Brudnej bomby nie odpalono, lecz wywołała ona swój efekt odstraszający. Rosyjskie służby wywiadowcze wielokrotnie w przeszłości rozważały możliwość użycia brudnej bomby przeciw państwom zachodnim. Zabicie w 2006 roku w Wielkiej Brytanii Aleksandra Litwinienki, byłego agenta KGB, pułkownika FSB, z wykorzystaniem izotopu polonu 210, było aktem agresji na obce państwo z wykorzystaniem materiału rozszczepialnego. W ukraińskiej wojnie jednym z długofalowych celów jest dokonanie ogromnych czystek etnicznych i trwałe zniszczenie narodowej tkanki. Sama chęć użycia brudnej bomby poprzez walki wokół sarkofagu w Czarnobylu i ostrzelanie przez Rosję, 3 marca, największej elektrowni atomowej w Zaporożu, zwiększyło liczbę ludzi, którzy zdecydowali się opuścić Ukrainę. Analitycy ISW zwracają uwagę, iż „zasadniczym celem użycia materiału radiologicznego w brudnej bombie jest wywołanie masowej paniki, a nie masowych ofiar". Podkreślają, iż „Użycie przez Rosję brudnej bomby w połączeniu ze skuteczną operacją informacyjną, obwiniającą o to Ukrainę lub NATO, mogłoby pomóc Putinowi w uzasadnieniu zwiększonych żądań wobec własnej ludności, aby

eprasa.pl d1d189da9f

wesprzeć nieudany wysiłek wojenny, a także możliwe eskalacje działań przeciwko Ukrainie".

Tuż przed wybuchem wojny, 16 lutego, komentator wojskowy „Krasnoj zwiezdy" Aleksiej Leonkow stwierdził, że Stany Zjednoczone w celu wywołania międzynarodowej prowokacji, uderzą w ukraińską elektrownię jądrową w Zaporożu. Zapowiadany scenariusz Rosja sama zrealizowała, a wówczas propaganda rosyjska oskarżyła o ten incydent armię ukraińską. Kreml od dłuższego czasu, w swoim przekazie skierowanym do Rosjan, podnosił rzekome zagrożenie związane z pracami Kijowa nad bronią atomową, co miało być niby wspierane przez USA. Otwarcie nawiązał do tego Putin w swoim przemówieniu 24 lutego przed agresją, gdy stwierdził, że Ukraina przygotowuje się do ataku nuklearnego na Rosję. Dzień później Siergiej Sawczuk w artykule na portalu Ria Nowosti podkreślił – według niego – kluczowe zdanie z wystąpienia Putina, że „Rosja nie może pozwolić Ukrainie na ponowne pozyskanie nawet taktycznej broni jądrowej i że Kijów jest dosłownie o krok od jej powstania". Był też na ostatniej prostej, zdaniem Sawczuka, w zbudowaniu „brudnej bomby". Odtąd często ten wątek będzie podnoszony przez proklemlowskie media jako uzasadnienie tezy, że Putin zapobiegł wybuchowi III wojny światowej. Ale, zdaniem Kremla, niebezpieczeństwo ma być nadal realne, bo rzekomo intensywne prace nad stworzeniem przez Ukrainę własnego arsenału nie ustają.

Rządowa, rosyjska agencja Interfax, opierając się na anonimowym źródle, podała 6 marca, że w tym celu wykorzystywana jest „strefa elektrowni jądrowej w Czarnobylu jako miejsca rozwoju broni jądrowej. To tam, sądząc po dostępnych informacjach, trwały prace zarówno nad produkcją brudnej bomby, jak i nad oddzieleniem plutonu". Według tego rzekomego źródła: „dodatkowo, w celu przyspieszenia prac badawczo-rozwojowych, na początkowym etapie pozyskiwano z zagranicy pluton o wymaganej jakości... Według dostępnych informacji Stany Zjednoczone przekazały już ten materiał swoim partnerom. Są powody, by sądzić, że w »sprawie ukraińskiej« nie obyło się bez udziału Waszyngtonu". W artykule, profesjonalnym produkcie FSB, tajemnicze źródło twierdziło, „że w ostatnich latach Ukraina zintensyfikowała geologiczną eksplorację głębokich warstw na terenie istniejących kopalń uranu, a także rozwój obiecujących złóż uranu, w szczególności w Nikołajewie, Dniepropietrowsku i Kirowogradzie". Z kolei w telewizyjnym programie „Wiesti Niedieli", który realizuje wytyczne kremlowskiej propagandy, tego samego dnia przekazany został fake news, że prezydent Zełenski miał zagrozić NATO, że dokona ataku nuklearnego, jeśli Sojusz nie rozpocznie interwencji przeciw Rosji. Tą kanonadę dezinformacyjną spiął w jedno przekaz dnia Putina, który 6 marca ostrzegł, że Rosja nie dopuści do tego, aby Zachód rozmieścił broń jądrową na Ukrainie. Taki krok byłby równoznaczny z delegitymizacją „ukraińskiej państwowości". Tego też dnia Rosjanie ostrzelali w Charkowie ośrodek badań fizyki eksperymentalnej, w którym znajduje się mały reaktor jądrowy, co zostało odebrane jako próba wywołania takiego incydentu radiologicznego, za który Putin mógłby obwiniać Ukrainę. Aby uwiarygodnić ten przekaz i wywołać rosnący niepokój NATO co do rzeczywistych intencji Rosji, 9 marca Aleksandr Szulgin, stały przedstawiciel FR przy Organizacji ds. Zapobiegania Broni Chemicznej (OPCW), stwierdził że Ukraina przygotowała „prowokację" w eksperymentalnym reaktorze jądrowym w Charkowie i że rosyjskie wojsko w ostatniej chwili zapobiegło ukraińskiemu sabotażowi w elektrowni atomowej w Zaporożu (w tej, którą Rosjanie ostrzelali).

Rosja otwarcie, niemal od początku agresji, testowała wariant ataku radiologicznego jako prowokacji, która miałaby spowodować panikę wśród ludności i załamać determinację wojsk ukraińskich.

▶ Broń biologiczna i chemiczna – straszak Kremla

Jeszcze przed agresją, 21 grudnia 2021 roku, na posiedzeniu Kolegium Ministerstwa Obrony z udziałem Putina, Siergiej Szojgu oskarżył USA i NATO

eprasa.pl d1d189da9f

o przygotowania do ataku chemicznego na enklawę separatystów w Donbasie. Odbierano to wówczas jako jasny sygnał, że Kreml przygotowuje prowokację, którą może wykorzystać do uzasadnienia swojej agresji. Propaganda rosyjska włożyła duży wysiłek w wykreowanie przekazu, że Ukraina, wsparta przez USA i NATO, planuje atak z użyciem broni chemicznej lub radiologicznej na enklawy separatystów. Od dawna rosyjskie społeczeństwo było zasypywane rzekomymi informacjami, że Sojusz i Stany Zjednoczone stworzyły całą sieć laboratoriów biologicznych i chemicznych, w których trwają przygotowania do zniszczenia Rosji. Gdy Londyn zdecydowanie wsparł Kijów w przygotowaniach do odparcia ewentualnej agresji i wysłał uzbrojenie, propaganda rosyjska oskarżyła także Wielką Brytanię, że przygotowuje się do ataku bronią chemiczną na Ługańsk i Donieck. W wojnie informacyjnej Kremla widać było, jak kolejne elementy zaczynają się zazębiać w budowaniu wśród Rosjan przekonania o rzekomo zbrodniczych przygotowaniach Zachodu do użycia śmiercionośnej broni przeciw rosyjskojęzycznej ludności cywilnej separatystycznych enklaw. Zaledwie dzień po przekazie Szojgu o bliskiej dacie amerykańskiego ataku, 22 grudnia 2021 roku, liderzy Doniecka i Ługańska oskarżyli USA o wysłanie toksyny botulinowej do Mariupola i Charkowa i równoczesne dostarczenie antidotum dla wojsk ukraińskich. Dwa dni później kremlowskie media obiegła rozmowa z byłym pracownikiem ukraińskiej Służby Bezpieczeństwa (SBU), który przeszedł na rosyjską stronę. Przekonywał, że armia ukraińska użyje broni chemicznej do atakowania ludności cywilnej, w tym szkół i szpitali w enklawach separatystów, aby potem przejąć nad nimi kontrolę. Na fali budowanej psychozy Denis Puszlin, lider donbaskich separatystów, zapowiedział 18 stycznia 2022 roku, że są przygotowani na atak chemiczny ze strony Kijowa. Twierdził też, że Ukraina przedstawi to wydarzenie na forum międzynarodowym jako uderzenie rosyjskiej armii, co będzie miało służyć usprawiedliwieniu wkroczenia sił ukraińskich do enklaw.

Zaledwie dwa dni później, 20 stycznia 2022 roku, rosyjscy deputowani Dumy spotkali się ze Stanisławem Zasem, sekretarzem kontrolowanej przez Rosję Organizacji Traktatu o Bezpieczeństwie Zbiorowym. Ten urodzony na Ukrainie białoruski generał, który od 2020 roku stoi na czele OUBZ, przyjął z zaniepokojeniem informacje o rzekomych amerykańskich laboratoriach biologicznych usytuowanych przy rosyjskiej granicy. To spektakularne spotkanie miało miejsce wówczas, gdy trwała interwencja wojsk rosyjskich w Kazachstanie, którą firmował OUBZ i gen. Zas. Gdy atmosfera coraz bardziej gęstniała, a Rosjanie coraz więcej jednostek wyprowadzali na pozycje wyjściowe do agresji, 10 lutego Siergiej Naryszkin, były szef kremlowskiej administracji, którego Putin mianował w 2016 roku na szefa Służby Wywiadu Zagranicznego, ogłosił, że USA finalizują prowokację z użyciem broni chemicznej, której celem ma być wschodnia Ukraina. Ta fala dezinformacji nabrała jeszcze przyspieszenia po rozpoczęciu 24 lutego przez siły rosyjskie agresji. Najpierw odpalił medialny atak resort obrony Szojgu, którego rzecznik prasowy, gen. Igor Konaszenkow, 6 marca stwierdził, że Rosja dysponuje dowodami potwierdzającymi finansowanie przez Stany Zjednoczone badań, prowadzonych rzekomo na Ukrainie, nad bronią biologiczną, które obejmują wirusy dżumy, cholery i bakterie wąglika, a także tularemii. Uwiarygodnił ten przekaz Igor Korniłow, który kieruje rosyjską obroną radiologiczną, chemiczną i biologiczną. Dzień po rzekomych sensacyjnych dowodach ukazanych przez Konaszenkowa, „ujawnił", iż – ze względu na postępy rosyjskich wojsk – Kijów podjął nerwowe decyzje o szybkiej likwidacji laboratoriów stworzonych przez USA we Lwowie, Charkowie i Połtawie, aby w ręce rosyjskie nie wpadły dowody na prowadzone w nich badania nad bronią biologiczną. Twierdził, iż zniszczone zasoby broni biologicznej obejmowały dżumę, wąglika, brucelozę, błonicę, salmonellozę, a także czerwonkę. Aby wywołać niepokój w ukraińskim społeczeństwie, przekonywał, że efektem tych badań był gwałtowny wzrost zachorowań Ukraińców na polio i odrę. W sytuacji, gdy nadal odczuwalne były skutki pandemii

Propaganda rosyjska włożyła duży wysiłek w wykreowanie przekazu, że Ukraina, wsparta przez USA i NATO, planuje atak z użyciem broni chemicznej lub radiologicznej na enklawy separatystów.

eprasa.pl d1d189da9f

COVID-19, takie działania Rosji miały z pewnością doprowadzić do paniki, spowodować głębokie podziały w społeczeństwie ukraińskim i zachwiać zaufanie narodu do prezydenta Zełenskiego.

Ale mogła być też głębsza przyczyna owych działań FR. Waszyngton obawiał się, że rosnąca frustracja Kremla brakiem sukcesów na wojnie może spowodować gotowość do użycia broni chemicznej lub biologicznej, aby złamać ducha ukraińskiej armii. Ten niepokój narastał, gdy przekaz rosyjski podchwycili Chińczycy. Następnego dnia po dezinformacji przekazanej przez Korniłowa, 8 marca 2022 roku, Zhao Lijian, rzecznik chińskiego MSZ, uwiarygodnił kłamstwo Kremla. Puścił w świat news, że Rosja jakoby znalazła laboratoria, które USA wykorzystywała do przygotowań biomilitarnych. Zhao, w dramatycznym apelu, wezwał Stany Zjednoczone do ujawnienia informacji o tym, co jest przechowywane i jakie badania są prowadzone w tych rzekomych obiektach wymyślonych przez Rosję. Posunął się nawet do żądania skierowanego, także do Rosji, o zapewnienie bezpieczeństwa dla tych, wymyślonych przez rosyjskie służby, laboratoriów. Ten przekaz z kolei wykorzystał jeden z kremlowskich ośrodków wojny propagandowej, kanał telewizyjny Russia Today, który zacytował chińską wypowiedź i umieścił ją w kontekście wcześniejszych przekazów rosyjskich o rzekomych przygotowaniach do ataku Zachodu z wykorzystaniem broni biologicznej. Aby jeszcze bardziej zagęścić atmosferę, Konaszenkow, rzecznik Szojgu, przekazał 9 marca rosyjskim mediom (w dniu, w którym Putin nagle „odkrył", że na froncie walczą też poborowi, co zabrania rosyjskie prawo, i wszczął w tej sprawie dochodzenie), że „ukraińscy nacjonaliści" dostarczyli 80 ton amoniaku do Złociwa, 10-tysięcznej osady położonej przy granicy z Rosją w obwodzie charkowskim i szkolą miejscową ludność, jak się zabezpieczyć przed skutkami ataku chemicznego, do którego, rzekomo, przygotowują się wojska ukraińskie. Prowokacja ta ma niby potem posłużyć oskarżeniu Moskwy o ten czyn.

Ale te działania potwierdzały frustrację Kremla wywołaną też przekazem dnia, jaki został zdominowany przez wyjaśnienia Wiliama Burnsa, szefa CIA, który po dwunastym dniu wojny, 8 marca, przedstawił amerykańskiej Komisji Wywiadu Izby Reprezentantów kluczowe błędy, jakie popełnił w swych kalkulacjach Putin, atakując Ukrainę. Najważniejszym było uznanie, że Ukraina „jest słaba i łatwa do zastraszenia", podczas gdy stawiła zaciekły opór. Co istotne – świat dostrzegł rażącą różnicę potencjału obu przywódców: Putin okazał się nieskutecznym, sfrustrowanym dyktatorem, podczas gdy prezydent Wołodymyr Zełenski „zademonstrował odważne i niezwykłe przywództwo". Burns powiedział, że Putin „był przekonany, że zmodernizował swoją armię i że jest ona zdolna do szybkiego, zdecydowanego zwycięstwa przy minimalnych kosztach". W rzeczywistości morale wśród rosyjskich żołnierzy jest niskie, a każde kolejne klęski pogłębiają ich frustrację. Burns zwrócił uwagę, że „Putin przez lata komentował prywatnie i publicznie, że nie wierzy, że Ukraina jest prawdziwym krajem. Myli się co do tego. Prawdziwe kraje walczą, i to właśnie Ukraińcy zrobili bohatersko w ciągu ostatnich 12 dni". Burns zauważył jednak, że obawia się, iż skala rosyjskich niepowodzeń spowoduje, że Putin „spróbuje zmiażdżyć ukraińskie wojsko, nie zważając na ofiary cywilne". Ta nagła eskalacja rosyjskich przekazów o broni biologicznej i chemicznej musiała wzbudzić czujność Zachodu. Tym bardziej, że Kreml starał się maksymalnie nagłośnić temat. Aleksandr Szulgin, stały przedstawiciel Rosji przy Organizacji ds. Zapobiegania Broni Chemicznej (OPCW), organizacji, która ma strzec przestrzegania Konwencji o zakazie broni chemicznej z 1997 roku, oświadczył 9 marca w Hadze, w siedzibie instytucji, że Rosja prześle materiały dokumentujące rosnące obawy Kremla przed rzekomym zagrożeniem wykorzystania broni chemicznej na Ukrainie. To jedynie zwiększało czujność Kijowa i Zachodu wobec planów użycia przez Rosję broni chemicznej.

▶ „Rzeźnik z Aleppo" w akcji

Zespół analityków Institute for the study of War stwierdzał, iż „nie ma powodu, by oceniać, że Kreml zamierza przeprowadzić atak biologiczny. Jest bardzo mało prawdopodobne, aby Rosja użyła zaraźliwej broni biologicznej ze względu na nieodłączne ryzyko dla jej własnych sił i ludności", ale równocześnie ostrzegał, że „Istnieje rozległy precedens wspierania przez Kreml ataków z użyciem broni chemicznej i oskarżania przeciwników o odpowiedzialność bez ponoszenia konsekwencji. Przeprowadzanie nielegalnych ataków chemicznych na ludność cywilną, a następnie obwinianie za te ataki bojowników opozycji stało się standardową częścią planu działania wspieranego przez Rosję reżimu syryjskiego. Rosyjskie media zwykle zapowiadają takie ataki, ostrzegając przed amerykańskimi lub opozycyjnymi planami ataków z użyciem broni chemicznej, tworząc w ten sposób warunki do obwiniania rosyjskich przeciwników, gdy przeprowadzają je siły wspierane przez Rosję". Amerykańscy analitycy zauważali, że „Kreml jest współwinny użycia broni chemicznej w Syrii, ale nie ma dowodów na to, że Rosja bezpośrednio przeprowadziła tam ataki z użyciem broni chemicznej. Jednak brak poważnych konsekwencji nałożonych na prezydenta Syrii Baszara al-Assada przez społeczność międzyna-

eprasa.pl d1d189da9f

rodową za nielegalne użycie broni chemicznej przeciwko syryjskim cywilom podkopał międzynarodową normę przeciwko używaniu broni chemicznej". Fakt, iż 10 kwietnia dowództwo nad ukraińską agresją przejął gen. Dwornikow, „rzeźnik z Aleppo", jeszcze bardziej uprawdopodobniało taką sytuację.

11 kwietnia pod wieczór Andriej Biłecki, dowódca pułku Azow broniącego Mariupola, który nadal utrzymuje pozycję w zakładach Azowstal, poinformował, że Rosjanie rozpylili dronem substancję chemiczną, która wywołała reakcje wśród obrońców podobne do tych, jakie daje sarin, trujący środek paralityczno-drgawkowy. Jak stwierdził, ranne są co najmniej trzy osoby. Anton Geraszczenko, doradca szefa MSW Ukrainy, wprost napisał wówczas o „ataku chemicznym" w Mariupolu. Część mediów powiązała fakt ataku z wypowiedzią dla rosyjskiej agencji RIA Novostii Eduarda Basurina, zastępcy dowódcy prorosyjskich formacji zbrojnych enklawy donieckiej dążących do zdobycia miasta. Jak stwierdził: „Nacjonaliści okopali się w wielopoziomowych podziemnych schronach Azowstalu. Prowadzenie akcji szturmowej w takich warunkach nie ma sensu. Próby szturmowania doprowadzą tylko do poważnych strat wśród naszych żołnierzy, podczas gdy wróg może ich uniknąć. Dlatego przed armią DRL jest zadanie odnalezienia wszystkich wyjść z zakładu i zablokowanie ich. Następnie do dzieła przystąpią oddziały chemiczne, które wypędzą wrogów z dymem jak krety z nory" – powiedział agencji RIA Nowosti. Ta wypowiedź uwiarygodniałaby zastosowanie przez Rosję sarinu, tym bardziej, że Basurin potem zniknął zatrzymany przez FSB. Rosjanie używając broni chemicznej mogli czuć się bezkarnie. Miejsce jest systematycznie ostrzeliwane, nikt tam nie dotrze, aby pobrać próbki. Całe miasto jest otoczone i nie mogą tam dotrzeć niezależni obserwatorzy, aby zweryfikować na miejscu te informacje. A Kreml po serii spektakularnych klęsk oczekuje na wydarzenie, które można przedstawić Rosjanom jako wielki tryumf armii rosyjskiej.

USA ten sygnał potraktowała bardzo poważnie, bo od dłuższego czasu nie wykluczano, że Putin sięgnie po takie rozwiązanie. Marc Santora, Mega Specia i Rick Gladstone z „The New York Times" 12 kwietnia stwierdzili, iż USA, Wielka Brytania i rząd ukraiński badają tę sprawę, czy w owym „nieubłaganym dążeniu Moskwy do przejęcia pełnej kontroli nad zrujnowanym ukraińskim miastem Mariupolem Moskwa sięgnęła po broń chemiczną". Pytor Andryushchenko, doradca władz miasta, potwierdził, że Rosja użyła jakiejś substancji chemicznej. „Ale nie wiemy na pewno, czy to była trucizna, czy coś innego" – podsumował. Jak podkreślili dziennikarze, owe doniesienia „traktowane są poważnie w związku z od dawna ostrzeżeniami zachodnich agencji wywiadowczych, że prezydent Rosji Władimir W. Putin może użyć niekonwencjonalnej broni do złamania ukraińskiego oporu". Półmilionowy Mariupol, w którym mogło zostać 140 tys. cywili, stał się symbolem barbarzyństwa Rosji. Tysiące zabitych ciał mają być palone w trzynastu mobilnych rosyjskich krematoriach, aby zatrzeć ślady ludobójstwa. Według informacji Rosjanie posuwają się nawet do wykopywania pochowanych zwłok.

▶ Zamiast zakończenia

Zawarte w rosyjskiej doktrynie wojskowej określenie o dopuszczalności użycia broni jądrowej jako środka odwetu jest wykorzystywane przez Moskwę jako element politycznej presji na Zachód. Ma wywoływać niepokój co do intencji Putina i jego gotowości do zastosowania taktycznych ładunków termojądrowych. Prezydent USA Joe Biden również stwierdził 22 marca, że Moskwa rozważa użycie broni chemicznej i biologicznej na Ukrainie. Dwa dni później podkreślił, że Stany Zjednoczone odpowiedzą na taki atak. Mathieu Boulegue, analityk z londyńskiego Chatham House, w wypowiedzi dla agencji AFP stwierdził, iż „Broń chemiczna nie zmieni przebiegu wojny. Taktyczna broń nuklearna, która obróci ukraińskie miasto w gruzy? Tak". Wszystkie te informacje, które są efektem zamierzonych działań Rosji, mają pobudzić lęk przed rzekomą nieobliczalnością Putina, a przez to osłabić wolę oporu polityków europejskich. Rok przed agresją jeden z głównych ideologów Kremla, Siergiej Karaganow, podkreślił, że w rozpoczynającej się zimnej wojnie 2.0 Rosji z Zachodem demokracje są na przegranej pozycji. W zderzeniu z krajami, takimi jak Rosja i Chiny, ze względu na ich autorytarny model władzy, zachodnie demokracje nie mają szans. Bo Moskwa i Pekin umiejętnie będą wykorzystywać społeczeństwa przeciwko nim samym. Rosja wielokrotnie pokazała, że potrafi destabilizować systemy demokratyczne. Nie ulega wątpliwości, iż jednym z czynników, który zadecydował, że akurat teraz Putin zadecydował o ataku, była ocena, że COVID w istotnym stopniu wpłynął na procesy polityczne i gospodarcze, mocno osłabiając odporność państw na niepokoje społeczne. W wywiadzie udzielonym CNN w pierwszy dzień świąt wielkanocnych 17 kwietnia 2022 roku prezydent Zelenski stwierdził: „Nikt nie oczekiwał, że wybuchnie wojna w 2014 roku, nikt nie oczekiwał, że wybuchnie w 2022 roku, nikt też nie oczekiwał, że Rosjanie będą w taki sposób atakować ukraińskich cywili... W ten sposób [...] pokazują, że mogą wszystko, że mogą użyć broni chemicznej, a nawet atomowej". ■

eprasa.pl d1d189da9f

ODJECHANE RATY 0%

Teraz za OC/AC zapłacisz w 4 ratach

Bank Polski
dzień dobry

PKO Bank Polski działa jako agent ubezpieczeniowy. Organizatorem promocji „Ubezpiecz auto na raty" jest bank. Promocja trwa do 30.06.2022 r. Płatność składki ubezpieczeniowej w ratach nie wiąże się z dodatkowymi kosztami. Szczegóły i warunki promocji w regulaminie.

www.pkobp.pl, infolinia: 800 302 302 brak opłat dla numerów krajowych na terenie kraju; w pozostałych przypadkach opłata zgodna z taryfą operatora, +48 81 535 60 60 opłata zgodna z taryfą operatora

eprasa.pl d1d189da9f

„Związek Sowiecki miał najbardziej wydajny, wyrafinowany i potężny ofensywny program broni biologicznej na świecie. Opracował jej zupełnie nową klasę, opartą na genetycznie zmodyfikowanych środkach. Byliśmy coraz bliżej tzw. absolutnej broni biologicznej"

dr Ken Alibek, były wiceszef Biopreparatu

BROŃ POD PRZYKRYCIEM. OD LENINA DO PUTINA

Antoni Rybczyński

Fiasko wojny błyskawicznej Rosji z Ukrainą spowodowało, że pojawiły się obawy, iż Władimir Putin wyda rozkaz użycia broni masowego rażenia, chcąc doprowadzić do przełomu w konflikcie. Bardziej prawdopodobne jest jednak, że Rosjanie dokonają prowokacji, chcąc oskarżyć Ukrainę o użycie broni chemicznej lub biologicznej. Tyle że jeśli ktoś w tej wojnie taką bronią dysponuje, to jest to Rosja. Oczywiście oficjalnie jej nie ma, ale nie brakuje poszlak wskazujących, że nie tylko nie pozbyła się spadku po Związku Sowieckim, choć do tego się zobowiązała, lecz także kontynuuje prace nad tego rodzaju bronią.

FOT. ARCH.

Choć Rosja podpisała Konwencję o Zakazie Broni Chemicznej, nie pozbyła się tego rodzaju broni masowego rażenia. Najlepszym tego dowodem były zamachy z ostatnich lat, które wywołały poruszenie na całym świecie. W obu przypadkach oskarżona była Rosja. W 2018 roku jej agenci otruli byłego podwójnego agenta mieszkającego w Wielkiej Brytanii Siergieja Skripala i jego córkę nowiczokiem, środkiem paralityczno-drgawkowym opracowanym przez Związek Sowiecki w ostatnich latach zimnej wojny. Skripalowie przeżyli, ale dwie inne osoby, które później przypadkowo zetknęły się z nowiczokiem, zmarły. W 2020 roku Rosja próbowała również otruć nowiczokiem przywódcę opozycji Aleksieja Nawalnego. Ten był hospitalizowany i prawie zmarł, ale ostatecznie wyzdrowiał. Oczywiście Rosja nigdy nie przyznała się do posiadania nowiczoka, ale te dwie historie pokazują, że zachowała co najmniej elementy programu broni chemicznej odziedziczonego po ZSRS.

Niemieckie know-how

Rosja carska nie produkowała i nie używała broni chemicznej. Gazy bojowe zaczęła otrzymywać od zachodnich sojuszników w czasie I wojny światowej. Na bazie nielicznych oddziałów wojsk chemicznych carskiej armii bolszewicy postanowili zacząć budować wojska chemiczne Armii Czerwonej – początkowo jako część sił artylerii. Dekret w tej sprawie wydano już 3 listopada 1918 roku. Siedem lat później zrobiono krok kolejny – powstaje samodzielny już Zarząd Wojskowo-Chemiczny. Pod koniec lat 20. pododdziały Chimupru były już we wszystkich dywizjach i brygadach piechoty i kawalerii. Oczywiście konieczna więc była odpowiednia ilość bojowych środków chemicznych. Początkowo były to przede wszystkim pociski artyleryjskie z iperytem i fosgenem dostarczone w czasie wojny przez Ententę. Szacuje się, że było ich przeszło 400 tys. sztuk.

Co jednak ważniejsze, Sowieci zaczęli pracować nad własną bronią chemiczną. Po Rapallo, w ramach szerokiej wtedy współpracy wojskowej, wspólnie z Niemcami prowadzili doświadczenia na tajnym poligonie w obwodzie samarskim. Jednak centrum programu sowieckiej broni chemicznej na kolejne wiele dekad stał się obwód saratowski. Tutaj właśnie znajdują się słynne Szychany, w czasach ZSRS miasto zamknięte, w którym chociażby opracowano później środek znany jako nowiczok. Ale to stało się dużo później. W latach 20–30. XX wieku najważniejszy był ośrodek Tom-

eprasa.pl 5d189da9f

ka, gdzie wspólnie z Niemcami testowano gazy bojowe. Gdy Berlin zerwał współpracę z Moskwą po przejęciu rządów przez nazistów, Sowieci mieli już gotowe know-how produkcji broni chemicznej. W 1935 roku na uzbrojeniu Armii Czerwonej było około 1 mln pocisków artyleryjskich i bomb lotniczych zawierających gazy bojowe. Sowiecka doktryna wojskowa przewidywała użycie broni chemicznej na wielką skalę podczas szeroko zakrojonych działań ofensywnych. Tyle że Stalin musiał przez dużą część wojny bronić się, nie atakować. Gdy już przeszedł do kontrofensywy, z używania broni chemicznej zrezygnowano. Zresztą wpływ na takie, a nie inne decyzje dowództwa mógł mieć fakt, że w czasach tzw. wielkiego terroru zdziesiątkowano kierownictwo wojsk chemicznych i na długo znalazły się one w niełasce.

Później, w czasach zimnej wojny, oczywiście wrócono do programu rozwoju broni chemicznej. Miał to być, obok broni atomowej i biologicznej, trzeci ważny element arsenału ABC. I gdy Związek Sowiecki zaczął chylić się ku upadkowi, także broń C dotknęły rozbrojeniowe pomysły tamtych lat. W 1990 roku George Bush i Michaił Gorbaczow podpisali umowę, zgodnie z którą ZSRS i USA kończyły produkcję nowej broni chemicznej i przystąpić miały do zniszczenia już posiadanej. Tyle że Moskwa wcale nie zaprzestała takich prac, nadal np. produkując nowe wersje nowiczoka. W kwietniu 1991 roku szefowie tego projektu dostali nawet od Gorbaczowa Ordery Lenina.

Gwiazda nowiczok

Gdy Związek Sowiecki upadł, niemal cały jego arsenał broni chemicznej odziedziczyła Federacja Rosyjska. Gdy w 1993 roku podpisała Konwencję o Zakazie Broni Chemicznej, zadeklarowała posiadanie około 40 tys. ton chemicznych środków bojowych „kategorii 1" (z czego 80 proc. to środki paralityczno-drgawkowe). Najwięcej spośród sześciu krajów, które przyznały, że posiadają nowoczesną broń chemiczną. Oficjalnie Rosja przyznała się do posiadania w kraju siedmiu miejsc składowania broni chemicznej. W Kambarce i Gornym tej „pierwszej generacji", a więc gazu musztardowego i lewizytu w pojemnikach. W Poczepie, Leonidowce i Maradykowskim głównie środki paralityczno-drgawkowe (sarin, soman, VX) w formie bomb lotniczych. W miejscowościach Szczuczyje i Kizner środki paralityczno-drgawkowe w amunicji artyleryjskiej i w głowicach bojowych. Wiadomo, że do 2004 roku Rosjanie zniszczyli tylko 1,5 proc. swego arsenału. Konwencja weszła w życie w kwietniu 1997 roku, a jej sygnatariusze zobowiązali się do zniszczenia całości posiadanej broni chemicznej w ciągu 10 lat, z możliwością przedłużenia tego okresu o kolejne pięć lat. Rosja powinna więc niszczyć cały swój chemiczny arsenał najpóźniej do kwietnia 2012 roku.

Ogłosiła, że to zrobiła jednak dopiero jesienią 2017 roku. Pytanie, czy zrobiła? Zweryfikować się tego nie dało. Co więcej, oficjalnie Moskwa mówiła o 40 000 ton, tymczasem już na początku lat 90. XX wieku zachodnie służby mówiły o 60 tys. ton. Co ciekawe, dosłownie kilka miesięcy po ogłoszeniu, że jest „chemicznie czysta", Rosja wysłała swych skrytobójców do Wielkiej Brytanii – uzbrojonych w broń... chemiczną właśnie. Agenci jednak zawalili operację, bo nie tylko nie zlikwidowali swego celu w Salisbury, to na dodatek w ten sposób ujawnili, że wciąż istnieje coś takiego, jak nowiczok. Dopiero po zamachu na Skripala lista kontrolowanych substancji została uzupełniona przez Organizację ds. Zakazu Broni Chemicznej (OPCW). Niedługo po zamachu na Skripala wyszło na jaw, że już trzy lata wcześniej – najprawdopodobniej nowiczoka właśnie – użyto do otrucia bułgarskiego biznesmena z branży zbrojeniowej Emiliana Gebrewa. Podobnie jak Skripal, wyszedł z zamachu żywy.

Nowiczoki to klasa binarnych fosforowo-fluoroorganicznych środków trujących o działaniu paralityczno-drgawkowym. Najsilniejsza znana na świecie broń chemiczna. W odpowiednich warunkach (niska wilgotność, wysoka temperatura) dwa gramy tej substancji wystarczą, by zabić pół tysiąca ludzi. Wiadomo, że były co najmniej cztery wersje nowiczoka, a pierwsza została opracowana już w 1972 roku. Później je tylko modyfikowano i krzyżowano. Nowiczok to środek binarny, co oznacza, że stan gotowości bojowej osiąga bezpośrednio przed użyciem w wyniku wymieszania składników. W środowisku naturalnym ulega degradacji poprzez hydrolizę i parowanie. Dotychczas znane są cztery przypadki użycia nowiczoka – za każdym razem chodziło o zamach na konkretną osobę. Pierwszy był szef zrzeszenia rosyjskich bankowców Iwan Kiwilidi (1995). Zmarł nie tylko on, ale też jego sekretarka i patolog, który robił sekcję. Prawdopodobnie zamach miał tło kryminalne, a truciznę kupiono od jakiegoś pracownika laboratorium (warto pamiętać, że były to czasy jelcynowskiej smuty, gdy pracownicy budżetówki nie dostawali pensji miesiącami). Z życiem uszli natomiast Gebrew (2015), Skripal (2018) i wreszcie Aleksiej Nawalny (2020). Nie można jednak wykluczyć, że Rosja posiada techniczną zdolność użycia nowiczoka jako broni na polu walki, przeciwko wielu ludziom.

Można przyjąć niemal z pewnością, że Rosjanie dysponują także innymi trującymi środkami che-

eprasa.pl d1d189da9f

micznymi, choćby gazem VX, uznawanym za jeden z najniebezpieczniejszych gazów bojowych. Działa na układy krwionośny i nerwowy. Jest bardziej trujący od sarinu, czyli bezbarwnego i bezwonnego płynnego środka oddziałującego na układ nerwowy. Sarin powoduje śmierć w wyniku uduszenia, ponieważ ofiary nie są w stanie kontrolować mięśni odpowiedzialnych za oddychanie. Trucizna jest najgroźniejsza, gdy wnika do organizmu przez drogi oddechowe, gdyż ciecz łatwo zamienia się w gaz. Stężenia oparów mogą również przenikać przez skórę. W marcu 2002 roku FSB ogłosiła, że udało jej się zlikwidować Ibn al-Chattaba, Saudyjczyka walczącego po stronie czeczeńskich rebeliantów. Towarzysz broni Szamila Basajewa otworzył list pokryty trucizną, najprawdopodobniej sarinem. Zaledwie siedem miesięcy później znów mieliśmy wątek czeczeński i znów broń chemiczną. Po tym jak czeczeńscy bojownicy wzięli za zakładników ponad 900 osób w moskiewskim teatrze na Dubrowce, rosyjskie służby bezpieczeństwa wpompowały do środka gaz, który powalił nie tylko napastników. Zmarło również ponad 100 zakładników – wielu, dlatego że FSB nie powiedziała próbującym ich ratować lekarzom, jakim środkiem zostali otruci. Eksperci uważają jednak, że była to forma opioidu – fentanylu.

NKWD i Biopreparat

Podczas zimnej wojny Związek Sowiecki prowadził największy na świecie tajny program broni biologicznej, który później odziedziczyła Rosja. Choć jeszcze w latach 70. XX wieku Sowieci przystąpili do konwencji o zakazie broni biologicznej, to kontynuowali rozbudowę arsenału pod przykryciem cywilnego koncernu. Rosja też ma wiele do ukrycia. W sprawozdaniu Departamentu Stanu USA z 2017 roku stwierdzono, że wypełnianie przez Moskwę postanowień konwencji jest niejasne. Od 1992 roku w corocznych sprawozdaniach Rosji nie udokumentowano w wystarczającym stopniu, czy elementy broni biologicznej zostały zniszczone lub przekazane do celów pokojowych. W 2018 roku Ukraina przekazała przedstawicielom NATO raport, z którego wynika, że Rosjanie prowadzą prace nad wirusami eboli i choroby marburskiej pod pozorem badań nad nowymi szczepionkami. Wiele wskazuje na to, że na terenie Rosji prowadzone są prace nad groźnymi dla zdrowia i życia ludzkiego patogenami, które mogą być wykorzystane jako broń biologiczna.

Zaczęło się to wszystko sto lat temu, gdy pod osobistym nadzorem Lenina rozpoczęto prace nad środkami pierwszej generacji, takimi jak tularemia czy tyfus epidemiczny. Testowano tę broń na więźniach NKWD w niewielkim budynku niedaleko Łubianki. Początkowo zakres programu był dość skromny, a z jego owoców korzystał aparat bezpieczeństwa, mordując przy użyciu różnych trucizn wrogów. W czasach zimnej wojny Sowieci dostrzegli w broni biologicznej znacznie większy potencjał, potencjał militarny. Dlatego cały program odebrano Łubiance i przekazano wojsku. Dokładniej zaś 15. Zarządowi (ds. Ochrony Biologicznej) Ministerstwa Obrony. W latach 50. i 60. XX wieku w całym kraju zaczęły powstawać zakłady produkujące broń biologiczną. Jednak w 1969 roku USA zamknęły swój program ofensywny broni biologicznej, zaś trzy lata później Związek Sowiecki przystąpił do „Konwencji o zakazie prowadzenia badań, produkcji i gromadzenia zapasów broni bakteriologicznej (biologicznej) i toksycznej oraz o ich zniszczeniu" (BWC). Zgodnie z nią powinien zlikwidować wszelkie posiadane zapasy broni biologicznej, i zaprzestać prowadzenia prac nad taką bronią.

BWC weszła w życie w 1975 roku. Dwa lata po utworzeniu cywilnej Głównej Agencji Przemysłu Mikrobiologicznego, bardziej znanej pod nazwą Biopreparat. Oficjalnie zajmowała się pracami nad szczepionkami, w rzeczywistości kontynuowała prace wcześniej prowadzone nad bronią biologiczną. Wciąż pod czujnym nadzorem wojska. Świat dowiedział się o tym dopiero w latach upadku ZSRS dzięki dwóm wysokim rangą pracownikom Biopreparatu, którzy wyjechali na Zachód: Władimirowi Pasiecznikowi i Kenowi Alibekowi. Szczególnie ten drugi, były wiceszef Biopreparatu, opowiedział wiele szczegółów na temat tajnego sowieckiego programu. „Związek Sowiecki miał najbardziej wydajny, wyrafinowany i potężny ofensywny program broni biologicznej na świecie. Opracował zupełnie nową klasę broni, opartą na genetycznie zmodyfikowanych środkach. Na przykład w latach 80. XX wieku Związek Sowiecki opracował odporne na antybiotyki szczepy dżumy, wąglika, tularemii i nosacizny. Coraz bardziej zbliżaliśmy się do opracowania tzw. absolutnej broni biologicznej" – mówił w jednym z wywiadów w 1998 roku ten pochodzący z Kazachstanu doktor nauk medycznych, oficer armii sowieckiej. W latach 1975–1992 pracownik Biopreparatu. Według jego szacunków z programem broni biologicznej w ZSRS związanych było nawet 60–70 tys. naukowców, inżynierów i techników. Sam Biopreparat zatrudniał połowę z nich. W 15. Zarządzie Ministerstwa Obrony było około 15 tysięcy. Także w ministerstwie rolnictwa zajmowało się tym około 10 tys. ludzi. Do tego setki w instytutach Akademii Nauk ZSRS.

Zgodnie z sowiecką doktryną wojenną broń biologiczna dzieliła się na trzy główne kategorie: strategicz-

eprasa.pl d1d189da9f

ną, operacyjną oraz strategiczno-operacyjną. Operacyjną miano wykorzystywać przeciwko celom oddalonym 100–150 km od pozycji sowieckich. Tak jak w Afganistanie. „Kiedy zostałem 1. zastępcą dyrektora Biopreparatu w 1988 roku, odbyliśmy serię spotkań. Powiedziano mi, że Związek Sowiecki zastosował broń biologiczną przeciwko mudżahedinom w odległych zakątkach Afganistanu w 1982 roku. To była bakteria Pseudomonas mallei wywołująca nosaciznę" – wspomina Alibek. Głównym środkiem przenoszenia broni strategicznej od końca lat 60. XX wieku były międzykontynentalne pociski balistyczne (ICBM) uzbrojone w jedną głowicę. W 1988 roku zapadła decyzja, żeby do przenoszenia broni biologicznej używać też ICBM z wieloma głowicami. Jeden taki „biologiczny" pocisk R-36 mógł doprowadzić do śmierci połowę populacji Nowego Jorku. Warto zwrócić uwagę, że decyzja o wykorzystaniu wielu głowic zapadła już w czasach tzw. pierestrojki. Michaił Gorbaczow doskonale wiedział o pracach nad bronią biologiczną. Sam podpisał pięcioletni plan rozwoju tej broni na lata 1986–1990 zakładający m.in. uzyskanie możliwości użycia eboli i choroby marburskiej czy budowę nowych laboratoriów.

Na drodze do trzeciej generacji

Jedynym okresem, w którym Rosjanie – przynajmniej politycy – byli w sprawie broni biologicznej transparentni (jak w wielu innych sprawach), była pierwsza kadencja Borysa Jelcyna. W 1992 roku prezydent Rosji przyznał, że ZSRS prowadził program ofensywnej broni biologicznej z naruszeniem konwencji. „Jelcyn próbował zamknąć ten program, ale przeszkodziło mu w tym Ministerstwo Obrony, które utrzymywało w tajemnicy działalność swoich instytutów badań biologicznych i ich programy pracy. We wrześniu 1992 roku Rosja, Stany Zjednoczone i Wielka Brytania podpisały trójstronne oświadczenie, w którym Rosja zobowiązała się umożliwić swoim zachodnim partnerom dostęp do tych obiektów. Moskwa nie wywiązała się jednak z tej obietnicy, dlatego wojskowe instytuty biologiczne pozostają dziś tak samo tajne jak w czasach Związku Sowieckiego" – pisał w 2016 roku Raymond A. Zilinskas, ekspert z Middlebury Institute of International Studies.

Już od połowy lat 90. coraz częściej zdarzało się, że eksperci międzynarodowi nie byli wpuszczani do rosyjskich laboratoriów. A do laboratoriów w trzech miastach (Kirow, Siergijew Posad i Jekaterynburg) już od końca zimnej wojny nie wpuszczono żadnego zachodniego eksperta, który mógłby stwierdzić, że prac nad bronią biologiczną tam się nie prowadzi. Jakie patogeny drugiej generacji wyhodowano w ZSRS, a Rosja je odziedziczyła? Bakterie: Bacillus anthracis (wąglik), Brucella melitensis (gorączka śródziemnomorska), Burkholderia mallei (dławica piersiowa), Burkholderia pseudomallei (melioidoza), Coxiella burnetii (gorączka Q), Francisella tularensis (tularemia), Legionella pneumophila (choroba legionistów), Yersinia pestis (dżuma płucna). No i oczywiście wirusy wywołujące: afrykański pomór świń, ospę wietrzną, pryszczycę, chorobę marburską, księgosusz, zapalenie mózgu. Nie wiadomo, czy naukowcy pracujący we wspomnianych trzech ściśle tajnych instytutach zastosowali nowe techniki, oparte na manipulacjach genetycznych, do stworzenia nowych lub ulepszonych szczepów bakterii i wirusów przeznaczonych do użycia jako broń. Prace w tym zakresie były na zaawansowanym etapie w momencie rozpadu ZSRS i mogły być kontynuowane nawet w czasie rządów Jelcyna – bez jego wiedzy.

Podczas gdy Jelcyn przyznał, że istniał ofensywny program broni biologicznej, administracja Putina zaprzeczyła jego istnieniu i utrzymywała, że ZSRS prowadził wyłącznie badania defensywne, co było zgodne z BWC. W marcu 2012 roku, po tym jak wygrał kolejne prezydenckie wybory, Putin przewodniczył spotkaniu, w którym uczestniczyła wybrana grupa jego ministrów. Podczas tego ewidentnie zainscenizowanego spotkania ministrowie kolejno wyjaśniali, co ich resorty zrobią, aby zrealizować słynne 28 zadań, które Putin przedstawił w lutowym artykule w „Rossijskiej Gazecie" jako podstawę swych zamierzeń w nowej kadencji. Ówczesny minister obrony Anatolij Serdiukow obiecał realizację zadania nr 4: stworzenie systemów broni wykorzystujących różne zasady fizyczne [w sensie działania organizmu – red.]. Jak pisze, cytowany już Zilinskas, „istnieją duże obawy, że dobrze wyposażone tajne instytuty rosyjskie z dostępem do nowoczesnych technik mikrobiologicznych dały podstawę do stworzenia programu broni biologicznej trzeciej generacji – z dwóch szczególnych powodów". Po pierwsze, kultury patogenów, które zostały uzbrojone w ramach programów broni biologicznej pierwszej i drugiej generacji są prawdopodobnie przechowywane w zbiorach kultur komórkowych w tajnych placówkach resortu obrony. Po drugie, można założyć, że przepisy opracowane w ramach programu dotyczącego broni drugiej generacji, określające sposoby jej opracowywania, testowania i produkcji, są zdeponowane w archiwach rządowych. Receptury te można by zaadaptować do opracowania – przez zastosowanie nowoczesnych technik genetycznych – patogenów trzeciej generacji. ■

eprasa.pl d1d189da9f

Ryszard Czarnecki

ABC, czyli wojna totalna

Myślenie o Polsce jako o „państwie nuklearnym", może nie jest pozbawione sensu, skoro trzech naszych bezpośrednich sąsiadów miało lub ma głowice nuklearne.

Skrót ABC oznacza broń atomową, biologiczną, chemiczną. Używany jest też inny skrót NBC – broń nuklearna, biologiczna, chemiczna. Oczywiście broń „masowej zagłady" albo też „masowego rażenia" to szerszy militarny worek, do którego należy wrzucić również broń radiologiczną oraz toksyczne środki przemysłowe. Co więcej, od sześciu lat, czyli od publikacji corocznego raportu wywiadu amerykańskiego, w którym do broni masowego rażenia zaliczono również edytowanie genów, szereg ekspertów poszerzyło o tę nową kategorię i tak pojemną definicję broni masowej zagłady. Jednak definicja zastosowana w 2016 roku przez szefa amerykańskiego wywiadu Jamesa Clappera nie jest dla wszystkich oczywista.

Z tych sześciu broni masowego rażenia budzącą największą grozę, i będącą zarazem największym „straszakiem", jest broń nuklearna. Na świecie jest dziewięć państw, które ją posiadają. Są to: USA, Rosja, Chiny, Wielka Brytania, Francja, Indie, Pakistan, Korea Północna i Izrael. Ta nuklearna „dziewiątka" dzieli się na trzy grupy. Pierwsza z nich to tzw. Nuclear Weapon States, czyli „państwa nuklearne", które podpisały traktat o nierozprzestrzenianiu broni jądrowej (Non Proliferation Treaty). Drugą grupę stanowią państwa, które posiadają broń jądrową, ale nie podpisały owego Traktatu (Pakistan, Indie) lub wycofały się z niego (Korea Północna).Trzecią grupę stanowi jedno państwo – Izrael, które posiada broń jądrową, ale oficjalnie nigdy tego nie potwierdziło (Tel Awiw ma mieć około 80 głowic jądrowych, czyli wyraźnie poniżej 1 proc. zasobów światowych).

Warto zauważyć, że cała piątka „państw nuklearnych", to jednocześnie kraje będące stałymi członkami Rady Bezpieczeństwa ONZ.

Dodajmy, że cztery państwa posiadały broń jądrową w przeszłości. To Republika Południowej Afryki (RPA miała ją w okresie apartheidu, zrezygnowała z niej w 1994 roku po przystąpieniu do Non Proliferation Treaty) oraz trzy republiki postsowieckie: Kazachstan, Ukraina i Białoruś, które dysponowały nią jeszcze z czasów, gdy stanowiły część Związku Sowieckiego. Po rozpadzie ZSRS i uzyskaniu niepodległości kraje te wkroczyły do nowego rozdania geopolitycznego z bronią jądrową, ale posiadały ją jedynie w pierwszych latach swojego istnienia.

Obecnie jedynym, po brexicie, państwem UE posiadającym broń atomową jest Francja. Jednak cztery inne kraje członkowskie Unii należą do Nuclear Sharing, czyli programu, który zakłada przechowywanie amerykańskich głowic jądrowych na ich terytoriach. To Niemcy, Włochy i dwa państwa Beneluksu – Belgia i Holandia. Jest jeszcze jeden kraj NATO, który uczestniczy w Nuclear Sharing – to Turcja.

Skądinąd jeśli polscy politycy z formacji rządzącej mniej lub bardziej oficjalnie mówią o dołączeniu Rzeczypospolitej do grona państw posiadających broń jądrową, to przede wszystkim zakładają w pierwszym etapie naszą obecność właśnie w Nuclear Sharing – skoro jest w nim pięć innych krajów NATO. Myślenie o Polsce jako o „państwie nuklearnym", może nie jest pozbawione sensu, skoro trzech naszych bezpośrednich sąsiadów miało lub ma głowice nuklearne. To Rosja (ma ich 7,7 tys., ale w 1985 roku miała ich przeszło 39 tys.) oraz Ukraina (swoje 5 tys. głowic na podstawie Traktatu Budapeszteńskiego przekazała w 1996 roku... Rosji!) i Białoruś (800 głowic – również wtedy przekazane Rosji...).

Rosja do lutego 2022 roku uważana była za państwo mające „drugą armię świata" (od tego czasu złośliwi mówią, że jest to, owszem, „druga armia"... ale na Ukrainie). Jednak gdy chodzi o liczbę głowic, Moskwa przewyższa USA, i to od roku 1980. Obecnie Stany Zjednoczone mają ich 6800, a Federacja Rosyjska – o 900 więcej. Czy któreś z nich zostaną użyte w najbliższym czasie w Europie Wschodniej? Oto jest pytanie. ■

eprasa.pl d1d189da9f

Grzegorz Wierzchołowski

eprasa.pl d1d189da9f

FOT. JACEK TURCZYK/PAP

Nieprzejednana postawa Lecha Kaczyńskiego wobec imperialnych planów Kremla oraz zbliżenia Rosji z UE, sprzeciw prezydenta RP wobec projektu uzależnienia energetycznego od Moskwy, wreszcie niemal pewna próba storpedowania przez głowę polskiego państwa porozumienia wojskowego między polską a rosyjską armią. Władimir Putin miał wiele powodów, by pozbyć się Lecha Kaczyńskiego – wynika z nieznanych dotąd dokumentów ujawnionych przez podkomisję smoleńską.

Dlaczego zamordowano Lecha Kaczyńskiego? Motywy zamachowców w raporcie smoleńskim

eprasa.pl d1d189da9f

Końcowy raport smoleński przyniósł długo wyczekiwane odpowiedzi na pytania o przebieg tragedii z 10 kwietnia 2010 roku i o techniczne przyczyny zniszczenia samolotu Tu-154. Ale z raportu i z opublikowanych wraz z nim załączników wynika także jednoznacznie, dlaczego Rosjanie mogli chcieć wyeliminować Lecha Kaczyńskiego i polityków ze związanego z nim środowiska.

„Lech Kaczyński stał na przeszkodzie w realizacji planu, który zawierał w sobie element wojskowy, element energetyczny i element geopolityczny. Gdy prezydent RP został zamordowany, Prawo i Sprawiedliwość dotkliwie osłabione, a Donald Tusk uzyskał pełną możliwość swobodnej realizacji planów politycznych, wtedy projekt Tusk–Putin zaczął być wcielany w życie. Tak więc zbrodnia smoleńska była atakiem na Polskę, by ułatwić ekspansję imperialną Rosji prowadzoną razem z Niemcami" – powiedział w rozmowie z tygodnikiem „Gazeta Polska" Antoni Macierewicz, szef podkomisji smoleńskiej.

Kaczyński rozdrażnia Moskwę

Jednym z załączników do końcowego raportu smoleńskiego jest szyfrogram nadany z ataszatu wojskowego ambasady RP w Moskwie do dyrektora Departamentu Wojskowych Spraw Zagranicznych w MON. Dokument wpłynął do resortu 4 sierpnia 2008 roku – a więc, uwaga, podczas trwającej właśnie wojny Rosji z Gruzją – i poświęcony jest rosyjskiemu punktowi widzenia na stosunki z Polską.

W dokumencie czytamy, że „w ocenie źródeł zbliżonych do rosyjskich władz w ostatnim czasie ma miejsce proces zbliżenia Rosji i Polski, a dokładniej mówiąc odejścia od poprzedniego zaognienia stosunków na rzecz normalizacji i dialogu". I dalej: „Stało się to możliwe dzięki dojściu do władzy rządu, na którego czele stanął Donald Tusk, a także na skutek aktywizacji polskiej dyplomacji w kierunku odbudowy stosunków rosyjsko-polskich. Punktem kulminacyjnym tych działań była wizyta w Moskwie polskiego premiera w lutym 2008 roku oraz jego rozmowy z najwyższymi władzami rosyjskimi". Jeszcze raz podkreślmy: te pochwały pod adresem Tuska kierowało państwo, które w chwili ich odczytywania w polskim MON dokonywało inwazji na Gruzję.

Za co jeszcze Moskwa pozytywnie oceniała Tuska? Za wycofanie w kwietniu 2008 roku weta wobec negocjacji Rosji z Unią Europejską w sprawie nowej umowy o partnerstwie i współpracy oraz brak poparcia dla takiego weta ze strony Litwy. „Co pewien czas strona polska składa też doniosłe i przyjazne w duchu deklaracje. Znamienna jest wypowiedź D. Tuska z dnia 23 maja, że Rosja jest dla Warszawy strategicznie ważnym sąsiadem i że rozwój stosunków z Federacją Rosyjską, tak jak dotychczas, pozostanie priorytetem dla jego rządu [...]". Autorzy szyfrogramu piszą też, że zdaniem Rosjan „chłód" z epoki „dyktatorskiego tandemu braci Kaczyńskich" został przezwyciężony, choć prawdziwe ocieplenie – zdaniem polskich dyplomatów, powołujących się na źródła w Moskwie – nastąpić nie może. Dlaczego?

„Niezmiernie ważna jest polityczna retoryka. Dla rosyjskiej strony ważne jest zaprzestanie wypowiadania się na temat możliwości wykonania uderzeń na Europę Wschodnią, rozmieszczenia rakiet itd., ponieważ wszystko to powoduje reakcję odwrotną do zamierzonej i osłabia pozycję zwolenników dialogu. Dla polskiej strony konieczne jest kontynuowanie istniejącej pozytywnej retoryki, choć w tej akurat kwestii zupełnie niekontrolowanym czynnikiem są wypowiedzi L. Kaczyńskiego, które niekiedy stają się powodem poważnego rozdrażnienia Moskwy. W celu ich neutralizacji możliwe byłyby na przykład kontroświadczenia D. Tuska albo półformalne sygnały ze strony MSZ i rządu, że nie będą się podobnymi wypowiedziami kierować".

Rosjanom nie podobał się też polski sprzeciw wobec gazociągu Nord Stream, budowanie systemu obrony przeciwrakietowej na terytorium Polski oraz „poparcie udzielane przez Polskę różnego rodzaju alternatywnym do rosyjskich inicjatywom w zakresie bezpieczeństwa energetycznego Ukrainy i Gruzji, a także prowadzenie lobbingu na rzecz wstąpienia Kijowa i Tbilisi do NATO". A przecież czołowym „hamulcowym" nie był tu sprzyjający Moskwie rząd Tuska, lecz Lech Kaczyński oraz obóz Prawa i Sprawiedliwości.

W jednym z fragmentów wspomnianego szyfrogramu można przeczytać: „Negatywny oddźwięk mają także niedawne czerwcowe wypowiedzi prezydenta Lecha Kaczyńskiego, że jeżeli baza systemu obrony rakietowej USA nie zostanie zbudowana w Polsce, to kraj ten pozostanie w strefie wojskowych wpływów Moskwy (sposób myślenia prezydenta nie jest w pełni zrozumiały)". Wzmianka ta, łącznie z dopiskiem w nawiasie, świadczy nie tylko o wrogości Kremla wobec L. Kaczyńskiego, lecz także o pewnej pogardzie, z jaką ówcześni dyplomaci polscy wyrażali się o głowie własnego państwa.

W wywiadzie dla „GP" Antoni Macierewicz tak ocenił wydźwięk materiałów zgromadzonych przez ekspertów badających katastrofę smoleńską: „Pod-

eprasa.pl d1d189da9f

komisja dysponuje dokumentami MSZ referującymi stosunek Federacji Rosyjskiej do ówczesnego prezydenta i premiera Polski. Jednoznacznie stwierdzają one, że w oczach Moskwy rząd Donalda Tuska jest szansą na realizację polityki rosyjskiej, a »dyktatorski tandem braci Kaczyńskich« blokował ten plan i należy coś z tym zrobić. Ten motyw jest wielokrotnie przywoływany przez polskich dyplomatów w ocenie stanowiska rosyjskiego wobec prezydenta Kaczyńskiego i wobec sytuacji, jaka ma miejsce w Polsce".

Jak ocenia Macierewicz – Putin doskonale znał słowa, które wypowiedział prezydent Kaczyński w Tbilisi w 2008 roku, że „dzisiaj Gruzja, jutro Ukraina, pojutrze państwa bałtyckie, a potem może i czas na mój kraj, Polskę". „One ujmowały istotę oceny sytuacji w Europie przez prezydenta Kaczyńskiego, przez polską formację niepodległościową i największą partię opozycyjną, mającą wszelkie szanse na ponowne dojście do władzy w kraju. Dlaczego Putin postanowił najpierw uderzyć w Polskę, a później w pozostałe kraje? Ponieważ tylko bez Polski, tylko bez niepodległościowej polityki polskiej jego plan zdominowania Europy Zachodniej w sojuszu z Niemcami i za zgodą Francji mógł być zrealizowany. Tak długo, jak długo istniała formacja niepodległościowa, tak długo, jak istniała polityka, którą realizował prezydent Lech Kaczyński, tak długo cały plan podporządkowania Polski Rosji, a następnie ekspansji Rosji, był niemożliwy do zrealizowania" – stwierdził Antoni Macierewicz.

Równie wymowny jest inny załącznik do końcowego raportu smoleńskiego: analiza negocjacji umowy gazowej rzucająca światło na politykę energetyczną rządu Tuska oraz prezydenta Lecha Kaczyńskiego w latach 2008–2010.

Rosyjski gaz najważniejszy

Troska o bezpieczeństwo energetyczne Polski i dywersyfikację źródeł energii to jeden z fundamentów prezydentury Lecha Kaczyńskiego. Analiza wymienia tu budowę gazoportu w Świnoujściu, przeznaczonego do odbioru importowanego gazu skroplonego (LNG), oraz powstanie rurociągu transportującego do Polski gaz ze złóż na Morzu Norweskim (Baltic Pipe). „Dążenie Prezydenta Kaczyńskiego do zbudowania rurociągu naftowego Odessa–Brody–Płock–Gdańsk w ramach Euroazjatyckiego Korytarza Transportu Ropy (EAKTR) angażujące Polskę, Litwę, Ukrainę, Gruzję i Azerbejdżan, poważnie zagrażało interesom Rosji, gdyż uniezależniałoby te kraje od dostaw z Gazpromu" – podkreślają autorzy opracowania.

W tym samym czasie – co jasno wynika z załącznika do raportu smoleńskiego – rząd PO-PSL robił wszystko, by związać energetycznie Polskę z Rosją. Najpierw – w marcu 2008 roku – doszło w Ministerstwie Gospodarki do rozwiązania Departamentu Dywersyfikacji Dostaw Nośników Energii. Pół roku po agresji Rosji na Gruzję, 10 marca 2009 roku, Donald Tusk przekazał Ministerstwu Gospodarki (kierowanemu przez Waldemara Pawlaka) instrukcję negocjacyjną na rozmowy z rosyjskim rządem w sprawie dostaw gazu do Polski. „Polecono, by podstawą rozmów były także propozycje strony rosyjskiej, co miało kluczowe znaczenie, i realizując jeden z postulatów Rosjan, wydłużono termin dostaw dodatkowych ilości gazu z 2014 do 2022 roku. Choć wcześniej obowiązywały ustalenia, że Polska powinna zawrzeć umowę jedynie do 2014 roku ze względu na budowany terminal LNG w Świnoujściu, premier Tusk podkreślił, że w interesie strony polskiej jest przedłużenie terminu kontraktu jamalskiego do 2037 roku" – czytamy w analizie. Działania Tuska zapewniały Rosji korzyść nie tylko w postaci długoterminowego związania Polski z Rosją, ale i jako uderzenie w potencjał budowanego terminalu LNG w Świnoujściu.

Gabinet kierowany przez lidera Platformy Obywatelskiej wstrzymał też w czerwcu 2009 roku realizację projektu Baltic Pipe z powodu... „braku zainte-

Troska o bezpieczeństwo energetyczne Polski i dywersyfikację źródeł energii to jeden z fundamentów prezydentury Lecha Kaczyńskiego. W tym samym czasie rząd PO-PSL robił wszystko, by związać energetycznie Polskę z Rosją.

eprasa.pl d1d189da9f

resowania na gaz". Prezydenckie Biuro Bezpieczeństwa Narodowego ostrzegało wówczas: „Wstrzymanie budowy rurociągu Baltic Pipe utrudni lub uniemożliwi dywersyfikację dostaw gazu do Polski w oparciu o surowiec ze złóż położonych na Norweskim Szelfie Kontynentalnym".

W załączniku do raportu smoleńskiego cytowana jest m.in. notatka informacyjna na temat konsultacji wiceministra spraw zagranicznych RP Andrzeja Kremera w Moskwie w dniach 25–27 stycznia 2010 roku. Wynika z niej, że rząd Tuska badał możliwości współpracy z Rosją przy projekcie Bałtyckiej Elektrowni Atomowej w obwodzie kaliningradzkim, a także współpracy w sferze energetycznej z Putinem „w związku ze znalezieniem przez stronę polską niemieckiego partnera zainteresowanego przesyłem rosyjskiej ropy naftowej do portu Wilhelmshaven". 27 stycznia 2010 roku PGNiG zawarło porozumienie z Gazpromem przedłużające kontrakt na dostawę do Polski rosyjskiego gazu ziemnego do 2037 roku.

Polityką energetyczną rządu oburzony był prezydent Lech Kaczyński. 26 marca 2010 roku odbyło się w Belwederze spotkanie ekspertów poświęcone kwestiom gazowym. „Główny wniosek płynący z przedstawionego wówczas tzw. raportu Naimskiego był taki, że umowa z Rosją jest niekorzystna dla Polski i zagraża naszemu bezpieczeństwu. Ujawniono również, że zapewnienia wicepremiera Waldemara Pawlaka, jakoby poza Gazpromem Polska nie miała alternatywy dla wyboru dostawcy gazu, były kłamstwem. Skutkiem tego wystąpienia było oburzenie grupy rządzącej i liczne ataki medialne na Prezydenta, a także opuszczenie sali obrad przez obecnych na spotkaniu przedstawicieli strony rządowej" – czytamy w analizie załączonej do raportu podkomisji.

Według tego opracowania, Tusk i jego ludzie zdawali sobie sprawę z tego, że Lech Kaczyński posiada uprawnienia mogące blokować negocjacje w sprawie porozumienia gazowego z Rosją i ma pełną wiedzę na temat zagrożeń, jakie ten kontrakt niesie dla Polski. Prezydent RP miał poważnie zastanawiać się nad prawnymi możliwościami zablokowania umów z Gazpromem i prowadził w tej sprawie liczne konsultacje.

8 kwietnia 2010 roku, dwa dni przed katastrofą smoleńską, „The Wall Street Journal" pisał: „Cały gazowy przemysł Polski i specjalny wysłannik USA ds. energetyki zebrali się na konferencji na temat gazu łupkowego [...]. Amerykańscy giganci rozpoczną odwierty gazu łupkowego w Polsce w ciągu najbliższych kilku tygodni. W razie sukcesu polityka energetyczna Polski, podejście do kwestii dwutlenku węgla, a nawet polityka zagraniczna mogą się całkowicie zmienić [...]. Odkrycie wielkich złóż gazu łupkowego w Polsce mogłoby osłabić znaczenie Gazpromu w Europie Środkowo-Wschodniej". Starania te popierał Lech Kaczyński. Ale już po Smoleńsku, w czerwcu 2010 roku, p.o. prezydenta RP Bronisław Komorowski wypowiedział się przeciwko wydobyciu gazu łupkowego, twierdząc, że doprowadzi to do „dewastacji obszarów krajobrazowych Polski".

W październiku 2010 roku wicepremier Waldemar Pawlak i wiceszef rządu Władimira Putina Igor Sieczin podpisali porozumienie w sprawie zwiększenia do Polski dostaw gazu rosyjskiego. Umowa zakładała dostarczanie przez Rosjan gazu do 2022 roku po najwyższych cenach w Europie, a jednocześnie zawierała zapis dotyczący tranzytu gazu przez Polskę do 2019 roku (z możliwością wydłużenia aż do 2045 roku) za cenę niższą niż ta, którą Federacja Rosyjska płaciła Białorusi czy Ukrainie.

▶ Zbliżenie z armią rosyjską i FSB

Jednym z najważniejszych i najbardziej zdumiewających dokumentów stanowiących załącznik do raportu jest z pewnością projekt „Komunikatu dotyczącego współpracy między Siłami Zbrojnymi Rzeczypospolitej Polskiej a Siłami Zbrojnymi Federacji Rosyjskiej". Dokument ten został przygotowany w dniach 22–24 marca 2010 roku, a więc kilkanaście dni przed katastrofą smoleńską. gdy w Moskwie przebywała polska delegacja, w której skład wchodzili: admirał floty Tomasz Mathea (zastępca szefa Sztabu Generalnego Wojska Polskiego), kmdr Jacek Ochman, gen. bryg. Grzegorz Wiśniewski (attaché wojskowy przy ambasadzie RP w Moskwie) i płk Mirosław Czarnota (zastępca Wiśniewskiego). Dodajmy tu, że to właśnie gen. Wiśniewski stał za szyfrogramem dotyczącym rosyjskiego punktu widzenia na stosunki z Polską (konkluzją opisywanego wyżej dokumentu było stwierdzenie: „Zapoczątkowany w tym roku [2008], podczas wizyty premiera D. Tuska [w Moskwie], proces normalizacji stosunków polsko-rosyjskich może przynieść wymierne korzyści tylko pod warunkiem, że będzie kontynuowany").

Celem moskiewskich rozmów delegacji było – jak czytamy w sprawozdaniu – przygotowanie wizyty w Polsce gen. Nikołaja Makarowa, szefa sztabu rosyjskiej armii (w dniach 19–21 maja 2010 roku), określenie możliwych obszarów współpracy między polskim a rosyjskim wojskiem oraz przekazanie Rosjanom projektu „Komunikatu", który miałby być podpisany podczas planowanego pobytu Makarowa

eprasa.pl d1d189da9f

w Warszawie. Oto najważniejszy fragment tego „Komunikatu":

„Strona polska przedstawiła propozycje zapoczątkowania (rozwoju) obszarów współpracy wojskowej w następujących dziedzinach:

– wymiana doświadczeń w zakresie transformacji sił zbrojnych i zarządzania zasobami ludzkimi;

– kontakty robocze między jednostkami wojskowymi Wojsk Lądowych, Sił Powietrznych i Marynarki Wojennej stacjonującymi w strefie przygranicznej;

– zasady działania i funkcjonowania Żandarmerii Wojskowej;

– planowanie, prowadzenie i obserwacja ćwiczeń oraz szkoleń wojsk i dowództw;

– planowanie oraz prowadzenie operacji wspierania pokoju i reagowania kryzysowego, w tym wsparcie inżynieryjne w operacjach reagowania kryzysowego [...];

– wymiana doświadczeń w zakresie zadań administracji wojskowej w reagowaniu na niemilitarne zagrożenia kryzysowe w strefie przygranicznej".

Zatem polskie władze zaoferowały Rosji wspólne rozmowy na temat reformy armii, kontakty robocze wojsk w strefie przygranicznej, wspólne manewry i szkolenia (w tym kadry oficerskiej) oraz wspólne operacje militarne prowadzone – tak jak w 2022 roku na Ukrainie – pod płaszczykiem operacji pokojowych i reagowania kryzysowego. O planowanym porozumieniu na pewno wiedział jego inicjator Donald Tusk, a także szef MON Bogdan Klich. Prawdopodobnie wiedzę na temat zakulisowych działań resortu obrony i rządu Tuska miał też Lech Kaczyński.

„[Lech Kaczyński] miał takie możliwości informacyjne, że musiał o tym porozumieniu wiedzieć. A co za tym idzie – o związanych z nim zagrożeniach dla Polski, którym z pewnością by przeciwdziałał jako prezydent Polski i zwierzchnik Sił Zbrojnych" – powiedział „Gazecie Polskiej" Antoni Macierewicz.

Ocierający się o zdradę stanu dokument ostatecznie – po społecznym szoku związanym z katastrofą smoleńską – nie został podpisany. Nie oznaczało to jednak, że nie był realizowany w innej postaci. „Rozmowy na ten temat były kontynuowane przez Stanisława Kozieja, szefa Biura Bezpieczeństwa Narodowego mianowanego przez Bronisława Komorowskiego, gdy ten był pełniącym funkcję prezydenta RP i później, już po wyborach prezydenckich. Wiemy doskonale, że po 10 kwietnia 2010 roku wojskowe służby specjalne (SKW), zamiast zajmować się wyjaśnianiem katastrofy smoleńskiej, podjęły współpracę z FSB. I to współpracę, która pozwoliła ingerować rosyjskim służbom w działania Polski i była wzorowana – co jest jasno powiedziane w dokumentach służb – na porozumieniu przygotowywanym w 2006 roku przez WSI właśnie wespół z FSB" – mówił „GP" Antoni Macierewicz.

Umowa Służby Kontrwywiadu Wojskowego z FSB została podpisana we wrześniu 2013 roku, a na szczeblu BBN od czasu tragedii smoleńskiej regularnie dochodziło do spotkań z przedstawicielami aparatu bezpieczeństwa Rosji

W grudniu 2013 roku podczas posiedzenia Komitetu Strategii Współpracy Polsko-Rosyjskiej podpisano rządowy program „Polska–Rosja 2020". Zakładał on długoterminową współpracę Polski i Rosji, strategiczne partnerstwo UE i Rosji, „wspólną produkcję" gospodarczą z Kremlem w oparciu o nowoczesne technologie, „zielone korytarze" na granicy polsko-rosyjskiej, regularne konsultacje Warszawy z Moskwą ws. „różnych aspektów bezpieczeństwa".

14 grudnia 2013 roku, tuż przed podpisaniem „Programu 2020", niemiecki „Bild" ujawnił, że Rosja rozmieściła na terenie Kaliningradu w pobliżu granicy z Polską oraz wzdłuż granicy z krajami bałtyckimi, rakiety krótkiego zasięgu typu Iskander-M, przystosowane do przenoszenia głowic atomowych. W zasięgu rakiet znalazło się całe terytorium Polski. Zaniepokojenie tym faktem od razu wyraziły zarówno NATO, jak i Stany Zjednoczone. Tymczasem Radosław Sikorski – pytany 16 grudnia o działania Rosji – odpowiedział, że doniesienia o Iskanderach w Kaliningradzie są „przesadzone". ■

Jednym z najważniejszych i najbardziej zdumiewających dokumentów stanowiących załącznik do raportu jest projekt „Komunikatu dotyczącego współpracy między Siłami Zbrojnymi Rzeczypospolitej Polskiej a Siłami Zbrojnymi Federacji Rosyjskiej".

eprasa.pl d1d189da9f

KLUB WAŁDAJSKI, CZYLI POŻYTECZNI IDIOCI PUTINA

eprasa.pl d1d189da9f

Grzegorz Wszołek

Discussion Club

Zapomniany w polskiej debacie publicznej Klub Wałdajski zrzeszał elity polityczno-biznesowe, które rozprawiały o geopolityce i wyzwaniach stojących przed Rosją na arenie międzynarodowej. Gospodarz forum jako gości z Polski wybrał redaktora Adama Michnika, byłych premierów Leszka Millera i Józefa Oleksego oraz publicystę, dziś posła Andrzeja Rozenka. Międzynarodowy panel dyskusyjny służył umacnianiu więzi Rosji z Zachodem, a przede wszystkim omówieniu wyzwań polityki zagranicznej Kremla, niosącego pokój i bezpieczeństwo w każdym zapalnym rejonie świata. – Ostatecznie nie udało się Federacji Rosyjskiej zawiązać trwałego i silnego, liczącego się na naszej scenie politycznej stronnictwa prorosyjskiego – komentuje ekspert ds. Rosji Grzegorz Kuczyński.

fot. MICHAEL KLIMENTYEV / SPUTNIK / KREMLIN POOL/PAP/EPA

Dziś „nowe otwarcie" w relacjach Zachodu z Rosją widać na ulicach Buczy, Borodzianki, Mariupola czy Kramatorska, gdzie giną niewinni ludzie. Wolny świat przez lata napędzał machinę wojenną Władimira Putina, wspólnie inwestując w geopolityczne projekty, uzależniające Europę Środkowo-Wschodnią od rosyjskiego gazu. Instrumentem wywierania wpływu na elity zachodnie, propagowania pozytywnego wizerunku Kremla, aż w końcu legitymizacji władz i zbliżenia z demokratycznymi państwami Europy był Klub Wałdajski, który swą nazwą nawiązuje do jeziora Wałdaj, gdzie niedaleko zorganizowano pierwsze forum w 2004 roku. Od tamtej pory co roku „korporacja zabójców" selekcjonowała wybranych gości – przedstawicieli elit polityki, biznesu, nauki i mediów – do udziału w debatach nad reformami, historią czy wyzwaniami stojącymi przed Rosją.

Pralnia mózgów

Zebranych swoją obecnością zaszczycał sam Władimir Putin, który chętnie częstował ich wódką. Drugą ważną personą od 2008 roku był Dmitrij Miedwiediew – późniejszy prezydent i premier, chwilowo zmieniający się rolami z postacią nr 1 w Moskwie. W Klubie Wałdajskim nie mogło zabraknąć Aleksandra Dugina – ideologa putinizmu, zwolennika ruchu euroazjatyckiego, który od wielu lat podważa sens istnienia Ukrainy jako oddzielnego bytu państwowego od Rosji. Dugin szczerze nienawidzi Stany Zjednoczone, posługuje się retoryką znaną z czasów słusznie minionych i namawia swoich mocodawców do zaostrzenia retoryki wobec Zachodu. Planów Putina nie pokrzyżowała nawet agresja na Gruzję – powstrzymana m.in. dzięki inicjatywie prezydenta Lecha Kaczyńskiego w Tbilisi – w wyniku której udało się Rosji przejąć Osetię Południową i Abchazję. Mimo inwazji, Klub Wałdajski organizowano nieprzerwanie, m.in. w Soczi i Sankt Petersburgu. Nie przeszkodziła w tym nawet wojna w Donbasie w latach 2013–2014.

– To było obmyślone jako kanał komunikacji na poziomie elit politycznych i biznesowych Rosji z zachodnimi. Stąd pomysł zapraszania do Klubu Wałdajskiego znanych polityków, biznesmenów, publicystów. Warto pamiętać, że w momencie zakładania forum, był to okres poprawnych stosunków Kremla ze światem zachodnim. Rok 2004 to jeszcze czas koalicji antyterrorystycznej, zawiązanej po zamachach Al-Kaidy na World Trade Center i Pentagon trzy lata wcześniej. Rosjanie wspierali operację w Afganistanie, choć po Iraku w 2003 roku sytuacja ulegała powoli zmianie – podkreśla w rozmowie z „Nowym Państwem" dziennikarz

d189da9f

Grzegorz Kuczyński, autor książki dokumentalno-historycznej „Jak zabijają Rosjanie". – Klub Wałdajski miał służyć kształtowaniu opinii międzynarodowych i przekazywaniu fałszywych lub wyolbrzymianych informacji na temat różnych aspektów polityki rosyjskiej. Z grona najważniejszych polityków z otoczenia Władimira Putina można wymienić byłego prezydenta i premiera Dmitrija Miedwiediewa, byłego szefa MON Siergieja Iwanowa czy dziennikarza i analityka Fiodora Łukjanowa. Chodziło o kształtowanie polityki międzynarodowej Federacji Rosyjskiej w kręgach opiniotwórczych na świecie, stąd połączenie polityki, biznesu, świata analityków i mediów – opisuje Kuczyński.

Z polskich „osobistości" „zaszczyt" spotkał niewielką grupkę wybranych: Adama Michnika, Leszka Millera, Andrzeja Rozenka i nieżyjącego już Józefa Oleksego. Trzech pierwszych do dzisiaj nie opisało w szczegółach swojego udziału w cyklu spotkań geopolitycznych. Jednocześnie cała trójka wskazuje, kto jest dzisiaj sprzymierzeńcem Putina, i namawia do zmiany polskiej władzy, rzekomo nieprzeciwstawiającej się Moskwie. Gorącym propagatorem Klubu Wałdajskiego w Polsce był również były działacz Samoobrony, Mateusz Piskorski, na którym obecnie ciąży akt oskarżenia w sprawie szpiegostwa na rzecz obcych wywiadów: rosyjskiego i chińskiego. Piskorski przebywał w areszcie tymczasowym w latach 2016–2019. Z rzecznika Samoobrony sprytnie przebranżowił się w „bezstronnego" dziennikarza – współpracował ze Sputnikiem i z rosyjską telewizją Russia Today. W internetowym periodyku „Myśl Polska" zamieścił lata temu pełne tłumaczenie wywodów Aleksandra Dugina. Piskorski był zwolennikiem napaści rosyjskiej na Gruzję w 2008 roku, co wyrażał podczas warszawskiej demonstracji poparcia dla wojsk Władimira Putina. To on zorganizował grupę „obserwatorów", która miała przyglądać się referendum w sprawie aneksji Krymu, i uznał farsę za akt „zgodny z prawem".

Kiedy Putin zaczął być zabójcą?

„Na Klub Wałdajski zaprosił mnie jego organizator i pomysłodawca, związany z Putinem politolog Siergiej Karaganow; na Forum w Jarosławiu – zaufany ekonomista Miedwiediewa Władysław Inoziemcow. Zaproszenia przyjąłem, bo ciekawiło mnie, jak wygląda taka »pokazucha«, jak mówią moi rosyjscy przyjaciele. Chciałem skonfrontować opinie Rosji oficjalnej i nieoficjalnej i zobaczyć, jak działają ludzie nazwani przez Lenina »pożytecznymi idiotami Zachodu«" – wspominał Adam Michnik na łamach „Gazety Wyborczej" w 2010 roku. Redaktor był zauroczony poziomem debat, tym, ile ważnych osób spotkał i jak został przywitany przez kremlowską wierchuszkę. Dodawał, że wierzy w możliwość modernizacji Rosji, otwarcia jej na Zachód – jeśli nie z powodu polityki prowadzonej przez Putina lub Miedwiediewa, to może kogoś innego. W trakcie dyskusji Michnik wypytywał prezydenta Federacji Rosyjskiej o losy Michaiła Chodorkowskiego, najbogatszego swego czasu Rosjanina, więzionego m.in. w kolonii karnej na Syberii. Putin – jak relacjonował Michnik – miał się zezłościć i fuknąć na redaktora naczelnego „Gazety Wyborczej": Chodorkowski „ma krew na rękach niewinnych ludzi!". Mimo spięcia i zdawkowej odpowiedzi, Michnik nie ukrywał fascynacji elitami na Kremlu. „Jeśli Moskwa nie wykona zwrotu, utonie w stagnacji. Dlatego trzeba życzliwie spoglądać na tych, którzy chcą Rosję modernizować, czyli demokratyzować. W jednym z artykułów Wiaczesław Inoziemcow napisał, że być dziś za modernizacją znaczy być demokratą. Nie wiem, co będzie, ale trzymam kciuki za tych, którzy chcą zmieniać Rosję na lepsze, czyli poszerzać obszar demokracji" – zakończył swój naiwny tekst, zweryfikowany przez brutalny imperializm rosyjskich czekistów. Charakterystyczny był już sam tytuł: „Wyznania antysowieckiego rusofila". Co ciekawe, polemikę z tak niebezpiecznym podejściem, której autorką była politolog Lilia Szewcowa, zamieszczono w... „Gazecie Wyborczej". Autorka nazwała legitymizujących Putina poprzez uczestnictwo w Klubie Wałdajskim „pożytecznymi idiotami". W tym miejscu oddajmy głos Szewcowej, która musiała wprowadzić niejednego czytelnika gazety Michnika w zakłopotanie. „Myślę, że wszyscy uczestnicy Klubu Wałdajskiego rozumieją, w jakim spektaklu biorą udział. Nie są to przecież głupi ludzie. Niektórzy być może naiwni. Ale nie na tyle, żeby nie rozumieć sensu sztuki, w której grają, i swojej roli w niej. Co ich ciągnie do obcej dla nich, ale widać atrakcyjnej kremlowskiej władzy? Ciekawość? Jakkolwiek by było, część gości zaczyna odczuwać zachwyt, jest im miło i chcą powiedzieć naszej władzy i o naszej władzy coś przyjemnego. Potem już nigdy nie mogą mówić o tej władzy prawdy" – pisała Szewcowa. I pod koniec zadała kolejne pytania: „Rosja weszła w okres niestabilności, a niszczenie alternatywy politycznej tylko pogłębia nieprzewidywalność. Europejscy intelektualiści mogą, przynajmniej, uprzedzić swoje elity polityczne, że spokój w Rosji jest złudny, a rosyjska konstrukcja niestabilna. Czy żeby to zrozumieć, trzeba jechać na obiad z rosyjskim tandemem? Można by zrozumieć ich ciekawość, gdyby w czasie tych spotkań dowiadywali się czegoś nowego o Rosji albo mieli możliwość wziąć udział w dyskusji z przywódcami rosyjskimi. Ale wyznaczono im inną rolę. Powinni zadawać przygotowane wcześniej pytania, na które dostaną znane odpowiedzi. Co nowego dają im te spotkania? Najbardziej ostre pytanie to, kto będzie kandydatem na prezydenta w następnych wyborach. Odpowiedź na nie wałkują potem wszystkie gazety. I to ma być news?".

eprasa.pl d1d189da9f

Po 12 latach od fascynacji Klubem Wałdajskim – w dzień inwazji rosyjskiej na Ukrainę – Michnik zupełnie inaczej opisywał to specyficzne forum. Nacisk położył na kłótnię z Putinem o Chodorkowskiego. – Putin poczerwieniał i widziałem nagle, że naprzeciw mnie siedzi gangster, bandyta z amerykańskich filmów. Putin od początku był tym, kim pozostał, podpułkownikiem KGB – stwierdził na spotkaniu Klubu „Gazety Wyborczej" 24 lutego 2022 roku. W publicystyce z lat 2007–2014 nie znajdziemy tego typu poglądów, wyrażanych przez Michnika. Każdy, kto mówił językiem redaktora „Gazety Wyborczej" w epoce „ocieplenia", był okraszany epitetami przez środowisko z Czerskiej – na czele z „rusofobem" – i oskarżany o „wymachiwanie szabelką".

Miller i Rozenek – prorosyjskie stronnictwo

Leszka Millera na Klub Wałdajski zaproszono co najmniej dwukrotnie – w 2010 roku do Sankt Petersburga i siedem lat później do Soczi. Trudno się dziwić, skoro były premier od lat jest gwiazdą przekaźnika propagandowego Kremla, czyli Sputnika. Miller wielokrotnie krytykował politykę polskich władz po 2015 roku w ich podejściu do Rosji. Zgadzał się z rosyjską narracją na temat usunięcia rosyjskich pomników w naszym kraju. Dobrze zna korespondenta Sputnika, Leonida Swiridowa. Przypomnijmy, że Rosjanin został uznany w 2015 roku przez ABW za rosyjskiego kreta, działającego pod przykryciem dziennikarza, i nie ma już wstępu do Polski. – Putin akurat wybrał sobie taką sylwetkę zdecydowanego, mocnego człowieka, który chce zapewnić swojemu krajowi pozycję światowego mocarstwa. Każdy polityk, który chce być wygrany, musi stosować takie metody, które w oczach społeczeństwa dają mu właśnie tę siłę – chwalił Miller prezydenta Rosji. Zapytany kilka tygodni temu w wywiadzie dla „Gazety Wyborczej", dlaczego uczestniczył w posiedzeniach Klubu Wałdajskiego, obecny europoseł stwierdził: – W 2010 roku byłem tam razem z Adamem Michnikiem. Jeśli chodzi o Krym, to wysłuchałem intelektualistów rosyjskich, bo tam bywają i politycy, i uczeni oraz profesorowie głównych uczelni rosyjskich, i niektóre ich argumenty wydawały się trafne. Dzisiaj jestem zdania, że trzeba to traktować jak aneksję, i tyle – podsumował. Po rosyjskiej inwazji, Miller jest zapraszany do największych mediów w Polsce po to, by analizować przyszłe ruchy Władimira Putina i krytykować PiS za „udział w proputinowskim sojuszu" z Viktorem Orbánem.

W gronie zaproszonych do pudrowania putinowskiego reżimu znalazł się jeszcze Andrzej Rozenek – kiedyś działacz Twojego Ruchu Janusza Palikota, obrońca WSI i krytyk weryfikacji postkomunistycznych, wojskowych służb specjalnych, do niedawna związany z Lewicą. Poseł był pod wrażeniem wzniesionego toastu z Putinem w trakcie Klubu Wałdajskiego w 2010 roku. – Starałem się obserwować go jako człowieka. Od samego początku skracał dystans. Gdy zaczęliśmy jeść, podano nam przystawkę, z którą wszyscy uczestnicy spotkania męczyli się małymi widelczykami i ganiali jajko po talerzu. Natomiast Putin wziął je w ręce, co zauważyło większość ludzi i spowodowało to totalne skrócenie dystansu. Nagle pękła atmosfera związana z tym, że siedzi przy naszym stole premier, bądź co bądź, mocarstwa. Okazało się, że to człowiek z krwi i kości, a nie tylko instytucja – relacjonował cały w skowronkach. – Od zawsze mówię o konieczności bardzo bliskich kontaktów między Polską a Rosją, uważam, że te stosunki powinny być jak najbardziej przyjazne. I być może któraś z tych odpowiedzi dotarła do organizatorów [...], bardzo się cieszę, że zostałem doceniony. Gotów jestem też uwierzyć, że to wyróżnienie spadło na mnie dlatego, że byłem wicenaczelnym „Nie", którego prorosyjska linia jest znana. A ponieważ wiadomo, że Urban nigdzie nie jeździ, to zaproszono mnie – zwierzał się kompromitująco w wywiadzie udzielonym Robertowi Mazurkowi w „Rzeczpospolitej". Jak wygląda ostatnia aktywność publiczna Rozenka? Tak, zgadliście Państwo, pod publiczkę wyzywa przeciwników politycznych od sojuszników Putina i domaga się większych sankcji na Rosję. – Rozenek krytykuje polityków PiS, gdyż od wielu lat prowadzi antypisowską krucjatę. Ten były dziennikarz wywodzi się z obozu postkomunistycznego, współpracował z „Nie" Jerzego Urbana. To jawnie prorosyjskie, obrzydliwe środowisko, trudno więc oczekiwać, że Rozenek nagle zmienił poglądy, skoro kiedyś zachwycał się Władimirem Putinem w trakcie forum wałdajskiego – ocenia Kuczyński.

– Oni wyjeżdżali na spotkania Klubu Wałdajskiego, ponieważ reprezentowali prorosyjski nurt w polskiej polityce. Część z nich działała w przeszłości w PZPR, powiązanej bezpośrednio z Moskwą w czasach komunizmu. Zapraszano polskich przedstawicieli, by pielęgnować relacje z tamtą częścią obozu politycznego w Polsce. Zauważmy, że w porównaniu z liczbą gości na Klubie Wałdajskim innych zagranicznych gości, to z Polski udawała się tam garstka. Nie udało się Federacji Rosyjskiej zawiązać trwałego i silnego, liczącego się na naszej scenie politycznej, stronnictwa – uważa redaktor Kuczyński. – Nawet, jeśli dana partia w Polsce sprzyjała interesom rosyjskim, to nigdy nie robiła tego w sposób absolutnie otwarty – wskazuje dziennikarz w rozmowie z „Nowym Państwem". ■

eprasa.pl d1d189da9f

Tomasz Łysiak

ROSJA w objawieniach fatimskich

Objawienia Fatimskie, których doświadczyła w 1917 roku trójka małych pastuszków z Portugalii, lokują się zarówno w obszarze wiary, modlitwy i pokuty, jak i spojrzenia na historię z perspektywy, w której Rosja odgrywa szczególną rolę. Wyjątkowo mocno ich treść wybrzmiewa w tym roku, kiedy ów kraj wspomniany przez Matkę Bożą pokazuje na Ukrainie, po raz kolejny, okrutną, bestialską twarz.

FOT. WIKIPEDIA.

eprasa.pl d1d189da9f

Kiedy troje dzieci z podfatimskiej wioski Aljustrel – Łucja de Santos oraz jej kuzyni Franciszek i Hiacynta Marto – przeżywali mistyczne spotkania z Matką Bożą, w Europie trwała wojna. Polskie legiony wiosną stanęły nad Styrem. Trzy brygady biły się w bitwie pod Kostiuchnówką (4–6 lipca 1917 roku), dosłownie na tydzień przed trzecim widzeniem w Portugalii, tym właśnie, w którym Maryja przekazała trójce dzieci informację dotyczącą Rosji i konieczności poświęcenia jej Bogu. Kostiuchnówka, najbardziej krwawa ze wszystkich bitew legionowych, kosztowała życie wielu legionistów. Obraz nacierających pułków rosyjskich szedł tu w parze z mężną postawą Polaków osłaniających odwrót oddziałów austriackich i węgierskich. Ta perspektywa wojenna jest ważna, pozwala lepiej zrozumieć i wniknąć w ducha czasów, które zostały naznaczone w całej Europie olbrzymimi cierpieniami i milionowymi ofiarami. Bitwy pod Verdun czy Ypres to te najbardziej znane epizody z okresu wielkiej wojny, ale trzeba pamiętać, że była ona kataklizmem powszechnym, ogarniającym całą Europę, zmieniającym życie rodzin, powodującym falę destrukcji i śmierci. Do pewnego czasu historyczna narracja dotycząca wojen – i ich przebiegów – skupiała się na działaniach polityczno-militarnych, rzadziej natomiast na tym, jak cierpiało w wyniku wielkich konfliktów społeczeństwo, jak odciskały się one na zwykłych ludziach. Zresztą czasy i oblicze wojen zmieniły się. Tak naprawdę dopiero II wojna światowa – ze swymi okropieństwami, z piecami krematoryjnymi w Auschwitz i na Majdanku, zagładą, niemieckimi obozami koncentracyjnymi i sowieckimi gułagami – wyostrzyła naszą uwagę i skierowała ją właśnie w stronę cierpień ludności cywilnej. A przecież jej poprzedniczka z lat 1914–1918 (dla Polaków dodać tu trzeba jeszcze wojnę z bolszewikami 1919–1920) była wstrząsającym doświadczeniem.

Apokaliptyczna wizja

Nagle, w trzecim roku wielkiej wojny, Matka Boża przyszła do trojga dzieci z portugalskiej wsi, by zaniosły światu nowiny. Maryja podawała je stopniowo, w odpowiednio dozowanej narracji. Ostatnia część objawienia przechowywana była długo przez papieży, a gdy w końcu została ujawniona światu przez św. Jana Pawła II w 2000 roku, wzbudziła szerokie zainteresowanie i spowodowała natychmiastowy wysyp różnego rodzaju interpretacji, pomimo iż jej ogłoszenie zostało uważnie przygotowane i opatrzone komentarzem Kongregacji Nauki i Wiary. Stanowi ona przerażającą, iście apokaliptyczną wizję doświadczanego świata i Kościoła, z centralnie umieszczonym w oku uwagi widza papieżem cierpiącym męczeńsko u stóp krzyżu. Notabene Karol Wojtyła, trafiony kulą zamachowca 13 maja 1981 roku, miał odnosić do siebie ową wizję „odzianego w biel biskupa", trafianego zarówno kulami karabinowymi, jak i strzałami z łuku. Rok po zamachu pojechał z wizytą do Fatimy pokłonić się Maryi w tamtym świętym miejscu i podziękować za ocalenie życia. Jednak, gdy ujawnił trzecią część lipcowego objawienia – Europa żyła w złudnym przeświadczeniu, iż w jakiejś mierze Fukuyama miał rację pisząc, że historia na jakiś czas się skończyła – Związek Sowiecki się rozpadł, w geopolityce nastał nowy ład, a postzimnowojenny, pokojowy układ między mocarstwami splata taka sieć zależności biznesowych, że stanowią one swego rodzaju gwarant wyrastający ponad dotychczas obowiązujące układy sił i zagrożeń. Zupełnie tak, jakby nowoczesna współczesność, sama przez się, przez przepłynięcie centrów siły i władzy w rejony związane z wielkimi interesami, eliminowała zagrożenie wojnami. W takiej rzeczywistości treść objawień jawiła się jako dokonana czy wręcz „przedawniona". Niepokój wprowadzały jedynie ostrzeżenia dotyczące owej trzeciej, najważniejszej tajemnicy, trzymanej przez tyle dziesięcioleci w zalakowanej watykańskiej kopercie.

Módlcie się za grzechy świata

Zanim trójce fatimskich dzieci objawiła się Matka Boża, przeżyły one spotkania z Aniołem (wiosną i latem 1916 roku). Rok później Łucja, Franciszek i Hiacynta zobaczyły samą Madonnę. Wszystko wydarzyło się 13 maja 1917 roku, w okolicy gospodarstwa należącego do rodziców Łucji de Santos w Cova da Iria (kilka kilometrów od Fatimy). Zgodnie z opisem Łucji, była to „Pani ubrana na biało, bardziej błyszcząca niż słońce". W trakcie tego i następnych objawień głos Matki Bożej był słyszany przez obie dziewczynki, natomiast chłopiec, Franciszek, jedynie ją widział. Te niezwykłe spotkania miały formę dialogu między dziećmi a Matką Bożą. I tak w pierwszym objawieniu maluchy rozpytywały, które z nich pójdzie do nieba, a Madonna spytała, czy chcą się ofiarować Bogu, „aby

eprasa.pl d1d189da9f

znosić wszystkie cierpienia, które On zechce zesłać", by wyprosić nawrócenie grzeszników. Przy czym Matka Boża poprosiła: „Odmawiajcie różaniec codziennie, abyście uprosili pokój dla świata i koniec wojny". Jednocześnie nakazała Franciszkowi, Hiacyncie i Łucji milczenie na temat tego, co widziały i słyszały. Drugie objawienie miało miejsce miesiąc później 13 czerwca. W jego trakcie Matka Boża wyjawiła m.in. pragnienie, by ustanowiono na świecie nabożeństwo do Jej Niepokalanego Serca, i po raz kolejny wezwała do modlitwy różańcowej za grzechy świata.

Narody będą unicestwione

Wreszcie 13 lipca nastąpiło trzecie, to prowokujące najwięcej domysłów i dróg interpretacyjnych, objawienie. Składało się z trzech części. Pierwsza była przerażającą wizją piekła. Zrobiło to na dzieciach olbrzymie wrażenie: wstrząśnięte wpatrywały się w Matkę Bożą, która wyjaśniła im, że właśnie z tego powodu potrzeba jest tak dużo modlitwy za odkupienie grzechów. W drugiej Matka Boża zapowiedziała nadejście kolejnej, strasznej wojny oraz znaku zapowiadającego karę dla świata „za jego zbrodnie w postaci wojny, głodu i prześladowania Kościoła oraz Ojca Świętego". Jest jednak wyjście, które natychmiast podsunęła dzieciom Madonna: „Aby temu zapobiec, przyjdę prosić o poświęcenie Rosji mojemu Niepokalanemu Sercu oraz o Komunię św. wynagradzającą, w pierwsze soboty miesiąca. Jeśli moje prośby zostaną wysłuchane, Rosja nawróci się i nastanie pokój. Jeżeli nie, rozpowszechni swe błędy po świecie, wywołując wojny i prześladowania Kościoła. Dobrzy będą umęczeni, Ojciec Święty będzie musiał wiele wycierpieć, narody będą unicestwione". Dalej zaś następowała dająca otuchę obietnica pokoju – jeśli Ojciec Święty poświęci Rosję Maryi.

Trzecia część tego objawienia to były obrazy, których świat nie znał aż do roku 2000 – zostały bowiem spisane przez siostrę Łucję i w zalakowanej kopercie wysłane do Watykanu z instrukcją, by nie otwierać ich przed 1960 rokiem. Minęło jednak dużo więcej czasu, zanim Stolica Apostolska zdecydowała się ujawnić ich treść.

Milczenie papieży

Franciszek umarł w 1919 roku, po zarażeniu się „hiszpanką". Jego siostra Hiacynta przeżyła go jedynie o rok, odeszła, także po chorobie, 20 lutego. Natomiast Łucja w 1926 roku wstąpiła do Zgromadzenia Sióstr św. Doroty w Vilar (Porto), by w 1948 roku przywdziać habit karmelitanki z Coimbrze. Długo zachowywała milczenie w kwestii treści usłyszanych od Madonny, ale wciąż doznawała kolejnych objawień. Powstrzymywana przez miejscowego biskupa, nie mówiła nic o szczegółach, aż do roku 1927, gdy część objawień ujawniła, poproszona o to przez Matkę Bożą (opowiedziała wtedy też o tym, co usłyszała w czerwcu 1917 roku). Łucja spisała też swoje wspomnienia. W 1941 roku biskup Leirii zwrócił się do niej, by zanotowała wszystko, co pamięta z tamtych dni, by zamieścić to w kolejnym wydaniu historii życia Hiacynty. Mniszka ujawniła wtedy dwie z trzech części objawienia z lipca 1917 roku. Trzecią przekazała w zalakowanej kopercie biskupowi, aby ten wysłał ją do Watykanu. Biskup uczynił to w roku 1957. Pius XIII najprawdopodobniej nie zapoznał się z treścią tajemnicy. Odczytał ją natomiast Jan XXIII i... postanowił nie upubliczniać, pomimo iż Łucja sugerowała rok 1960, jako czas odpowiedni do przekazania wiadomości całemu światu od Maryi zapisanych na czterech liniowanych karteczkach.

Szatańskie państwo

W dobie obecnej wojny najbardziej powracają słowa drugiej części objawień fatimskich z 13 lipca 1917 roku. Notabene warto zwrócić uwagę na fakt, iż miało ono miejsce na kilka miesięcy przed wybuchem rewolucji październikowej. Zanim jeszcze „błędy" Rosji, w wersji bolszewickiej i marksistowskiej zaczęły realnie zagrażać światu. Przez dziesięciolecia różnie je interpretowano, ale na ogół rzecz wydawała się dość oczywista – Związek Sowiecki był krajem zła wcielonego, był szatańskim państwem zagrażającym światowi Zachodu postawionemu na łacińskich i chrześcijańskich korzeniach. Gdy ZSRS upadł, dopatrywano się dalszego ciągu w postaci wszystkich lewicowych schorzeń niszczących dawny świat wartości. Przy czym ów szalejący w świecie kultury i sposobie życia neobolszewizm to choroba wyrosła na podglebiu sowieckim, ale przepoczwarzona i powodująca cywilizacyjne „gnicie Zachodu". Jednak teraz, gdy z Ukrainy płyną przerażające wiadomości i obrazy, trudno nie dostrzec, iż Rosja nadal stanowi wielkie zagrożenie – nie tylko w sposób pośredni, poprzez atak w sferę wartości, lecz także do-

eprasa.pl d1d189da9f

słownie, tak jak w dobie ekspansji Związku Sowieckiego. Owe „błędy" nadal więc rozprzestrzeniają się po świecie, w dwóch obszarach: ideologicznym, a także związanym z militarnym podbojem. Znowu wolny świat obawia się rosyjskich czołgów, bomb i rakiet. Znowu rosyjscy żołnierze kradną, gwałcą, mordują... Znów pojawia się wizja piekła. Czerwonego piekła.

Nie chcieli spełnić mojej prośby

Poświęcenie Rosji Niepokalanemu Sercu Maryi stało się jednym z najważniejszych wezwań Matki Bożej ukazującej się dzieciom w Fatimie. Ale siostra Łucja słyszała wyraźne wskazówki i później. W roku 1929 Madonna zakomunikowała jej, że „nadszedł moment, aby Kościół Święty został powiadomiony o Jej pragnieniu poświęcenia Rosji i o obietnicy nawrócenia tego kraju". Łucja zanotowała, iż modlitwa w trakcie poświęcenia Rosji powinna być zmawiana wraz z „biskupami świata" – w ten sposób będzie można ocalić ten kraj. We wspomnieniach zapisała słowa, którymi się podzieliła rok później ze swym spowiednikiem: „O ile się nie mylę, dobry Bóg obiecuje zakończyć prześladowanie w Rosji, jeżeli tylko Ojciec Święty raczy sam, i poleci wszystkim biskupom świata katolickiego, dokonać publicznego i uroczystego aktu zadośćuczynienia i poświęcenia Rosji Najświętszym Sercom Jezusa i Maryi". Chrystus, także ukazujący się siostrze Łucji, miał się potem skarżyć, że takiego poświęcenia Rosji nie dokonano: „Nie chcieli spełnić mojej prośby. Tak jak król Francji będą tego żałować i dokonają poświęcenia, ale będzie już za późno. Wtenczas Rosja już rozszerzy swoje błędy w świecie, wywołując wojny i prześladowania Kościoła. Ojciec Święty będzie musiał wiele wycierpieć".

18 maja 1936 roku Łucja spytała więc Jezusa, czemu sam nie poświęci Rosji. Mesjasz odpowiedział jej: „Ponieważ chcę, aby cały mój Kościół uznał w tym poświęceniu tryumf Niepokalanego Serca Maryi. Aby kult Jej Niepokalanego Serca mógł się później szerzyć obok nabożeństwa do Mego Przenajświętszego Serca. Módl się wiele za Ojca Świętego. Uczyni to, ale będzie już za późno". Czy zatem – to, czego dokonał Karol Wojtyła, było aktem poświęcenia dokonanym „zbyt późno"?

Bóg dotrzyma słowa

Jan Paweł II był pierwszym papieżem, który usłuchał wezwania Matki Bożej z Fatimy w kwestii rosyjskiej. Po zamachu na placu Świętego Piotra, w trakcie pobytu w klinice Gemelli przestudiował zapiski fatimskie i zanotował: „Zrozumiałem, że jedynym sposobem ocalenia świata od wojny, ocalenia od ateizmu jest nawrócenie Rosji, zgodnie z orędziem z Fatimy". A potem, 25 marca 1984 roku, dokonał poświęcenia świata i Rosji Niepokalanemu Sercu Maryi, przy czym uczynił to w sposób kolegialny, tzn. w jedności z biskupami całego świata. Dokonało się to w Rzymie, przed Statuą Matki Bożej Fatimskiej przywiezioną z Fatimy. Nuncjusz apostolski spytał potem siostry Łucji: „Czy teraz Rosja jest już poświęcona?". „Tak, teraz już tak" – odparła. „Więc teraz – dodał nuncjusz – czekamy na cud". „Bóg dotrzyma słowa" – odpowiedziała Łucja.

Papież Franciszek 25 marca tego roku, zgodnie ze wskazaniami fatimskimi, po raz kolejny poświęcił Rosję Matce Boże w specjalnej modlitwie. A raczej oba narody: ukraiński i rosyjski. Był jednak potem – także w wypadku decyzji o niesieniu krzyża w Wielki Piątek przez Ukrainkę i Rosjankę oraz wypowiedzi, w których brak jednoznacznego wskazania, kto jest agresorem, a kto ofiarą w tej wojnie – krytykowany.

Wezwanie Matki Bożej każdy chrześcijanin może jednak przyjąć prywatnie, osobiście do serca i modlić się różańcem dla odkupienia świata: to także przecież ważna część objawień fatimskich. W tym roku brzmią one po raz kolejny w sposób silny i znaczący. ■

25 marca 1984 roku Jan Paweł II dokonał poświęcenia świata i Rosji Niepokalanemu Sercu Maryi. Uczynił to w sposób kolegialny, tzn. w jedności z biskupami całego świata.

eprasa.pl d1d189da9f

MATERIAŁ
MARKETINGOWY

Pełna ochrona
auta **już od 75 zł**
miesięcznie
w abonamencie

Kompleksowe ubezpieczenie **PZU Auto**

PZU Auto OC + AC + NNW + assistance w wariancie Super to pewność, że cokolwiek się zdarzy, możesz na nas polegać:

- sprawna pomoc podczas wypadku, awarii i innych zdarzeń drogowych,
- kompleksowe wsparcie na każdym etapie obsługi szkody,
- auto zastępcze,
- **NOWOŚĆ – weryfikacja auta przed zakupem na rynku wtórnym.**

Sprawdź szczegóły na **pzu.pl**

Zakładem ubezpieczeń jest PZU SA. Składka za pakiet OC + AC + NNW + assistance PZU Pomoc w Drodze w wariancie Super w wysokości 75 złotych miesięcznie w abonamencie została wyliczona dla klienta w wieku 48 lat z miejscowości Krasnystaw, właściciela pojazdu Skoda Fabia III 1.2 benzyna 90 KM, rok produkcji 2017. Szczegółowe informacje o zakresie ubezpieczenia, w tym o wyłączeniach i ograniczeniach odpowiedzialności PZU SA, znajdziesz w ustawie o ubezpieczeniach obowiązkowych, Ubezpieczeniowym Funduszu Gwarancyjnym i Polskim Biurze Ubezpieczycieli Komunikacyjnych oraz w ogólnych warunkach ubezpieczeń komunikacyjnych PZU Auto, a informacje o abonamencie znajdziesz w zasadach płatności abonamentowych - dostępnych na stronie pzu.pl, u naszych agentów i w naszych oddziałach.

eprasa.pl d1d189da9f

Ewa Polak-Pałkiewicz

Historia naszych narodów – polskiego i ukraińskiego – powraca (wbrew intencjom rosyjskiego agresora) do swojego głównego, naturalnego nurtu, którego nieprzyjaciel tak bardzo się obawiał. Gdy każdy Ukrainiec „rad, bratersko jednał się z Lachami”.

„ŻEGNAJCIE, CHACHŁY!”, CZYLI SKĄD WZIĄŁ SIĘ ŻAL W DUMCE KOZACKIEJ

eprasa.pl d1d189da9f

Żegnajcie, chachły, razem żyliśmy – i z oczu!
Splunąć by w Dniepr, być może jeszcze się wstecz potoczy.
Brzydzicie się godnie nami, znudzeni, znużeni swą męką,
Rozłączonymi węgłami, wielowiekową udręką.

Źle nas nie wspominajcie, waszego chleba, nieba
Nam, gdy stłoczycie makuchy, fałszywego nie trzeba.
Nie ma co krwi psuć czy rwać na piersi koszuli,
Skończyła się, widać, miłość, jeśliście ją czuli.

To fragment wiersza rosyjskiego noblisty i emigranta politycznego Josifa Brodskiego „Na niepodległość Ukrainy", z 1992 roku. O jaką „miłość" tu chodzi? Czy nie taką, o jakiej wspomina Oksana Zabużko (za Jurijem Szerech-Szewelowem): „Piotr I kochał nas, kiedy palił Baturyn, a Katarzyna II, kiedy niszczyła Hetmańszczyznę i Sicz". Skąd właśnie u Brodskiego tak zjadliwa ironia wobec Ukraińców, skąd pogarda, kojarząca się nie z literackim geniuszem, nie z twórczym natchnieniem, lecz z manią prześladowczą, niską, ciasną i zapiekłą ideologią?

„Ukraina to ponadczasowe poczucie wolności, poczucie posiadania własnego wyboru, własnego zdania i walka o swój wybór. Widać to szczególnie od 24 lutego 2022" – przypomina dr Mateusz Kamionka, badacz przemian społecznych na Ukrainie. Pragnienie wolności, poczucie wolności, a zarazem tęsknota za prawdziwym autorytetem, za odpowiedzialnym i mężnym przywództwem, za ojcostwem władzy, a nie jej tyranią, to wyrywanie się duszy ludzkiej do tego, czego każdy człowiek – i każdy naród – potrzebuje jak powietrza. A gdy go nie ma, niczym nie jest sobie tego braku w stanie zrekompensować.

Na wskroś wiejscy – tacy w oczach wielu Polaków, ale i w ocenie historyków, są Ukraińcy. Ale nie znaczy, że „znikąd". Polacy, którzy znają Ukrainę od podszewki, bo spędzili tam nie parę tygodni, miesięcy, lecz kilka ładnych lat, podkreślają, że naszych sąsiadów, w głębszym, nie tylko socjologicznym sensie, ukształtowała wieś, nie miasto. Cechy mieszkańców wsi można bez trudu rozpoznać wśród dzisiejszych Ukraińców: prostolinijność, operowanie konkretem, poczucie realizmu, zdecydowanie, nierzadko także porywczość i dosadność języka. Ukraińcy nie potrafią bawić się słowami, udawać emocji – a może i potrafią, ale nudzi ich to. Życie na wsi nie jest sielanką, kształtuje twarde charaktery. Nie sprzyja infantylizmowi, nie toleruje dwuznaczności, wymusza szybkie uczenie się na błędach. Życie na wsi to nieustanna walka z naturą, z groźnymi żywiołami, walka, która nie jest niczym poetycznym.

▶ Didy – chorążowie wolności

O tym, że źródła kultury tkwią tu właśnie „w prostym ludzie" – a prostota jest tu zaprzeczeniem prostactwa – zaświadcza Taras Szewczenko (1814–1861), narodowy wieszcz Ukrainy. Ten syn chłopów pańszczyźnianych spośród 47 lat życia spędził tylko dziewięć na wolności. Wykupili go z rąk „właściciela", zruszczonego Niemca Wasilija Engelhardta, zamożni przyjaciele, którzy dostrzegli w nim zadatki na malarza, za pokaźną sumę 2500 rubli (równowartość dochodu z loterii, na której sprzedano portret poety Żukowskiego, namalowany przez rosyjskiego malarza Briułłowa, protektora Szewczenki). Wykształcony w petersburskiej Akademii Sztuk Pięknych, dał się poznać przede wszystkim jako piszący po ukraińsku poeta i pisarz upominający się o Ukrainę. To się nie mogło w Rosji podobać. Donosy, szpiegowanie, deptanie mu po piętach zaowocowały oskarżeniami o „rewolucję". Odtąd władze carskie na przemian więziły go, zsyłały i uszczęśliwiały nadzorem policyjnym. Jego liryka – przeniknięta głęboko tym, co określa się wzniośle mianem „miłości do ziemi", ale przede wszystkim wyrażająca współczucie dla rodaków, niezgodą na niewolnictwo, chrześcijańskie uczucia, zwłaszcza pragnienie sprawiedliwości i życzliwości między ludźmi różnych warstw społecznych – inspirowana była twórczością tzw. didów. Nasłuchał się ich pieśni jako mały chłopiec, któremu nakazano w majątku Engelhardta paść bydło.

Ci wędrowni śpiewacy, często niewidomi, prowadzeni przez dzieci, przygrywający sobie na kobzach, lirach lub bandurach, stali się symbolem wolności w zniewolonej Ukrainie. Pieśni, ten specyficzny gatunek literacki, wyłaniały się z połączenia tęsknoty za rodzinnym gniazdem, za bohaterstwem dawnych dziejów, za niegdysiejszą wolnością i apoteozy życia zwykłych wieśniaków. Żeby istnieć i prosperować na swoich pieśniach, didy musieli wykazywać się nie tylko talentem artystycznym, lecz także inteligencją, sprytem, znajomością geografii i historii. Byli bystrymi obserwatorami, potrafili błyskawicznie wykorzystać każdą sprzyjającą sytuację. Mieli poczucie humoru, sprawnie organizowali się w cechy i z troską o przyszłość swojego rzemiosła kształcili jego młodych adeptów. Didów uwznioślała nieraz nasza romantyczna literatura – choćby w legendarnej postaci Wernyhory – rozszyfrował ich, jako nie tylko piewców ojczyzny, lecz także utalentowanych aktorów i wodzirejów Józef Chełmoński, który w latach swej artystycznej młodości wędrował po kresowych bezdrożach, udając jednego z nich, opowiadając niestworzone historie, śpiewając i żebrząc.

Przywiązanie do ziemi tak typowe dla ludzi wsi to jedna z ważniejszych, choć nieujawnianych wprost i nie zawsze werbalizowanych przyczyn dzisiejszego zaciekłego oporu, jaki stawia najeźdźcom

FOT. ARCH.

eprasa.pl d1d189da9f

wojsko i ludność cywilna Ukrainy. Nie jest ono tylko wyrazem dążenia do zabezpieczenia sobie środków do życia. To coś o wiele bardziej subtelnego, dotykającego istoty człowieczeństwa. Józef Łobodowski, znawca Ukrainy i jej kultury, nie miał co do tego wątpliwości: „Sam fakt istnienia społeczeństwa, nie związanego z ziemią, nie posiadającego warstwy pracującej na roli, wydaje mi się wysoce niemoralny" – pisał w 1936 roku. Wielki Głód lat 30. był zapłatą Stalina za kurczowe trzymanie się chłopów ukraińskich własnej ziemi. Bat i groźby nie były w stanie zapędzić ich do kołchozów. Opór ich złamano dopiero, głodząc ich, zabierając ziarno na siew. Dziś Ukraina oddaje najeźdźcy to, czego wtedy nie zdołała uczynić.

Niepełnosprawni bracia?

Gdy Josif Brodski – syn proletariackiej rodziny z Leningradu – zakpił w swoim wierszu (nazwanym potem „antyukraińską antyodą") z kultury Ukrainy, przenikniętej ową wiejskością, a wraz z nią kultem wolności i pragnieniem prawdy, wielu jego wielbicieli przeżyło prawdziwy szok. Ten, przecież już po latach nieco zamerykanizowany Rosjanin przeciwstawił „bredniom Tarasa" „strofy Aleksandra" (Puszkina) i wyśmiewając prząśność ukraińskiego życia, insynuował nieuleczalny prymitywizm kultury „chachłów". Słowem: objawił się jako klasyczny Wielkorus ukrywający się dotąd za maską dysydenta. Decyzja Jelcyna z 1991 roku niczym papierek lakmusowy ujawniła zagadkową duchową niemoc twórcy uważanego w swoim kraju, ale i w Polsce, w kręgach opozycyjnych, nie tylko za orła intelektu, lecz także wzór moralny.

Doszedł tu do głosu swoisty kompleks Rosjan wobec Ukrainy, zauważa Leszek Szaruga, tłumacz wiersza. Ale też niebywała łatwość manipulowania historią. Jeżeli historia potwierdza, iż Kijów jest „kolebką miast ruskich", to nie oznacza, że można go uważać za źródło rosyjskiej cywilizacji, bo „ruski" i „rosyjski" nie są tożsame. Szaruga przypomina, że tylko Ukraińcy czytają „Słowo o wyprawie Igora" w oryginale. Tymczasem „młodszy brat" zajadle kontestuje pierworództwo starszego i prześladuje go przez wieki, tropiąc dążenia emancypacyjne i próbując zniszczyć je w zarodku.

„Pierworództwo Rusi jest tyleż niezbywalne, co niewygodne: należy zatem, co czynią Rosjanie od trzech stuleci, traktować Ukraińców, owych »chachłów«, jako starszych, lecz przecież nie w pełni rozwiniętych, niepełnosprawnych braci, których postępowaniem oni muszą kierować. Taką postawę demonstruje Brodski" – pointuje Szaruga.

Pasterze i wojownicy

Pogardliwa wyższość tak zwanych elit rosyjskich – ale i części polskich w XVII i XVIII wieku – wobec Ukraińców to pokłosie faktu, gdy w czasach poddaństwa chłopi ukraińscy byli nie tylko zepchniętą na dno grupą społeczną, lecz także nie mieli możliwości nawiązywania innego typu relacji z „panami" jak tylko relację: niewolnik i jego właściciel. Polskich chłopów z warstwą wyższą łączyły religia i język, przy wszystkich istniejących różnicach kulturowych dystans nie był tak wielki. U Ukraińców zadatków na jakąkolwiek więź z „panami" w zasadzie nie było; „czerń" pozostawała w izolacji. Szybki awans społeczny zapewniała jednak odwaga i talent w służbie wojskowej w czasach kozackiej hetmańszczyzny, gdy trzeba było bronić przed najeźdźcami ze wschodu i południa cywilizacyjnych wysp: miast, kościołów, pałaców magnackich, dworów. Tak wytworzyła się kozaczyzna, ukształtowały się pokolenia ludzi dzielnych, odważnych aż po brawurę, rzutkich, pomysłowych, przedsiębiorczych. Działających niesztampowo, nieprzewidywalnych. Z mieszaniną podziwu i niedowierzania (ale i pewnej wielkopańskiej pobłażliwości) pisał o Kozakach Sienkiewicz. Dumni, mężni, odważni są dzisiejsi obrońcy Ukrainy, ich późne wnuki.

Szewczenko był piewcą dawnej wyidealizowanej Ukrainy epoki hetmańszczyzny. Kozacka wolność, idylla wiejskiego życia pośród natury inspirowały go jako poetę, nowelistę i malarza; w swoich życiowych niepowodzeniach i trudach wspierany był mocno przez Polaków, przyjaciół z zesłania. W wierszu „Do Polaków" pisał:

Kiedyśmy byli Kozakami,
Zanim nasz cichy, zgodny świat
Wzburzyła unia, każdy rad
Bratersko jednał się z Lachami,
Wolnymi pyszniąc się stepami;

W kwitnących sadach – całe dni
Wesołych dziewcząt rój ochoczy,
Matki pieściły swoje oczy
Wolnością synów... Lata szły...

Tę niegdysiejszą zgodę i jedność z Polakami zmąciły, zdaniem Szewczenki, dwie okoliczności: pycha wielkich panów i pewien szczególny brak finezji przy wprowadzeniu na Ukrainę Unii (grekokatolicyzmu).

Trop Mickiewicza

Żeby zrozumieć istotę dramatu ludności dawnej Ukrainy, warto sięgnąć do Adama Mickiewicza. Po-

eprasa.pl d1d189da9f

eta w wykładach paryskich (wygłaszanych w pierwszej połowie lat 30. XIX wieku w Paryżu) omawia „sprawę ludu" w I Rzeczypospolitej, twierdząc, że posiada ona swoje doniosłe „oblicze literackie". Może dziś zaskakiwać wnikliwość i trzeźwość jego spojrzenia.

„Reformatorowie teraźniejsi ciągle mówią o nędzy materialnej tego ludu nie mając zupełnie na względzie jego cierpień moralnych. Nigdy lud ten nie usłucha żadnego reformatora, który by rozdawał mu grunta i pieniądze, jeśli ów człowiek nie będzie miał moralnej nad nim wyższości... Nikt chłopów nie olśni blaskiem swych bogactw, tytułami ni zewnętrzną okazałością; ale posłuch wśród nich znajdzie zawsze ten, kto w nich wzbudzi zapał...". I tu Mickiewicz nawiązuje do żywo go obchodzącej sprawy Kozaków. „Sami Polacy wyznają, że Kozaków wzburzyli przez swoje niesprawiedliwości, ale dzieje tej niesprawiedliwości wystawiane są teraz w sposób fałszywy i niedorzeczny. Mówi się na przykład, że Kozaków katowano, chłostano na śmierć, że zmuszano ich do pracy ponad siły. Mamy miarodajne świadectwo: pieśni ludu kozackiego, gdzie nie ma ani słowa o podobnym postępowaniu. Przeciwnie, Kozacy byli dostatniejsi od innych chłopów. Nikt nie wydzierał im własności, zresztą oni sami o dostatki swe bardzo mało dbali. Ataman czy hetman kozacki, sprzedawszy zboże, wracał z miasta nadmorskiego z pieniędzmi, w atłasach lub aksamitach. Ale gdy tylko znalazł się wśród druhów, trwonił cały zarobek; wdziewał wtedy swoje atłasy i lazł w beczkę dziegciu, aby stać się na nowo Kozakiem".

Mickiewicz jest przekonany, że ten typ człowieka nie byłby zdolny do podnoszenia buntu dla kawałka zagrabionej mu roli. Kozacy byli w tych sprawach wielkoduszni, mając ziemi pod dostatkiem. „Ale obrażono ducha Kozaków, chcąc im narzucić obcy obrządek, dając mu odczuć niższość polityczną, odmawiając przywileju uczestnictwa w elekcji królów polskich. Kozacy żalili się w swych pieśniach niemal wyłącznie na nadmierną zalotność szlachciców polskich, którzy im odbierali serca ich kobiet" (w przypisie Mickiewicz dodawał: „Szczególnie w dumie o pokoju białocerkiewskim"). Poeta zdaje się dużo więcej wiedzieć o mentalności – także zaskakującej może niektórych wrażliwości – ukraińskich wojowników niż wielu historyków traktujących sprawy nazbyt materialistycznie i socjologicznie.

Kozacki hajdamacki kuferek

Wymieniając jako jedną z przyczyn buntu Kozaków fakt, że Polacy odmówili im prawa głosu przy elekcji króla, Mickiewicz ubolewa, że polska szlachta stawała się począwszy od wieku XVII czymś na podobieństwo ścisłej, zamkniętej w sobie kasty. To osłabienie moralne Rzeczypospolitej skutkowało m.in. zerwaniem wszystkich więzi łączących Kozaków z Polską. Szlachta przestała im patronować. Do tego dochodziły pewne błędy duchowieństwa wynikające ze zbyt pospiesznego, zbyt wysilonego, choć w intencjach chwalebnego, nawracania ich na katolicyzm. „Polska nie miała już apostołów i wyznawców, nie mogła spodziewać się nawrócenia Kozaków, zniszczenia w nich żywiołu schizmatyckiego. Jezuici, kierownicy wyłączni wychowania publicznego, nie byli już zdolni do tego dzieła [...]", podsumowuje Mickiewicz. Ich metody były zbyt „polityczne", skupione na antyszambrowaniu; zabrakło prostolinijności, szczerości, budowania zaufania. „Nawykli do zwalczania na dworach kalwińskiego i luterańskiego możnowładztwa, do dyplomatyzowania w starciach z sekciarzami, [jezuici] nabrali niewinnej, lecz nader niebezpiecznej obłudy: prostotę życia i istną surowość obyczajów uczyli się ukrywać pod pozorną układnością i ogładą. Takimi występowali wśród ludu pasterzy i wojowników, wnosząc ze sobą ton delikatny i układny; natomiast w kazaniach publicznych silili się, według ówczesnego zwyczaju, na styl górnolotny, nadęty i przeładowany figurami krasomówczymi". Inne zakony obecne na ziemiach Ukrainy nie posiadały wówczas nawet tych cnót jezuitów. Mickiewicz ma tutaj swoją dość śmiałą teorię: „Ogromna łatwość życia pośród ludności szumnej, gościnnej, dobrodusznej, psuła zakonników, opuszczali się w obowiązkach, gdy właśnie oni powinni zdobywać się na niezwykłe wysiłki moralne...".

Późniejsza wrogość Kozaków wobec Polski musiała jego zdaniem mieć także swoje źródła w tych niedostatkach duszpasterskiej gorliwości, w braku roztropności czy nawet fatalnej pomyłce co do prawdziwego charakteru Kozaków.

Sicz, czyli sprawiedliwość i miecz

A przecież Kozacy opierali zamysł stworzenia samowystarczalnej społeczności – która najbardziej wyrazisty kształt otrzymała w Siczy Zaporoskiej – na surowych zasadach, które i dziś przestrzegane są na Ukrainie w warunkach wojny. Jędrzej Kitowicz, historyk, konfederata barski, a później ksiądz marianin, w dziele „Opis obyczajów i zwyczajów za panowania Augusta III" pisze o Kozakach z Siczy Zaporoskiej: „Choć w Siczy mieszkali najgorsi z całego świata ludzie, apostatowie od wiary i różnych zakonów, infamisowie, zbiegowie kryminalni z rozma-

eprasa.pl d1d189da9f

itych stron, skromność atoli wielka tam panowała i bezpieczeństwo tak wielkie, iż żadnemu podróżnemu z towarem, po towar lub w innym jakim interesie do Siczy przybywającemu włos z głowy nie spadł, pieniędzy nawet gdyby na środku ulicy położonych, nikt nie ruszył". Sicz nie tolerowała złodziejstwa, dezercji, unikania spłaty zaciągniętych długów, paserstwa, sodomii. Za to wszystko wymierzano bolesne kary na oczach całej społeczności. Spektakularność tych kar miała zniechęcić wszystkich potencjalnych rzezimieszków. Ten system pozwalał dość szybko uporać się z oszustami, przestępcami i wszystkimi, którzy łamali prawo republiki kozackiej. Wiele rzeczy było tu wspólnych, choćby kuchnia i fajki. Do pilnowania stale płonącego w kurzeniach ognia i gotowania strawy wspólnota zatrudniała fachowców, których nie tylko wynagradzano hojnie z podatków, lecz także obdarzano sowitymi napiwkami.

Po likwidacji Siczy 15 czerwca 1775 roku (brało w niej udział dziesięć pułków piechoty i osiem artylerii oraz trzynaście Kozaków dońskich – armia rosyjska wracała właśnie z frontu tureckiego) manifest Katarzyny II brzmiał: „Sicz Zaporoska została zniszczona z wykluczeniem na przyszłe lata i samej nazwy zaporoskich Kozaków [...] na rozkaz nasz przez postępki swoje [...] i okazane przez Kozaków nieposłuszeństwo wobec naszych najwyższych rozkazów". Ziemie Zaporoża dostały się carskim sługom i dworakom (m.in. Grigorijowi Potiomkinowi, Aleksandrowi Wiaziemskiemu, Cyrylowi Razumowskiemu). Grunty wcielono do guberni noworosyjskiej i azowskiej. „Wprowadzono rosyjską administrację i sądownictwo, zlikwidowano skarb wojskowy, zatarto wszelkie ślady autonomii. Zaporoże stało się częścią składową państwa rosyjskiego. Większość Kozaków zamieniono w chłopstwo, część wcielono do różnych pułków rosyjskich bądź osiedlono na nowych terenach" (Leszek Podhorodecki).

Jednak w tamtą pamiętną czerwcową noc ogromna liczba Kozaków wydostała się z oblężonego terytorium na bezszelestnych czółnach i uciekła do Chanatu Krymskiego.

▶ Poeta pamięta... matuszkę Rasiję

Zagadkowy brak elementarnego ludzkiego szacunku Josifa Brodskiego wobec Ukraińców, zademonstrowany w wierszu, jest w istocie deklaracją postawy wiernopoddańczej wobec Rosji. Poeta odrzucając imperium sowieckie z jego nędzą materialną, szpetotą, nudą, brakiem wszelkich ambicji ku duchowemu i intelektualnemu rozwojowi, nie zamierza kwestionować tego, co stanowi esencję imperializmu rosyjskiego. Źródła jego tkwią przecież, co oczywiste, w kulturze. Nawet Gogol i Puszkin, choć uchodzą za mędrców, upadli nisko, oddając hołd carowi.

Mówmy, dźwięków materię pauzami znacząc surowo:
Krzyż wam na drogę, chachły, po liżniku droga.
Idźcie strojni w żupany, by nie rzec – w mundury,
W rosyjskie trzy litery, w świata cztery strony.

Niechaj teraz w lepiance chórem z wami Hansy
z Lachami zrobią porządek, pohańcy.
Jak leźć w pętlę, to razem, zupkę jeść pospołu,
A milej w pojedynkę kurę gryźć z rosołu.
[...]
– szydzi w Brodski.

„...niczym, naprawdę niczym innym, mimo całej możliwej akrobatyki zwojów myślowych, nie da się wytłumaczyć tych absolutnie irracjonalnych napadów agresji – to po prostu reakcja wzburzonych białek" – podsumowuje sprawę Oksana Zabużko – „którą prowokuje, jak się zdaje, w najbardziej inteligenckich i wyrozumiałych rosyjskich intelektualistach samo tylko niewinne brzmienie ukraińskiego języka [...] natychmiast słyszysz pogardliwy ton przedrzeźniania, a tak naprawdę obrzydzenia, przepełniony żółcią ton całego masywu rosyjskiej kultury, od etnicznych dowcipów w eterze do niewielkiej, w szwajcarskim rozmiarze armii stereotypowych powieściowo-kinowych żłobów w wyszywanych koszulach...".

▶ Odtworzyć „dawny cichy raj" – utopia czy prawda

Moja przyjaciółka przyjęła pod swój dach ukraińską rodzinę, mamę i dwie dorastające córki. Żyje im się dobrze razem, rozumieją się. Polska i ukraińska rodzina wspólnie odmawiają różaniec. Rodzice dziewczynek – po studiach w Kijowie – starannie je wychowują, są wyjątkowo troskliwi. Ojciec walczy, a jego żona z dumą zaznacza: „Mój mąż jest uczciwym człowiekiem, bo jest dobrym banderowcem".

Moja przyjaciółka milczy, uśmiecha się. Posiada tę cechę Polaków, którą zauważył i przywołał prezydent Zełenski: delikatność. Jej mama urodziła się pod Lwowem; większość swoich bliskich straciła na Wołyniu. Przyjaciółka jest mądrą kobietą, nie żyje złą pamięcią. „Jej" Ukrainka nie waha się jednak mówić tak o swoim mężu w Warszawie, bo nie ma pojęcia, czym dla Polaków jest „banderyzm". I nikt jej tutaj tego nie wyjaśnia.

To brzmi jak truizm, ale żeby zrozumieć dzisiejszą Ukrainę, nie można pozwolić, by wspomnienia okrucieństw popełnianych na Wołyniu zdominowa-

eprasa.pl d1d189da9f

ły całą naszą wyobraźnię. Pamięć historyczna nie może być kształtowana przez jeden obraz, choćby był aż nazbyt realny i wyrazisty, bo stanie resentymentem i będzie straszył. Moskwa dobrze wie, jak to się robi. Wie, bo zbudowała wielki kombinat, wielkie imperium strachu.

Ocena zbrodni wołyńskiej wymaga przede wszystkim szczegółowej wiedzy historycznej. Bez wątpienia wykorzystywano ją, by skłócić nas z Ukraińcami. Ludobójstwo wołyńskie nie może być przypisywane samym tylko Ukraińcom. To niewątpliwa wypadkowa rosyjskiego, a potem sowieckiego umiejętnego grania na silnych narodowych emocjach Ukraińców (podobnymi metodami skłócano z Polakami Litwinów) i podjudzania ich latami przeciw „polskim panom i wyzyskiwaczom". Zwykle zapomina się, że Komunistyczna Partia Zachodniej Ukrainy właśnie na Wołyniu była najsilniejsza, a szczególną specjalnością propagandy Sowietów było robienie z Polaków najgorszych wrogów. Podobnie postępowali wobec Ukraińców w czasie wojny Niemcy. Tragiczne wypadki lat 40. z Wołynia nie są jednak znane szerzej wśród Ukraińców, zatem nie istniał nigdy faktyczny zatarg między Polakami i Ukraińcami jako narodami. Była natomiast seria dobrze przygotowanych lokalnych prowokacji.

Doktor Mateusz Kamionka, który niedawno badał preferencje ukraińskiej młodzieży w kwestii popularności bohaterów historii, ustalił, że Stepan Bandera lokuje się dopiero na jedenastej pozycji (wyprzedzony m.in. przez Tarasa Szewczenkę, Łesię Ukrainkę i Bohdana Chmielnickiego). Mit „bohaterskiego Bandery" i UPA nie jest dziś – i nigdy nie był na Ukrainie – mitem ogólnonarodowym. Zaś sama UPA to organizacja zbrojna, którą Ukraińcy mieli w okresie wojny, która była dla Ukraińców niebywałym pasmem niemieckich zbrodni; utożsamiają ją też z oporem wobec Sowietów. Tak jednak jak didów – kobziarzy, którzy sławili bohaterów hetmańszczyzny Sowieci traktowali jak siewców nacjonalizmu i bez skrupułów ich zabijali, tak do wszystkich po kolei „banderowców", zgodnie z propagandą Moskwy, doczepia się dziś etykietę morderców Polaków. A jednocześnie przez całe lata rosyjski przemysł propagandowy robił w naszym kraju wszystko, by przedstawić Ukraińców en masse właśnie jako „banderowców".

Błogosławiony ks. Władysław Bukowiński (1904–1974), który przyjął po wojnie obywatelstwo Związku Sowieckiego, by konspiracyjnie posługiwać jako kapłan wśród katolików w Kazachstanie i Ukrainie, podkreślał w swoich wspomnieniach (pisanych na przełomie lat 60. i 70.) wyjątkowo pozytywny stosunek Ukraińców z Zakarpacia do Polaków; nie byli oni przedtem „ani pod Polską, ani pod Rosją. Całe wieki pod Węgrami, a w okresie międzywojennym należeli do Czechosłowacji". Całkowicie wolni od nacjonalizmu, „głębiej od swoich rodaków przesiąknięci są kulturą zachodnią".

Ksiądz Bukowiński odnotował jednak także zdecydowanie dobre uczucia Wołyniaków wobec Polaków. „Przeciętny Wołyniak, obecnie już starszego pokolenia, dobrze wspomina rządy polskie na Wołyniu, które tam trwały zaledwie 19 lat (1920–39)". Niejeden z jego rozmówców i podopiecznych niemal z rozrzewnieniem wspominał, „jak ich grzecznie traktował sam pan starosta powiatowy", chwalił też sprawnie przeprowadzoną przez polskie władze komasację gruntów. Podobny był w ocenie ks. Bukowińskiego stosunek do Polski Ukraińców z Kijowszczyzny i Połtawszczyzny, generalnie z tzw. Wielkiej Ukrainy, gdzie Polaków się szanowało, widząc w nich „cennych i pożądanych sprzymierzeńców w walce o lepsze jutro swego narodu".

Mity o wrogości wzajemnej sąsiednich narodów żyją dotąd tylko, dopóki podsyca je ten, które ma interes w ich trwaniu.

Gdy w zakończeniu wiersza Tarasa Szewczenki „Do Polaków" (powstałego w Twierdzy Orskiej w latach 1847–1850, w której poeta przebywał razem z polskimi zesłańcami) dźwięczą echa gorzkich wspomnień:

Tak to, tak to bracie Lasze,
Księża i panowie
Rozsiekali drużbę naszą
Mieczem po połowie [...]

To w jego zakończeniu rozpala się na powrót nadzieja:

Podaj-że rękę kozakowi
I szczere serce jemu daj,
Dopomóż, bracie, wygnańcowi
Odtworzyć dawny, cichy raj!

Ta prośba-wezwanie: „Dopomóż, bracie..." zyskała szczególną wymowę i zadziwiające ucieleśnienie. Historia naszych narodów powraca – wbrew intencjom rosyjskiego agresora – do swojego głównego, naturalnego nurtu, którego nieprzyjaciel tak bardzo się obawiał. Gdy każdy Ukrainiec „rad, bratersko jednał się z Lachami".

Czy nie nadszedł czas, w którym i Adam Mickiewicz mógłby być z nas dumny? ■

Dr Mateusz Kamionka „Wzory zmiany społeczno-politycznej w świadomości ukraińskich studentów po 1991 roku", Warszawa 2022; Bł. ks. Władysław Bukowiński „Wspomnienia z Kazachstanu", Warszawa 2016.

eprasa.pl d1d189da9f

Krzysztof Karnkowski

Z kamerą na tułaczce lub w rosyjskim sklepie

Ten artykuł będzie zbiorem uwag, opartych na zapoznaniu się z materiałami, jakie YouTube w ostatnich tygodniach zaproponował przeciętnemu widzowi z Polski, zainteresowanemu sytuacją w Rosji i na Ukrainie.

Youtuberzy i vlogerzy, autorzy treści wideo z Ukrainy i Rosji, czasem innych państw dawnego ZSRS, przed wojną prezentowali na ogół treści podróżnicze i obyczajowe, „lajfstajlowe", używając nowomowy dzisiejszych mediów. Motywacje i wtedy już musiały być różne: ocieplanie wizerunku swojego kraju, lub przeciwnie – blogerska „pornografia nędzy". Opowieści imigrantów, którzy przyjechali do Polski i mówili nam o dobrych i złych stronach swego losu i nowego domu. Reklamowanie portali z żonami dla mężczyzn z bogatego Zachodu, nauka języków, ciekawostki. I dorabianie, czasem nawet jedyna możliwa forma zarobków przez monetyzację, czyli dochód z wyświetleń reklam na kanale. I ten świat przeszedł swoje trzęsienie ziemi.

Pytanie do znajomych

To temat tak wielki, jak obszar niegdysiejszego Związku Sowieckiego, nie da się wyczerpać jednym, średniej długości tekstem. Ten artykuł będzie więc zbiorem uwag, opartych na zapoznaniu się z materiałami, jakie YouTube w ostatnich tygodniach zaproponował przeciętnemu widzowi z Polski, zainteresowanemu sytuacją w Rosji i na Ukrainie. Algorytm działa tu dość skutecznie, jeśli obejrzymy jeden materiał na dany temat, lub konkretnego autora, od razu proponuje nam pokrewne treści, wybrane na podstawie tematów i popularności w serwisie. Materiały, o których będę tu pisać, to relacje po angielsku (nadawane głównie przez twórców z Rosji) i po polsku (tworzone przez imigrantów, którzy znaleźli się w Polsce). Sasha Bajek (kanał „Sasha Bajek – Rosjanka

eprasa.pl d1d189da9f

w Polsce") już na początku lutego wypuściła film „Czytam odpowiedzi Rosjan o konflikcie z Ukrainą. ZBLIŻA SIĘ WOJNA? Kto jest agresorem?", w którym prezentuje odpowiedzi swoich znajomych na kilka związanych z (wtedy jeszcze) potencjalną wojną. Odpowiedzi możemy podzielić na krytyczne i niuansujące, szukające winy po obu stronach. Owszem, wojny nikt nie chce, lecz niektórzy ją rozumieją, winiąc za nią wszystkich, oprócz rosyjskich władz. Część obawia się podziałów społecznych, zaostrzenia przepisów i konsekwencji ekonomicznych. Sama Sasha przyznaje, że boi się konsekwencji swobodnego mówienia na ten temat, o strachu tym piszą niektórzy jej znajomi, odpowiadający na pytania. W kolejnych filmach, zwłaszcza tych nadawanych z Rosji, tego lęku będzie coraz więcej. Zwłaszcza gdy pojawi się knebel ustawy o „fake newsach" (słowo „fejk" w Rosji przyjęło się tak dobrze jak w Polsce, i swobodnie używane jest również przez starsze osoby). Wróćmy do pierwszego filmu. Autorka mówi wprost, że pytania rozesłała tylko do znajomych, ponieważ zdaje sobie sprawę z powszechności opłacanych trolli, powielających przekaz Kremla. Zresztą i inne jej filmy pokazują raczej brutalny obraz Rosji, znajdziemy na przykład zapisy z fałszowania wyborów prezydenckich, przy czym można to uznać za lekką próbę usprawiedliwiania bierności większości społeczeństwa. Sasha co pewien czas podkreśla zresztą, że nawet teraz, w Polsce, trochę boi się o tym mówić. Czy słusznie, czy niesłusznie? Gdy piszę ten tekst, ostatni film na jej kanale, „Putin usprawiedliwia swoją agresję nienawiścią całego świata do Rosjan" pochodzi sprzed kilku tygodni i jest bardzo mocnym, antywojennym manifestem. Dziewczyna przytacza przykłady na antyukraińską propagandę, prezentowaną choćby dzieciom podczas zajęć szkolnych, praktyka zdaje się też weryfikować część jej wcześniejszych sądów. Sytuacja i w Rosji (udokumentowane przykłady brutalności policji), i na Ukrainie opisywana jest bezkompromisowo, a zysk z wyświetleń według deklaracji przekazany został na pomoc dla ukraińskich uchodźców.

Zachować większy dystans

Na przeciwległym biegunie umieścić można rosyjską vlogerkę „Eli from Russia", publikującą relacje z supermarketów i pokazującą puste półki i stoiska. Owszem, tu trochę obaw i ogólników o grozie wojny i przyjaźni z Ukrainą, jednak materiały robią wrażenie przekazu kontrolowanego. Wobec nagrań płynących bezpośrednio z Rosji trzeba zachować większy dystans, choć i z nich można się sporo dowiedzieć. Eli opowiada nam na przykład o zamykających się zachodnich sieciówkach, lecz równolegle reklamuje ich rosyjskie odpowiedniki, profesjonalne, zdrowsze i swojskie. Opowiada o sankcjach, lecz tak naprawdę robi to, co zawsze, oprowadza nas po Rosji, skupiając się na jej dobrych stronach. Jest profesjonalna i ogląda się dobrze, jednak widziana w starszych filmach zażyłość z rosyjskimi mundurowymi uruchamia w głowie syrenę alarmową. Jako ciekawostkę można potraktować filmik, w którym Eli wiezie pomoc dla uchodźców z Ukrainy (w Rosji), w którym wszystko wygląda na ustawkę.

Inaczej brzmi głos Nickiego Proshina z Petersburga, który również, pokazując obraz Rosji pod sankcjami, ryzykuje choćby użyciem określenia „zbrodnie na Ukrainie", wspomina o brutalności policji i brawurowo stara się lawirować wokół cenzorskich przepisów. W jednym z kwietniowych filmów wspomina swoich kolegów youtuberów, którzy już z kraju wyjechali. Sam zdaje sobie sprawę z ryzyka, zapowiada jednak, że dopóki nie czuje się fizycznie zagrożony, nie zamierza emigrować z Rosji. Wśród wymienionych przez niego osób jest Dari Step, kolejna warta uwagi autorka z Moskwy, która również pokazywała konsekwencje sankcji i przepisów wojennych dla zwykłych mieszkańców, przemocy i cenzury, a po nagraniu kilku ostrzejszych materiałów zdecydowała się na wyjazd i na początku kwietnia znalazła się w Turcji. Wątek rosyjski zamknę poleceniem kanału „1420", który, prawdopodobnie z Ameryki, publikuje przesłane z Rosji sondy uliczne, w których przechodnie odpowiadają na pytania takie jak: „Czy masz wyprany mózg"? Pytani o wojnę kluczą, być może czasem boją się mówić, często jednak popierają według najgorszych klisz propagandy, oczywiście przekonani przy tym o samodzielności własnego myślenia.

Podziękowania dla Polski

Filmy Ukraińców są oczywiście równie ważne, przy czym tu otrzymujemy przekaz zgodny z tym, co sami wiemy, znamy i czujemy. Dużo tu ludzkiego dramatu, dużo goryczy, zwłaszcza gdy mowa o reakcjach Rosjan, często dotąd traktowanych przyjaźnie lub wręcz rodzinnie. Budujący jest obraz Polski, wyłaniający się z tych filmów, czasem jako kraju, który na pewien czas musi stać się domem. Ciekawie opowiadają o tym twórcy zawartości, tacy jak American in Ukraine, Olga Reznikova czy mieszkające w Polsce dłużej Tatti Nizovaja czy Irena Paszynska. Na kanale tej ostatniej, uciekinierki z Krymu, znajdziemy bardzo poruszające filmowe podziękowania Ukraińców dla Polski. Zawartość tych materiałów pokazuje, jak wiele ostatnie tygodnie zrobiły dla naszego wizerunku w świecie.

Na koniec wspomnę jeszcze, że przekaz z Rosji na YouTube różni się od tego z Instagrama. Tam (przykłady pokazuje choćby Paszynska) oglądamy krótkie filmy ludzi w pełni ogłupionych, którzy ograniczają się do buńczucznych demonstracji i naprawdę tępej propagandy. I nie są nawet w stanie skojarzyć, czemu właściwie, by pochwalać Rosję na tym portalu, muszą omijać rosyjskie przepisy, odbierające im do niego dostęp. ■

FOT. ADOBE STOCK

eprasa.pl d1d189da9f

Co w nas pozostało z nauczania Jana Pawła II?

Rok 2005 to bardzo ważna data dla wielu Polaków. Śmierć naszego papieża sprawiła, że straciliśmy nie tylko wielkiego rodaka, lecz także niekwestionowany autorytet, który wskazywał kierunek myślenia o człowieku, rodzinie, małżeństwie, miłości czy wolności. Był też przewodnikiem, który pomagał odnaleźć się wobec światopoglądowych wyzwań współczesnego świata, takich jak stosunek do aborcji czy eutanazji.

Leszek Galarowicz

Kiedy byliśmy świadkami jego ostatnich chwil, wydawało się, że pamięć o Janie Pawle II będzie zawsze żywa. Dziś obserwujemy działania zmierzające do jej zacierania i coraz bardziej bezwzględną próbę zafałszowania prawdy o papieżu Polaku. Zamiast o jego nauczaniu, coraz częściej mówi się o nim w kontekście tuszowania skandali pedofilskich w Kościele. Środowiska lewicowo-liberalne za cel swojej działalności obrały sobie wtłoczenie do świadomości Polaków przekazu o odpowiedzialności Jana Pawła II za zło czynione przez duchownych.

Na ile po 17 latach od śmierci Ojca Świętego w ogóle znamy jego nauczanie, w jakim stopniu zajmujemy się tym, co było w nim naprawdę istotne? Znamiennie wybrzmiewają słowa abp. Henryka Hosera, które przywołuje Tomasz Terlikowski w książce „Atak na Jana Pawła II": „Kościół w praktyce duszpasterskiej zdradził Jana Pawła II [...] Znajomość nauczania Jana Pawła II nie jest dobra wśród wielu kapłanów". Publicysta dochodzi do wniosku, że „choć w Polsce celebrujemy pamięć o papieżu, to ogranicza się ona do rzeczy trzecio- i czwartorzędnych. Nie zajmujemy się tym, co jest naprawdę kluczowe. W ten sposób też dewojtylizujemy Kościół, zachowując jedynie kremówkowy wymiar pontyfikatu św. Jana Pawła II".

Pamięć żywa w deklaracjach

Co na temat pamięci o papieżu Polaku mówią jego rodacy? Deklaracje na ten temat są aż nadto optymistyczne. Można mieć wątpliwości, na ile idą w parze z praktyką. CBOS przeprowadził w 2018 roku sondaż, którego część dotyczyła stosunku Polaków do Jana Pawła II. Aż 96 procent badanych stwierdziło, że pamięć o papieżu Polaku pozostaje wciąż żywa. 92 procent dorosłych Polaków stwierdziło, że Jan Paweł II pozostaje dla nich ważnym wzorem postępowania. 72 procent odpowiedziało, że zna treść papieskiego nauczania, a ponad dwie trzecie przyznało, że kie-

eprasa.pl d1d189da9f

ruje się w życiu jego wskazaniami. Tyle deklaracje. A jak wygląda wcielanie w życie nauki Jana Pawła II? Wybrałem te obszary jego myśli, które dotyczą problemów etycznych i antropologicznych. Ochrona życia, rodzina, miłość, małżeństwo to problemy ważne, bo realnie wpływające na nasze życie, ale też istotne ze względu na debatę publiczną, która co pewien czas odżywa w naszym kraju.

Papież obrońcą cywilizacji życia

Często uznaje się Jana Pawła II za jednego z głównych obrońców cywilizacji życia. Papież Polak wielokrotnie wypowiadał się na ten temat, czemu dał wyraz na przykład w encyklice „Evangelium vitae". Jednocześnie mocno potępia aborcję i eutanazję, nazywając je zbrodniami. Na ile dziś Polacy przyjmują ten ważny element papieskiego nauczania? CBOS w listopadzie 2020 roku przeprowadził badanie, które miało zbadać opinie Polaków na temat dopuszczalności przerywania ciąży. Wiele mówi na temat stosunku naszego społeczeństwa odpowiedź na pytanie o dopuszczalność przerywania ciąży w przypadku stwierdzenia u płodu zespołu Downa. 46 procent badanych stwierdziło, że aborcja w takim przypadku nie powinna być dozwolona, ale aż 38 procent było przeciwnego zdania. 20 procent dopuszcza przerywanie ciąży w przypadku, gdy kobieta jest w trudnej sytuacji materialnej. Badania opinii publicznej nie pokazują wszystkiego. Sympatia dużej części społeczeństwa wobec postulatów tzw. Strajku Kobiet (między 60 a 70 procent popierało jego postulaty) była równie znacząca jak badania dotyczące opinii na temat aborcji. Wiele wskazuje na to, że Polacy coraz bardziej rozmijają się w kwestiach ochrony życia z myślą Jana Pawła II.

Nierozerwalne małżeństwo?

Rodzina, małżeństwo to wątki, które wielokrotnie powracały w nauczaniu papieża Polaka. W adhortacji „Familiaris consortio" przedstawił on rolę rodziny we współczesnym świecie. Z jednej strony nie ma wątpliwości, że rodzina jest dla Polaków od wielu lat wartością bardzo ważną. W badaniach CBOS-u z 2019 roku na pierwszym miejscu wartości najważniejszych w życiu Polacy wymieniali szczęście rodzinne, dalej było zachowanie dobrego zdrowia. Pozostałe wartości, takie jak spokój, uczciwe życie, wiara czy pomyślność ojczyzny, mają zdecydowanie mniejsze wyniki. To w „Familiaris consortio" Jan Paweł II z całą mocą podkreślał wagę jedności i nierozerwalności związku małżeńskiego. Czy Polacy dziś podobnie myślą o małżeństwie? Czy jest to dla nich wspólnota, która ma charakter nierozerwalny? CBOS przeprowadził badania dotyczące stosunku Polaków do rozwodów. Jedno to liczba rozwodów, która od 13 lat utrzymuje się na stałym poziomie (około 60–70 tys. rocznie), przy coraz mniejszej liczbie zawieranych małżeństw. Okazuje się, że tylko 12 procent Polaków jest zagorzałymi przeciwnikami rozwodów, co trzeci badany wychodzi z założenia, że jeśli oboje małżonkowie chcieli zakończyć małżeństwo, nie powinni mieć żadnych przeszkód. Największą grupę stanowili ci, którzy generalnie nie popierają rozwodów, lecz w szczególnych przypadkach je dopuszczają. Jakie wnioski płyną z badań? Wydaje się, że stosunek naszego społeczeństwa do małżeństwa zaczyna niebezpiecznie zbliżać się do trendów Europy Zachodniej. Małżeństwo coraz rzadziej bywa postrzegane jako związek na całe życie, a staje się relacją tymczasową.

Miłość (nie) w duchu wojtyłowskim

Ważną częścią papieskiego nauczania jest wizja miłości zawarta m.in. w „Miłości i odpowiedzialności". Miłość w ujęciu Karola Wojtyły to świadome zaangażowanie się w relację kobiety i mężczyzny, w którym decydują przede wszystkim wola i rozum, a nie zmysły i uczucia. W tej relacji ważne jest, aby kobieta i mężczyzna umieli być darem dla siebie. Prawdziwa miłość nie może istnieć bez odpowiedzialności. Jak my Polacy dziś odpowiadamy na to wyzwanie? Wiele badań socjologicznych pokazuje, że Polacy wciąż wierzą w prawdziwą miłość. Można mieć wątpliwości, czy rozumieją ją jeszcze w duchu wojtyłowskim jako relację opartą na odpowiedzialności i pragnieniu dobra drugiej osoby. Dziś coraz większy nacisk położony jest na własne szczęście niż odpowiedzialność za drugą osobę czy dar złożony z siebie.

Dla wielu Polaków Jan Paweł II to wciąż niekwestionowany autorytet, choć przez ostatnie lata środowiska lewicowo-liberalne uczyniły wiele, aby zniszczyć o nim pamięć, sprowadzić narrację o jego pontyfikacie do braku reakcji na nadużycia seksualne w Kościele. Na ile dziś dobrze znamy te wątki jego myśli, które pomagają zrozumieć nam sprawy naprawdę ważne? Wśród najważniejszych jest z pewnością miłość. Przekonuje o tym sam Jan Paweł II: „Człowiek pozostaje dla siebie istotą niezrozumiałą, jego życie jest pozbawione sensu, jeśli nie objawi mu się Miłość, jeśli nie spotka się z Miłością". ■

eprasa.pl d1d189da9f

Małgorzata Matuszak

Człowiek z sercem świni

Badania nad ksenotransplantacjami prowadzono od dawna, na całym świecie, w tym także w Polsce. Środowisko naukowe przeświadczone było, że chwila, w którym taki przeszczep stanie się medycznym faktem, jest blisko. I stał się. To wielki przełom w transplantologii. Niektórzy uważają nawet, iż to historyczne wydarzenie definiujące drugą dekadę XXI wieku.

Na początku roku w Centrum Medycznym Uniwersytetu Maryland w Baltimore amerykańscy lekarze dokonali czegoś, co jeszcze niedawno pozostawało w sferze medycznych marzeń i eksperymentów – przeszczepili serce świni 57-letniemu mężczyźnie, Davidowi Bennettowi.

„Albo śmierć, albo przeszczep"

Dla Davida była to ostatnia szansa na uratowanie życia. Od wielu miesięcy leżał podpięty pod aparaturę, która wspomagając pracę serca, utrzymywała go przy życiu. Jego stan zdrowia przekreślał możliwości zakwalifikowania się na zwykły przeszczep serca czy wszczepienie serca sztucznego. Sam Bennett dzień przed operacją powiedział: „Albo śmierć, albo ten przeszczep. Chcę żyć. Wiem, że to dość osobliwy przypadek, ale to była moja ostatnia szansa". I dodał: „Nie mogę się doczekać, kiedy będę mógł wstać z łóżka, gdy wyzdrowieję".

Operacja trwała 7 godzin i zakończyła się powodzeniem. 10 stycznia świat obiegła informacja o tym medycznym sukcesie, a następnego dnia pacjenta odłączono od płucoserca. Nowe serce pana Bennetta podjęło normalną pracę. Organizm przeszczepu nie odrzucił, pacjent czuł się dobrze. W kolejnych tygodniach po operacji spędzał dużo czasu ze swoją rodziną. Lekarze, choć szczęśliwi, w swych rokowaniach byli jednak ostrożni, wiadomo przecież, że ważniejsza od mechanicznej sprawności przeszczepionego serca będzie odpowiedź organizmu mężczyzny na nieznany mu organ w dłuższej perspektywie czasu. To wciąż największe niebezpieczeństwo każdej transplantacji, a co dopiero tej, w której używa się organu pochodzącego od innego ssaka. Ryzyko to starano się zmniejszyć, wykorzystując eksperymentalny lek immunosupresyjny i stosując nowe urządzenie do perfuzji maszynowej, by pobrane wcześniej od świni serce zachowało jak najlepszą żywotność. Niestety, choć przez kilka tygodni lekarze nie zaobserwowali oznak odrzucenia przez organizm przeszczepionego serca, stan mężczyzny zaczął się pogarszać. Zmarł 9 marca. Bezpośrednia przyczyna zgonu nie została jeszcze podana do wiadomości.

Serce pozyskano ze świni, która została genetycznie zmodyfikowana tak, by nie produkowała cukru występującego we wszystkich komórkach tych zwierząt, powodującego natychmiastowe odrzucenie narządu przez człowieka. Inaktywowano zatem cztery geny, które spowodowałyby odrzucenie zwierzęcego serca przez ludzki układ odpornościowy i dodano sześć genów ludzkich, co miało zwiększyć prawdopodobieństwo uznania je przez człowieka za swoje. Ponadto wycięto gen odpowiadający za wzrost serca świni w organizmie dawcy.

To wielki przełom

„To wielki przełom w chirurgii, który przybliża nas o krok do rozwiązania problemu niedoboru narządów" – powiedział dr Bartley P. Griffith, który był jednym z lekarzy uczestniczących w tym historycznym przedsięwzięciu. Wierzy on mocno w to, że znajdą się kolejni śmiałkowie, którzy poddadzą się tego typu przeszczepowi, przyczyniając się do rozwoju ksenotransplantologii, będącej odpowiedzią na niedobór narządów do przeszczepu.

eprasa.pl d1d189da9f

Sam pomysł przeszczepiania narządów od zwierząt nie jest nowy. Ludzie od dawna próbowali pozyskiwać „części zamienne" ciała z organizmów zwierząt. Pierwsza udokumentowana operacja ksenotransplantologiczna, podczas której uzupełniono czaszkę człowieka kością czaszkową psa, miała miejsce w Rosji, w 1682 roku. Kolejne próby podejmowano w XIX i na początku XX wieku. Pod koniec lat 60. ubiegłego wieku próbowano przeszczepiać ludziom nerki szympansów i pawianów. Najsłynniejszą w dziejach ksenotransplantację przeprowadzono zaś w 1984 roku. 12-dniowej dziewczynce, Stephanie Fae nazwanej później „Baby Fae", która urodziła się przedwcześnie z poważną wadą serca, przeszczepiono serce pawiana. Po czterech godzinach od operacji wydawało się, że eksperyment się udał, niestety stan dziecka zaczął się po kilku dniach pogarszać i dziewczynka po 20 dniach zmarła z powodu niewydolności krążenia wynikającej z odrzucenia przeszczepionego narządu. Wszyscy pytali wtedy, czy było warto. Zrodziło się wiele pytań natury etycznej, zaś próby odpowiedzi na nie podawały w wątpliwość zasadność podejmowania tego typu eksperymentów, w szczególności na tak małym dziecku. Próby te doprowadziły jednak do odkrycia mechanizmu leżącego u podstaw odrzucania przez człowieka organów pochodzących od bliskich gatunkowo zwierząt.

Dlaczego świnie?

Za najlepszych „dawców narządów" dla człowieka uznaje się świnie. Szybko osiągają dojrzałość, cechuje je wysoka płodność i liczność potomstwa, jesteśmy bardziej odporni na choroby pochodzące od tych zwierząt, łatwo przeprowadzić na nich modyfikacje genowe i – co w przypadku transplantacji jest zasadnicze – posiadają parametry anatomiczne i fizjologiczne zbliżone do ludzkich. Od dawna już w medycynie zastosowanie znajdują świńskie zastawki, komórki trzustki i tymczasowe przeszczepy skóry od tych zwierząt. Dlatego też z tymi właśnie zwierzętami transplantolodzy wiążą największe nadzieje.

Zanim doszło do opisanej na początku tekstu ksenotransplantacji, lekarze w Langone Health przy Uniwersytecie Nowojorskim (NYU) przeprowadzili przeszczep nerki pochodzącej również od genetycznie zmodyfikowanej w podobny sposób świni. Operacji poddana została pacjentka z dysfunkcją nerek, u której stwierdzono śmierć mózgową. Jej rodzina zgodziła się na ten eksperyment, zanim jeszcze odłączono kobietę od aparatury podtrzymującej jej życie. Przez trzy dni nerka świni, znajdująca się poza ciałem, przyłączona była do układu krwionośnego kobiety. Wyniki były bardzo zadowalające – nerka świni produkowała tyle moczu, ile można by oczekiwać od przeszczepionej nerki ludzkiej, do normy wrócił nieprawidłowy wcześniej poziom kreatyniny, nie dostrzeżono również oznak odrzucenia przeszczepu. Właśnie ten eksperyment przyczynił się do próby, którą 7 stycznia podjęło grono lekarzy z Baltimore i sam David Bennett.

Uzasadnione wątpliwości

Papież Jan Paweł II w przemówieniu do uczestników Kongresu Światowego Towarzystwa Transplantologicznego stwierdził: „Jest oczywiste, że jakikolwiek zabieg medyczny wykonywany na człowieku musi podlegać pewnym ograniczeniom: ograniczeniom wyznaczonym nie tylko przez możliwości techniczne, ale także przez szacunek dla ludzkiej natury jako takiej, rozumianej w całej pełni". Kościół popiera transplantacje, stojąc na stanowisku, które wybrzmiewa w dalszych słowach Papieża: „Technika przeszczepów to wielki krok naprzód w dziejach nauki służącej człowiekowi. Niemało jest dzisiaj ludzi, którzy zawdzięczają życie przeszczepowi organów. W coraz większej mierze technika przeszczepów jawi się jako skuteczna metoda realizacji podstawowego celu wszelkiej medycyny, którym jest służba ludzkiemu życiu". Z tego też względu, już od czasów Piusa XII, zgadza się na przeszczepy organów zwierzęcych, z wyjątkiem mózgu i narządów płciowych, jako organów nierozłącznie związanych z ludzką tożsamością. Wszystko sprowadza się jednak do nadrzędnej zasady, w myśl której nie wszystko, co technicznie możliwe, jest równocześnie dopuszczalne moralnie.

Istnieje powszechna zgoda, że w procesie leczenia respektowane być muszą podstawowe zasady: zasada szacunku dla autonomii, zasada nieszkodzenia, zasada dobro czynienia i zasada sprawiedliwości. Ksenotransplantacje winny być oceniane również z punktu widzenia tych zasad. Dlatego też zabiegi ksenotransplantologiczne budzą wiele zastrzeżeń i niepokojów natury etyczno-moralnej. Dotyczą one zarówno podejścia ludzi do otrzymywania zwierzęcych organów, jak i hodowli transgenicznych zwierząt i zabijania ich w celu pozyskiwania narządów, co uznawane jest przez wielu za zbytnie uprzedmiotowienie żyjących i odczuwających istot. Także same w sobie manipulacje genetyczne budzą wiele kontrowersji. Przeciwnicy tworzenia zwierząt ze zmienionym materiałem genetycznym podnoszą również zarzut, że koszt takich procedur jest tak wysoki, że ksenotransplantacje byłyby dostępne tylko dla najbogatszych. Dla dobra zatem nie tylko pacjentów, ale też „dawców organów", czyli zwierząt, ważne i potrzebne jest ustanowienie szczegółowych regulacji prawnych, które chronić będą i ludzi, i zwierzęta przed wszelkimi nadużyciami. ■

eprasa.pl d1d189da9f

Piotr Lisiewicz

Polak w Moskwie, czyli zuchwały wypad

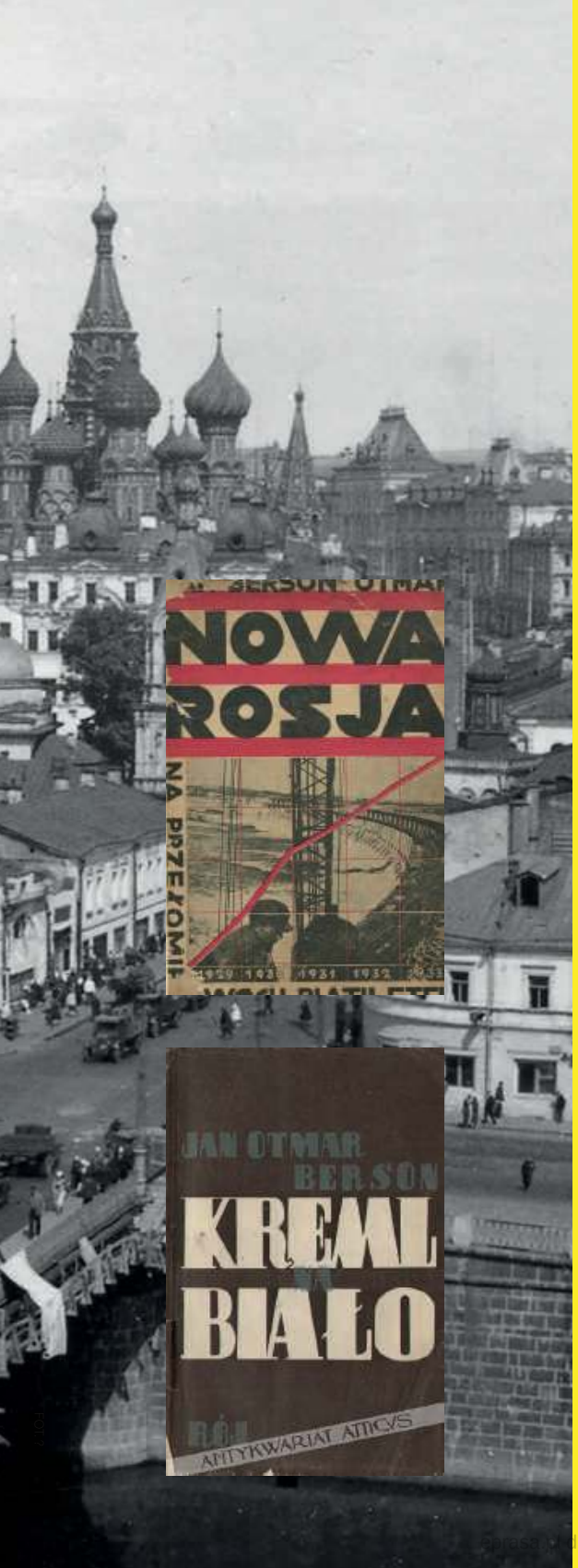

O siódmej wieczorem do dwupokojowego mieszkania przy alei Siwcew Wrażek w Moskwie zapukało dwóch funkcjonariuszy ludowego komisariatu spraw wewnętrznych. Wręczyli oni korespondentowi „Gazety Polskiej" Janowi Bersonowi, pseudonim Jan Otmar, nakaz opuszczenia Związku Sowieckiego w ciągu 72 godzin. Z dokumentu podpisanego przez zastępcę komisarza Jagody wynikało, że powodem jest „bezprzykładnie zuchwały wypad pod adresem Związku Sowieckiego", czyli stwierdzenie w artykule, że w czasie kongresu Kominternu wszyscy mówcy posługiwali się „zakłamaniem". Polski dziennikarz skomentował z sarkazmem: „Zostałem wydalony bez prawa powrotu... bez najmniejszych szykan. Co się zaś tyczy ohydnych inwektyw, którymi prasa moskiewska mnie pożegnała, wyczerpując bodaj bez reszty bogactwo rosyjskiego słownictwa – to osławiona i szumnie reklamowana »sowiecka kultura« nie tylko stanowi okoliczność łagodzącą, lecz wręcz dziennikarzy sowieckich usprawiedliwia. Przynajmniej w moich oczach".

eprasa.pl d1d189da9f

Był 18 sierpnia 1935 roku. Jan Otmar Berson w tekście „Jak opuściłem Rosję" tak kpił z sowieckiego uzasadnienia wyrzucenia go z Kraju Rad: „Zbytnio mnie to wszakże nie zaskoczyło – bowiem, w przeciwieństwie do szeregu dziennikarzy, osobliwie amerykańskich i francuskich – przez cały czas pobytu na placówce moskiewskiej ani razu nie włożyłem ani czerwonych, ani różowych okularów [...]. Mam nieodparte wrażenie, że właśnie owa niechęć do okularów, które gościnni gospodarze moskiewscy pragną każdemu zagranicznemu obserwatorowi nałożyć – stała się zasadniczą przyczyną mego nagłego powrotu na Ojczyzny łono".

A mógł pojechać na kongres fizjologów...

Jak zauważał, o sowieckim zakłamaniu pisał wcześniej wielokrotnie, „zatem oficjalnego powodu mojej deportacji nie należy utożsamiać z powodem istotnym, którym mianowicie był cykl moich korespondencji ze skandalicznych z międzynarodowego punktu widzenia obrad kongresu Kominternu, gdzie pod opiekuńczym skrzydełkiem oficjalnych czynników sowieckich, kilkudziesięciu mówców naradzało się nad koniecznością i najskuteczniejszą metodą zbolszewizowania świata – rzucając przy tym w każdym zdaniu bezprzykładne obelgi pod adresem pozostałych krajów, ze szczególnym uwzględnieniem naszej Ojczyzny".

Doceniał, że sowieckie władze umożliwiły takim jak on korespondentom dyplomatyczne wybrnięcie z kłopotliwej sytuacji: „Co prawda – wzorem kilku korespondentów, uległych wobec wydziału prasowego komisariatu spraw zagranicznych – reprezentant prasy polskiej mógł był wyjechać do Leningradu na odbywający się równocześnie z moskiewskim kongresem Kominternu – międzynarodowy kongres fizjologów i miałby – tak jak oni – względnie łatwą wymówkę, że go wówczas nie było w Moskwie. Jednak korespondent polski uznał tego rodzaju chowanie głowy w piasek za równoznaczne z dezercją".

„Jeremiady polskich komunistów"

Jan Otmar Berson był w Moskwie korespondentem „Gazety Polskiej" i Polskiej Agencji Telegraficznej (PAT). Jak ocenia historyk prof. Andrzej Paczkowski, wśród korespondentów tejże agencji „najbardziej znanym był Jan Otmar Berson, który informował o sytuacji w Związku Sowieckim w latach 30. Jego komentarze z »Gazety Polskiej« do tej pory są uważane za ciekawe źródło informacyjne".

W 1935 roku jego relacje uderzały najsilniej w polskich, komunistycznych delegatów na kongres Kominternu, pokazując ich zdradę Polski. I jak to u Bersona kpiły z... nikłej skuteczności w dążeniu do światowej rewolucji. W dziale „Jeremiady polskich komunistów" pisał on: „Tak więc przemawiał sekretarz generalny KPP Leński, towarzysze Próchniak, Bielewski, Henrykowski, Borysiewicz, ex-poseł do sejmu Chil Rosenberg oraz delegat partii komunistycznej zachodniej Ukrainy – niejaki »towarzysz Rwał« z Wołynia. Mowy powyższych towarzyszy stanowiły zaiste żałosne słuchowisko – zwłaszcza dla kongresowych słuchaczy, nawykłych do entuzjastycznych relacji o sukcesach". Bo w Polsce, w którą Moskwa włożyła olbrzymie pieniądze, sukcesy były marne...

Polska – faszystowska dyktatura

Jak podkreślał Berson, „niejaki p. Bronkowski", w zakończeniu długiego artykułu, zohydzającego Polskę w sposób – nawet jak na tutejsze obyczaje – wręcz niedopuszczalny – występuje również z programem... rozbioru Polski: „Komuniści, krzyczą nasi wrogowie, pragną oderwać od Polski Zachodnią Ukrainę, Zachodnią Białoruś i inne ziemie zaludnione przez narody niepolskie. Komuniści rzeczywiście walczą o prawo wszystkich narodów do samookreślenia, aż do oderwania się... Ale któż z pośród polskich ludzi pracy zainteresowany jest w zachowaniu tego ucisku".

Pesymistycznie dla Polski zrobiło się zwłaszcza, gdy towarzysz Bielewski rozdzierał szaty, że „faszystowska dyktatura rozgromiła istniejące uprzednio masowe organizacje rewolucyjne – co znacznie zwęziło legalne możliwości penetracji w masy [...] nasi nie zdołali natychmiast rozwinąć roboty w ramach innych istniejących masowych organizacji chłopskich". Towarzysz Borysiewicz ubolewał z kolei: „W naszej robocie antywojennej mamy jeszcze duże braki. Nasza propaganda przeciwko szowinizmowi wciąż jeszcze zbyt oderwana i szablonowa i niedostatecznie uwzględnia narodowe uczucia mas".

Jak zauważał Jan Otmar Berson, „powyższe głosy stanowią zaszczytny dyplom wyrobienia obywatelskiego najszerszych rzesz robotniczych i chłopskich w Polsce, które, pomimo nadzwyczaj ciężkich warunków życiowych – okazują zadziwiającą naszych wrogów odporność na wywrotowe podszepty. To też komuniści polscy na moskiewskim kongresie znajdowali się w sytuacji nie do pozazdroszczenia".

To samo, co dziś na Ukrainie

Ale Jan Otmar Berson na wykluczającą z prawa bycia korespondentem decyzję władz sowieckich pracował długo. Mimo że zawsze puszczał sygnały, iż słucha wszystkich stron i pisze także o tym, co dobrego dzieje się w Sowietach... Paczkowski ma rację, że jego korespondencje są ważnym źródłem wiedzy o historii Związku Sowieckiego do dziś. Bo w przeciwieństwie do innych korespondentów, publicysta z Polski, związany z obozem piłsudczykowskim, poważnie traktował swoją pracę i rozumiał me-

eprasa.pl d1d189da9f

chanizmy rządzące Związkiem Sowieckim. A aktualność jego opisów w kontekście wojny na Ukrainie jest wręcz porażająca.

Jan Stanisław Berson ps. Jan Otmar urodził się 27 stycznia 1903 roku w Warszawie. Korespondentem w Moskwie był w latach 1932–1935, ale jego ogromna wiedza o tym, co dojrzewa za wschodnią granicą, spowodowała, że stał się także jednym z czołowych polskich sowietologów. Opublikował o Rosji o komunizmie cztery książki, które oczywiście były zakazane w czasach PRL. Były to kolejno „Nowa Rosja: na przełomie dwóch piatiletek" z 1933 roku, „Minus Moskwa" z 1935 roku, „Kreml na biało" z 1936 roku oraz „Sowieckie zbrojenia moralne" z 1937 roku.

Książki te miały wpływ na myślenie o komunizmie także w przypadku ks. dr Stefana Wyszyńskiego, czyli przyszłego Prymasa Tysiąclecia, który miał mierzyć się z Sowietami jako przywódca zniewolonego narodu. W artykule „Kultura bolszewizmu a inteligencja polska" z 1938 roku przyszły Prymas cytował sarkastyczne uwagi „Otmara": „Robotnik w Rosji teoretycznie – zdaniem Bersona – ma wszystko, z wyjątkiem praktycznego braku żywności, odzieży, mieszkań i swobód obywatelskich".

„Wykazanie metod budownictwa bolszewickiego, prowadzonego kosztem ludzi, może ostudzać przedwczesne zapały ulegających złudzeniom propagandy. Wymaga to jednak, by do głosu w sprawach przebudowy Sowietów dochodzili raczej specjaliści, profesorowie, niż dziennikarscy reporterzy. Jakkolwiek bowiem spostrzeżeń reporterów i turystów lekceważyć nie można, to jednak wartość tych spostrzeżeń będzie zależała od ich przygotowania. Nie jest bowiem wszystko jedno, kto o Sowietach pisze, czy to będzie Bernard Shaw, czy Knickerbocker, czy Lepecki, czy prof. Krzyżanowski. Shawa nie sposób brać poważnie, Knickerbocker jest zbyt często korygowany, pomimo swej poczytności" – pisał ks. Wyszyński.

Kompromis Boya z panią Dulską

Berson widział na własne oczy walczącą w latach 20. z Sowietami Gruzję, a wiele lat później także wojnę sowiecko-fińską, w czasie której Finowie skutecznie powstrzymali ofensywę Moskwy. Jak patrzył na komunizm? Wyjaśniając tytuł książki „Kreml na biało", pisał: „Oto – w roku 1932 fronton muru kremlowskiego, wychodzący na Czerwony Plac, pomalowano na biało aby uwydatnić mauzoleum Lenina – zlewające się z ceglanym murem. Pozostała zasię część murów zachowała dawną ciemnoczerwoną barwę. Stanowi to tak dalece wymowny (choć nieco złośliwy) symbol rewolucji sowieckiej w ostatnich czasach zarówno w dziedzinie polityki wewnętrznej, jak zagranicznej, że autor nie był w stanie odmówić sobie uwidocznienia go na tytułowej karcie niniejszego tomu. Polityka »ligo-narodowa« – »biały fronton Kremla«, reszta (mniej widoczna dla zagranicy) zachowuje kolor naturalny – to znaczy: czerwony. Nie jest to wszakże czerwień socjalizmu – lecz raczej specyficzny »czerwonyfaszyzm«".

O rosyjskim faszyzmie mówią dziś Ukraińcy. Do tych, którzy doszukiwali się w komunizmie romantycznych ideałów oraz szukali „trzeciej drogi", pomiędzy dwoma obozami, Berson pisał: „Czy barykada posiada »trzecią stronę«? Owej »trzeciej strony« szuka w świecie niejeden tysiąc »szkodliwych ludzi dobrej woli«, począwszy od popularnych na całym globie ziemskim »aniołków pokoju« typu śp. Hendersona czy prezydenta iluzorycznej Paneuropy hr. Coudenhove-Calergi, zaś kończąc na skromnym młodzieńcu z wileńskiego uniwersytetu Dembińskim, autorze niezbyt skromnego zapytania »Czy można ochrzcić bolszewizm?«".

Kpił z idei poszukiwania kompromisów z komunizmem: „Czyżby było to naprawdę wielkim dla skołatanej ludzkości szczęściem, żeby tak udało się pogodzić religię z bezbożnictwem, kapitalizm z socjalizmem, rozbrojenie z interesami koncernu Kruppa i Boya z panią Dulską...".

Czwarta broń – psychologiczna

Dlaczego Sowieci przegrali z Polską w 1920 roku? Bergson pisze: „Przy tym, o ile czerwoni niewątpliwie górowali moralnie nad białogwardzistami i przemęczonym psychicznie żołnierzem aliantów – o tyle w walce z żołnierzem polskim natrafili pod względem ideowego napięcia na co najmniej równego sobie, jeśli nie silniejszego przeciwnika. Bowiem – techniczna strona zbrojeń obydwu armii była podówczas mniej więcej jednakowo niska, zaś olbrzymią przewagę liczebną wojsk sowieckich – żołnierz polski zwycięsko zrównoważył jedynie wyższością moralną. Na zasadzie długoletniej obserwacji śmiem twierdzić, że wyższość ta pozostawiła w mentalności naszego wschodniego sąsiada ślady".

W książce „Sowieckie zbrojenia moralne" Berson pisał, że powstał nowy rodzaj broni, może nawet ważniejszej od tych tradycyjnych: „Jeszcze całkiem niedawno – mówiąc o rodzajach broni – mieliśmy tradycyjnie na myśli: piechotę, kawalerię i artylerię. Dziś – wymawiając te same słowa – myślimy o armii lądowej, marynarce wojennej i lotnictwie. Dlatego to rodzaj broni, któremu zamierzam poświęcić niniejsze wywody, oznaczyłem numerem porządkowym: »czwarty«. Jest to broń natury moralnej, znana w języku potocznym pod nazwą »propagandy«".

Jak oceniał, jest to broń nadzwyczaj skuteczna „skoro zdołała skruszyć korpusy ekspedycyjne zarówno niemiecko-austriackie, jak angielskie, francuskie, greckie i amerykańskie podczas wojny domowej w Rosji. Użyta po raz pierwszy w historii na wielką skalę jako broń ofensywna, propaganda bolszewicka wśród cudzoziemskich oddziałów »interwencyjnych« wywołała efekt prawdziwego zaskoczenia, z którym dowództwo nie by-

eprasa.pl d1d189da9f

ło w stanie dać sobie rady, podobnie jak bezbronne jest wojsko na wypadek powietrznego ataku, w razie braku obrony przeciwlotniczej".

Ubolewał, że mimo tak drastycznego ostrzeżenia „czwarta broń nadal jest lekceważona przez armie świata niebolszewickiego, które, w najlepszym razie, stosują ją w bardzo słabym stopniu i to niemal wyłącznie jako środek defensywny".

Wskazywał, jak działa sowiecka propaganda, żerując na słabościach podbijanego kraju: „Ferment stanowi dopiero bieda plus poczucie krzywdy. Idealnych społeczeństw pod tym względem nie ma i krzywda społeczna istnieje w tej czy innej formie – absolutnie we wszystkich krajach. Ale w naszych warunkach należałoby uczynić wszystko możliwe, by ją pomniejszyć w drodze rozumnych reform socjalnych, gospodarczych".

Dostrzegał, że „za najsłabszy punkt stanu moralnego czerwonej armii należałoby uznać nadzwyczaj słabą odporność psychiczną wojskowych sowieckich w wypadkach zetknięcia się z »pokusami świata niebolszewickiego«. Tak więc wypadki dezercji, lub co najmniej jej usiłowania, zdarzały się niemal podczas wszystkich wizyt, składanych przez armię lub flotę sowiecką zagranicą".

Murzyn wyznania mojżeszowego

Pokazywał, na czym polega propaganda bolszewizmu, sformatowana pod zachodniego odbiorcę: „Właściwie – mówi jeden z drugim – różnica dwóch światów polega jedynie na hasłach, w imię których trzyma się obywatela za mordę. Obywatelowi trzymanemu hasła te są na pewno obojętne. Zaś trzymający robią to z całem przekonaniem przez pierwsze parę miesięcy, a potem, w miarę stabilizacji reżimu, stają się najzwyklejszymi pod słońcem »specami«. Zasadnicza różnica – twierdzą takie typki – po prostu sprowadza się do faktu, że w Sowietach nie wolno być burżujem, w Niemczech żydem, a w Ameryce murzynem".

I bardzo ostro odpowiadał głosicielom takich tez: „Z takimi rozmówcami autor postępuje z reguły wbrew wszelkiej kurtuazji, mianowicie radzi im, by uczynili rzecz najbardziej wskazaną dla murzyna wyznania mojżeszowego, pochodzącego z burżuazyjnej rodziny, to znaczy, by powiesili się czym prędzej, nie oczekując dalszego rozwoju wydarzeń historycznych. Bowiem ludzie ci nie są zdolni do wyboru żadnej ze stron barykady".

Podwójne niebezpieczeństwo

Jak podkreślał Bernson, zagadnienie niebezpieczeństwa sowieckiego jest niesłychanie „wielobokie i wielopłaszczyznowe", zaś szczególnie jest ono skomplikowane dla Polski, „bowiem dla nas jest niebezpieczeństwem nie tylko bolszewickim, lecz również rosyjskim, a zatem – niebezpieczeństwem podwójnym". Dlaczego? „O ile bowiem niebezpieczeństwo mogące zagrażać nam od Zachodu jest natury wyłącznie wojskowej, o tyle wschodnie grozi poza tym zniszczeniem wszystkiego, co Polak ma najdroższego: ojczyzny, religii, honoru, godności osobistej i swobód obywatelskich" – wyjaśniał proroczo.

Pisał, powołując się na lekceważoną wiedzę moskiewskiego korespondenta, że „sowietyzacja" Polski ma oznaczać rozbicie Rzeczypospolitej na „autonomiczne republiki socjalistyczne": „śląską, kaszubską, »zachodnio-białoruską« (Wileńszczyzna i Polesie) oraz »zachodnio-ukraińską« (Małopolska Wschodnia, Wołyń) i »tradycyjną« (Chełmszczyzna)".

Ostrzegał, że fakt, iż program ten bywa pomijany milczeniem przez urzędowe „Izwiestia", bynajmniej nie powinien wpływać usypiająco na opinię polską. Zwracał uwagę, że formułka, iż „Związek Sowiecki w niczym nie zagraża niepodległości Polski", nie pociąga za sobą wyraźnych zobowiązań, bowiem w razie potrzeby stosuje się zupełnie inną formułkę, głoszącą, że „prawdziwa niepodległość polega na wyzwoleniu spod jarzma kapitalizmu", co z kolei, w tłumaczeniu na nasz język, oznacza moskiewsko-bolszewicką niewolę.

Gdy nie budziło to żadnej mocnej reakcji, podkreślał, że w Związku Sowieckim jest „nie do pomyślenia drukowanie czegokolwiek, co by w najmniejszym choćby stopniu kolidowało z intencjami kierowników reżimu, zwłaszcza na łamach wydawnictwa partii rządzącej". Proroczo ostrzegał, że „opinia publiczna Polski i państw bałtyckich winna wyciągnąć wszelkie wnioski z zacytowanych powyżej artykułów w sensie, że p. p. Stalin i Mołotow co najmniej nie są przeciwni oderwaniu terenów wschodnich od Polski, kraju Pieczorskiego od Estonii, Letgalii od Łotwy i... Kłajpedy od najposłuszniejszej wobec dyrektyw moskiewskich Litwy".

Czerwona Moskwa samobójczo łamie obyczaje

Pokazywał, jak wyglądają tendencje rozkładowe, którymi posługuje się Moskwa: „Jak wskazuje dotychczasowa historia Związku Sowieckiego, czerwona Moskwa nigdy nie porywa się nawet na najmniejszego i najsłabszego zdawałoby się przeciwnika, jeśli dany kraj jest silny wewnętrznie. Jest to nauczka jeszcze z czasów, kiedy to czerwona armia wyszczerbiła sobie zęby nie tylko o Polskę, lecz także o Łotwę, Estonię i Finlandię, już przecież częściowo przez Sowiety okupowane, a nawet mające formalnie ukonstytuowane rządy sowieckie".

W czasie II wojny światowej Berson wyjechał z Polski przez Litwę do Szwecji. Był korespondentem podczas wojny radziecko-fińskiej, która pokazała, jak wielką siłą jest w walce z bolszewizmem twardy opór. Jan Berson zmarł 8 kwietnia 1946 roku w Sztokholmie. ■

eprasa.pl d1d189da9f

ZAJMUJEMY SIĘ WASZYM **BEZPIECZEŃSTWEM ENERGETYCZNYM**

DYWERSYFIKUJEMY DOSTAWY GAZU

Kończymy z uzależnieniem Polski od dostaw ze wschodu. **Wydobywamy** gaz u wybrzeży Norwegii, stale zwiększając liczbę koncesji. **Importujemy** LNG z Kataru i USA. Mamy kontrakty na Litwie oraz koncesje w Pakistanie, Emiratach Arabskich i na Ukrainie.

AKTYWNIE **DZIAŁAMY** NA RZECZ BEZPIECZEŃSTWA ENERGETYCZNEGO EUROPY

Walczymy z monopolizacją rynku unijnego, angażujemy się w arbitraże i zawieramy nowe kontrakty. Przekonujemy europejskich partnerów do uniezależnienia Europy od wschodniego gazu. Jesteśmy regionalnym **liderem** zróżnicowania źródeł błękitnego paliwa.

REALIZUJEMY I **WSPIERAMY** STRATEGIĘ ENERGETYCZNĄ POLSKI

Magazynujemy gaz, wytwarzamy ciepło i prąd, inwestujemy w paliwa alternatywne, myślimy o Polsce w perspektywie **dekad**, nie miesięcy.

PGNiG

eprasa.pl d1d189da9f

Dariusz Jarosiński

Józef Mackiewicz. Pisarz zdradzonych

Kozacy składają broń przed Brytyjczykami, 1945 r.

Józef Mackiewicz był niewygodnym świadkiem historii XX wieku, bo ponad wszystko cenił prawdę i nie uznawał poprawności politycznej, która jest potworną chorobą naszych czasów. To on m.in. przekazał literackie świadectwa o zbrodniach popełnionych w czasie II wojny światowej przez Niemców, Sowietów, ale też aliantów. Zbrodnie, których ślady ich sprawcy chcieli zatrzeć. Głównym przedmiotem swoich dociekań uczynił zbrodnię dokonaną przez Sowietów w lesie katyńskim na polskich oficerach: „Jestem ponad wszystko badaczem sprawy mordu katyńskiego, począwszy od r. 1943 do dziś" – pisał w roku 1975.

fot. Arch.

Ważnym świadectwem złożonym przez Mackiewicza jest relacja z rozstrzeliwania Żydów wileńskich w Ponarach, jak się sam wyraził, „jednej z największych w Europie rzeźni Żydów". W roku 1957 wydał „Kontrę", powieść o tragicznym losie Kozaków, którzy nigdy nie pogodzili się z rządami bolszewików, walczyli z nimi od rewolucji 1917 roku po stronie „białych" Rosjan, w 1920 roku po stronie Polaków. Kiedy do władzy doszli bolszewicy, Kozacy – podpora caratu, zostali skazani na zagładę jako warstwa społeczna i grupa etniczna, a jego przedstawiciele podlegali krwawym represjom. Nic więc dziwnego, że gdy 22 czerwca 1941 roku doszło do starcia między Niemcami a Związkiem Sowieckim, Kozacy stanęli zbrojnie po stronie Niemiec przeciwko bolszewikom. Kozacy nie walczyli u boku armii hitlerowskiej, dlatego że podobał im się Hitler i jego narodowo-socjalistyczna ideologia, lecz dlatego, że nienawidzili Józefa Stalina i komunizmu. Mieli z Niemcami jednego wroga – komunistów. Zaszczuci, upokorzeni, bronili godności kozackiej. Na podstawie układu zawartego w Jałcie zostali zdradzeni przez Brytyjczyków i wydani na okrutną śmierć Sowietom. Wiosną 1945 roku w dolinie rzeki Drawa w Austrii, niedaleko miasteczka Lienz, rozegrały się dantejskie sceny.

Notabene, w formacjach antykomunistycznych walczących z bolszewikami, oprócz Kozaków były dziesiątki tysięcy obywateli Związku Sowieckiego, m.in.: Rosjanie, Tatarzy, Ukraińcy, Estończycy, Turkmeni, Azerowie, Łotysze, Białorusini, Kałmucy, Ormianie, Dagestańczycy, Czeczeni, Gruzini, Czerkiesi. W opinii bolszewików wszyscy oni oczywiście byli „faszystami i zdrajcami ojczyzny". Spotkał ich ten sam los co Kozaków.

Generał Władysław Anders szczerze im współczuł, choć polscy żołnierze na Zachodzie nie byli w dużo lepszej sytuacji: „Ochotnicy formacji wschodnich byli najbardziej nieszczęśliwymi żołnierzami drugiej wojny światowej. Pozbawieni ojczyzn, pogardzani przez swych niemieckich protektorów, uważani przez ogół za zdrajców, choć takimi w swym sumieniu nie byli. Bili się często za obcą, nienawistną sprawę. Jedyną zapłatą, jakiej doczekali, była śmierć, przeważnie na obcej ziemi, lub powrót do piekła, z którego próbowali uciec".

Kontra bolszewickiej rewolucji

„Kontra", dzięki zgromadzonym przez pisarza dowodom zbrodni, jest mocnym, niepodważalnym aktem oskarżenia aliantów, którzy właściwie niewiele się różnili od swoich sojuszników w II wojnie światowej – bolszewików. W tygodniku „Lwów i Wilno" (1948, nr 76) Józef Mackiewicz pisał o niezwykłej wręcz nadgorliwości Anglików realizujących postanowienia paktu z Jałty wobec Sowietów. Zdaniem pisarza alianci wyka-

eprasa.pl d189da9f

zali „jakiś przerost uczciwości, jakiś nadmiar skrzętnej skrupulatności", „nadwyżkę dobrej woli" wobec Sowietów. Zdradzeni zostali słabi i niezdolni do samoobrony, im alianci nie okazali nawet krzty dobrej woli.

Dwadzieścia lat po ukazaniu się „Kontry", w 1977 roku, brytyjski historyk pochodzenia rosyjskiego, Nikolay Tołstoj, wydał monografię pt. „The Victims of Yalta" („Ofiary Jałty"). W publikacji wykorzystał wiele dokumentów wcześniej niedostępnych, zamkniętych w angielskich sejfach. Udowodnił w swojej pracy, że przymusowa repatriacja została przeprowadzona wbrew brytyjskiemu prawu, z pominięciem parlamentu. Według jego ustaleń, w latach 1944–1947 alianci zmusili do powrotu do Związku Sowieckiego ponad 2 mln obywateli rosyjskich. Około 100 tys. z nich zostało rozstrzelanych wkrótce po przyjeździe do Sowietów, około miliona zmarło w sowieckich łagrach. Wydawanie po wojnie ludzi przez Brytyjczyków – przedstawicieli „wolnego świata" – w ręce bolszewickich oprawców pozostanie na zawsze mroczną kartą w historii dumnego Albionu. Niejedyną zresztą.

Michał K. Pawlikowski, znakomity pisarz, przyjaciel braci Mackiewiczów, Józefa i Stanisława, pisał wkrótce po ukazaniu się „Kontry", że „[...] zbrodnia ta jest chyba najbardziej ponurym epizodem ostatniej wojny, bardziej nawet ponurym od Katynia, jeśli się zważy, że masakry katyńskiej dokonali bolszewicy, a zbrodni w dolinie Drawy żołnierze jednego z mocarstw zachodnich, w których, jak zauważa autor w przypisach, »większość przedstawicieli wschodnioeuropejskich narodów na emigracji [...] słusznie dopatruje się **dziś** (podkr. moje) jedynego oparcia i sojusznika przeciwko Sowietom«". »Kontra« – pisał dalej Pawlikowski – pomimo swego polityczno-dokumentalnego charakteru – jest przede wszystkim tworem prozy artystycznej. Nie rezonuje, lecz przykuwa, wstrząsa, oburza, podnieca – i w końcu przekonywa lepiej, niżby to zrobił najlogiczniej napisany artykuł polityczny.

Tezę autorską można by z grubsza streścić, jak następuje. Nie ma podziału na Zachód i Wschód europejski. Jest tylko – z jednej strony – totalna i psychiczna zaraza bolszewizmu, wroga kultury, a tym samym wroga nie jednego narodu, ale całej ludzkości, zaraza, której pierwszą ofiarą padli Rosjanie, z drugiej zaś – demokracje zachodnie, które zamiast wbijać klin pomiędzy naród rosyjski i partię komunistyczną, wciąż są niestety mniej antybolszewickie niż tzw. Wschód europejski" („Wiadomości", Londyn, 1957, nr 40).

Polacy dobrze wiedzą, jak smakuje zdrada Zachodu, nieraz przyszło nam kosztować jej goryczy. Jako naród zapłaciliśmy olbrzymią daninę krwi w czasie wojny, wspierając aliantów, a w podzięce straciliśmy połowę terytorium Rzeczypospolitej – Kresy Wschodnie – i zostaliśmy oddani na kilkadziesiąt lat w pacht bolszewii. Polska pod koniec wojny stała się niewygodnym sojusznikiem Zachodu, przeszkadzała we współpracy ze Związkiem Sowieckim. Tak jak ongiś Zachód milczał do roku 1952 w sprawie zbrodni katyńskiej, tak po roku 2010 milczy w sprawie zamachu w Smoleńsku.

Można powiedzieć, że wszystkie z opisanych zbrodni – i w Ponarach, i w Katyniu, i w dolinie rzeki Drawa w Austrii – Józef Mackiewicz przeżył niemal osobiście, dokonały się prawie na jego oczach. Poznał dobrze miejsca zbrodni.

Zbrodnie te tkwiły przez całe życie niczym drzazga w jego pamięci. „Pisałem o Katyniu, gdzie mordowano oficerów polskich. Może zaważyła tu co nieco i ta okoliczność, że i w Ponarach, i w Katyniu byłem osobiście. Otóż byłem też w dolinie rzeki Drawy. Wprawdzie na kilka miesięcy przed opisywanymi wypadkami, ale znam teren, a teren wielkiej chwały czy wielkiej zbrodni ma w sobie zawsze coś przyciągającego. [...] widziałem tych ludzi latem 1944, gdy przeprawiali się przez Pilicę. Spotkałem ich w Częstochowie: barankowe czapki z czerwonym denkiem, czarne od wiatru i kurzu, milczące, ponure twarze; chude krowy uczepione do wozów. Żadnej eskorty. To nieprawda, żeby ich ktoś gnał. Sami ciągnęli na zachód. Nieskończone tabory. Na tle europejskich kamienic robili istotnie wrażenie egzotyczne. »Azja« uciekająca przed bolszewikami".

▶ Żadnych kompromisów!

Kozacy byli związani z Rzecząpospolitą, z polską historią, od wielu stuleci. Burzliwym, lecz też frapującym dziejom stepowych rozbójników zamieszkujących Dzikie Pola, poświęcona jest m.in. powieść „Ogniem i Mieczem" Henryka Sienkiewicza czy pamiętniki z XVIII wieku Jędrzeja Kitowicza. Z Kozakami Polacy mieli różne doświadczenia – był czas, kiedy za niewielki żołd bronili oni dzielnie Rzeczypospolitej Obojga Narodów na jej krańcach, na granicy z Rosją i Turcją, ale był też czas, kiedy kontestowali naszą władzę i wzniecali bunty, domagając się autonomii. Ich relacje z Polakami całkowicie zmieniły się po upadku Rzeczypospolitej, po rozbiorach, kiedy carat wykorzystywał ich jako najemników do tłumienia polskich powstań narodowych, manifestacji ulicznych. Kozacy stali się wręcz filarem carskiej władzy, a Polakom kojarzyło się kozactwo z czymś najgorszym, z czymś najbardziej okrutnym.

W czasie II wojny światowej Kozacy zostali użyci przez Niemców do tłumienia Powstania Warszawskiego. Należy przy okazji sprostować dość powszechny błąd: w Powstaniu Warszawskim nie wzięli udziału żołnierze gen. Andrieja Własowa (ROA), a największą jednostką użytą w stolicy była część brygady RONA, dowodzona przez Bronisława Kamińskiego, wyjątkowego

eprasa.pl d1d189da9f

oprawcę. Do walki udało się Niemcom skłonić oddział Kozaków pod wodzą płk. Jakuba Bondarenki.

Józef Mackiewicz w 1919 roku, jako uczeń wileńskiego gimnazjum, mając zaledwie siedemnaście lat, zgłosił się na ochotnika na wojnę z bolszewikami. Początkowo służył w 10. Pułku Ułanów Litewsko-Białoruskiej Dywizji, później w 13. Pułku Ułanów Wileńskich braci Dąbrowskich. W pułku poznał przyszły pisarz Kozaków kubańskich, bitnych żołnierzy, walczących ramię w ramię z Polakami przeciwko bolszewikom. Uwiecznił ich m.in. w powieści „Lewa wolna" wydanej w 1965 roku: „[...] wszyscy na dobrych koniach, w siodłach z czarnej poduszki przeciętej pasem, w miękkich butach bez obcasów, z szablami o pochwach tak płaskich jak opłatek, z których wystawała tylko gałka rękojeści".

Przed wojną tylko jeden tekst poświęcił Mackiewicz Kozakom, było to przy okazji ukazania się powieści Michaiła Szołochowa „Cichy Don". W artykule wstępnym w wileńskim „Słowie" pt. „Bierzmy przykład z »Cichego Donu«" (1936), sprowokowany wymową książki, bodaj po raz pierwszy, a przynajmniej w tak dobitny sposób, ujawnił swoją antykomunistyczną postawę. Była to m.in. reakcja na słowa jednego z bohaterów „Cichego Donu": „A komuniści nie mogą być słabi. Muszą nie tylko zwyciężyć, ale zniszczyć, wdeptać w ziemię, wyplenić, wytrzebić, wymordować, wystrzelać swoich wrogów! Żadnych kompromisów!".

Odpowiedź Mackiewicza na te słowa była równie zdecydowana: „My musimy komunizm wyniszczyć, wyplenić, wystrzelać! Żadnych względów, żadnego kompromisu! A tym bardziej posiadamy ku temu prawo, ponieważ jesteśmy nie stroną zaczepną, a obronną! [...] Bóg nas rozgrzeszy. Prowadzimy wojnę z komunizmem, a religie dozwalają nam na wojnie zabijać".

Na marginesie dodam, że autorem czterotomowej sagi kozackiej „Cichy Don" nie mógł być niespełna 23-letni wówczas Michaił Szołochow, który tylko przez cztery lata uczęszczał do szkoły. Powieść napisał najprawdopodobniej kozacki pisarz Fiodor Kriukow, antykomunista, który został zamordowany przez bolszewików w 1920 roku i pozostawił po sobie niemal gotową książkę. „Cichy Don" mogła napisać osoba, która znała świat kozacki z autopsji, nie był to na pewno młody Szołochow. Wątpliwości co do autorstwa sagi kozackiej pojawiły się już pod koniec lat 20. XX wieku, jednak specjalna komisja powołana przez Józefa Stalina rozstrzygnęła sprawę jednogłośnie: autorem jest Szołochow. Jak wiadomo, Szołochow otrzymał w 1965 roku Nagrodę Nobla w dziedzinie literatury.

Mackiewicz dobrze wiedział, że jedynie w oparciu o takich żołnierzy, mających wojaczkę we krwi, jak Kozacy, których dobrze poznał w czasie wojny z bolszewikami, można wytępić czerwoną zarazę. Dobrze też wiedział, że z komunistami nie rozmawia się – do komunistów się strzela.

▶ Znad Donu do Tyrolu

W liście do Jerzego Giedroycia Józef Mackiewicz pisał 23 września 1955 roku, że już przed dziesięcioma laty, a zatem wkrótce po zbrodni w Austrii na Kozakach, zamierzał napisać o tym książkę. Nie napisał wcześniej jedynie dlatego, iż nie miał, jak to określił, „warunków do wykonania". Przez wiele lat gromadził niezbędne dokumenty, materiały faktograficzne, które notabene cytowane są w powieści.

Wydanie „Kontry" poprzedził reportaż „Zbrodnia w dolinie rzeki Drawy", opublikowany w londyńskich „Wiadomościach" (1955, nr 43). Artykuł wywołał olbrzymie zainteresowanie czytelników, wiele osób nie dowierzało, że alianci byli zdolni do tak haniebnej zbrodni. Prawdopodobnie Józef Mackiewicz jako pierwszy podjął ten wstydliwy dla aliantów temat. W liście do redaktora paryskiej „Kultury" pisał: „Wywołał on [reportaż – D.J.] takie echo i takie zainteresowanie, jak żaden z moich artykułów w moim życiu! Otrzymałem dziesiątki listów, zarówno od tzw. szarych czytelników, jak też osób znanych. Jeden z czytelników londyńskich począł organizować zbiórkę na wydanie artykułu w języku angielskim, ale Grydzewski nie wiem dlaczego nie poparł tej akcji i przesłał mi pieniądze, które z kolei musiałem odsyłać, bo co z nimi zrobię w Monachium".

„Kontra" ukazała się w wydawnictwie „Kultury" w 1957 roku. Książka łączy elementy reportażu, eseju, kroniki i dokumentu historycznego. Alois Woldan, profesor literatur słowiańskich na Uniwersytecie Wiedeńskim, nazwał „Kontrę" „rodzinną sagą z przesłaniem historyczno-politycznym".

Opowieść o kozackiej rodzinie Kolcowów Mackiewicz zaczął snuć od narodzin najstarszego z rodu, Aleksandra, w 1860 roku. Poznajemy losy dzieci Aleksandra Kolcowa. Sasza, starszy syn, walczy dzielnie w I wojnie światowej, później w białej gwardii generała Piotra Wrangla, w 1943 roku z kozackimi oddziałami dowodzonymi przez generała Helmutha von Pannwitza zostaje przerzucony na Bałkany, do Jugosławii, by toczyć boje z komunistyczną partyzantką Josipa Broza Tity. Młodszy z synów, Mitia, poszedł niemal jako dziecko do carskiej szkoły kadetów, w wieku 13 lat szczęśliwie uciekł przed Armią Czerwoną, w czasie wojny domowej doznał jej wszystkich nieszczęść – głodu, nędzy, agresji. Jako bezprizorny, bezdomny, trafił do grupy przestępczej, przyłapany, został skierowany do obozu reedukacyjnego. Po wyjściu z obozu w 1929 roku, ożenił się, założył rodzinę, pracował, niemal wymazał z pamięci rodzinny kozacki chutor położony nad Donem.

eprasa.pl d1d189da9f

Za krytyczną wypowiedź pod adresem władzy komunistycznej został skazany na 15 lat łagrów. W 1942 roku napisał prośbę o przyjęcie na front na ochotnika.

Po klęsce armii niemieckiej pod Stalingradem na początku 1943 roku, ludy Kaukazu, Kozacy znad Donu i Kubania, Tatarzy krymscy postanowili zorganizować się i szukać schronienia na Zachodzie Europy. Mieli świadomość, że bolszewicy odzyskawszy przewagę na froncie, zwrócą swoje karabiny w ich stronę. Ruszyła wielka fala uchodźców na Koniewsk, na stanice Staromińską, Staroszczerbińską, na port Jejsk, stamtąd zatoką Morza Azowskiego, po lodzie, na Azow, Taganrog, Mariupol. Wędrowali żołnierze, kobiety, dzieci, starcy. Tabory uchodźców osłaniały pułki Kozaków dońskich. 10 marca 1943 roku pierwsze tabory wkroczyły do Chersonia. Z uchodźcami wędrował też stary Aleksander Kolcow z córką Ulą. W czasie wędrówki dołączył też do nich Mitia, który dopiero miał okazję poznać swoją siostrę Ulę. Wiosną dotarli nad Niemen, na Nowogródczyznę.

„Kozacki Stan pod wodzą atamana Domanowa – pisał Mackiewicz – wyruszył z rejonu Nowogródek-Baranowicze w początku lipca 1944 roku, kierując się w głąb Polski i zajął prowizoryczne legowiska w Zduńskiej Woli koło Łodzi. W czasie tego pobytu dowództwo niemieckie usiłowało wykorzystać Kozaków do walki z powstaniem w Warszawie. Kozacy oparli się temu żądaniu, między innymi tłumacząc, że jako formacja głównie kawaleryjska, szczególnie nie nadają się do walk ulicznych w mieście. W rezultacie udało się Bach-Zalewskiemu uzyskać tylko nieznaczny oddział pod wodzą płk. Bondarenki. We wrześniu tegoż roku Główny Zarząd Wojsk Kozackich otrzymał zgodę od rezydującego w Trieście Obergruppenführera Globotschnika, który sprawował władzę nad tamtym terenem, na czasowe osiedlenie Kozaków we Włoszech północnych. Rozpoczął się tedy czwarty etap tułaczki. Tysiące furmanek konnych, rozciągniętych sznurem na przestrzeni 15 kilometrów, pociągnęło w głąb Europy zachodniej, tym razem ku prastarej kolebce jej kultury, do Italii. Bezpośrednim celem był rejon Gemona-Tolmezzo w prowincji Friuli, której część ludności do dziś dnia posługuje się na co dzień językiem staro romańskim".

Niezwykły musiał to być widok. Egzotyczni Kozacy z długimi brodami, w szarawarach z lampasami, z zakrzywionymi szablami u pasów wzbudzali wśród mieszkańców Tyrolu nie lada ciekawość. Na początku maja 1945 roku parlamentariusze kozaccy spotkali się z Brytyjczykami i wyjaśnili swoją sytuację, że nie mogli pozostawać w swoich rodzinnych stronach z obawy o życie. Tłumaczyli też powody swojej współpracy z Niemcami. Brytyjczycy od początku zapewniali uchodźców, że mogą czuć się bezpiecznie, że nic im nie grozi z ich strony. Dawali oficerskie słowo honoru, że nawet włos im z głowy nie spadnie, nie pozwolą na to, by Sowieci ich skrzywdzili. Kozacy nawet nie domyślali się, że już dawno temu, w Jałcie, zostali wydani na śmierć bolszewikom. Oni, wojownicy, miast walczyć do ostatniej kropli krwi, dali się podejść jak dzieci. Uwierzyli w brytyjskie bajki.

▶ Sądne dni

Brytyjczycy skierowali Kozaków do austriackiego Tyrolu w dolinę rzeki Drawy, w pobliżu średniowiecznego miasteczka Lienz. Nad rzeką powstały prowizoryczne obozowiska, pobudowano polowe cerkiewki. Zasłużony ataman Kozaków dońskich, pisarz, publicysta, generał Piotr Krasnow, otrzymał nawet z żoną do swojej dyspozycji willę. Prawosławni duchowni przebywający w Kozackim Stanie sprawili, że święta Wielkiej Nocy były obchodzone z należytą religijną starannością. Od 15 maja opiekę nad Kozakami objął Brytyjski Czerwony Krzyż. Józef Mackiewicz odnotował: „Racje wydawane były według codziennego spisu stanu ludności, gdyż ciągle nadciągali nowi rozbitkowie i cyfra się zmieniała. Początkowy stan według spisów angielskich wynosił: 15.000 mężczyzn, 4.000 kobiet, 2.500 dzieci, 5.000 koni i 12 wielbłądów. Kozacy i ich rodziny otrzymywali: mąkę, galety, cukier, masło, szmalec, konserwy mięsne i rybne".

Pierwsze tygodnie upłynęły Kozakom nad Drawą w obozie Peggetz w nadzwyczaj pogodnym nastroju, którego już dawno nie pamiętali. Pławili konie w rzece, łowili ryby, śpiewali dumki, urządzali pokazy woltyżerki, uczyli Brytyjczyków jazdy konnej. Brytyjskiemu majorowi Davisowi tak bardzo spodobały się śpiewy Kozaków, że proponował im założenie chóru i orkiestry. Kozacy wierzyli, że któregoś dnia ruszą z antykomunistyczną krucjatą u boku aliantów i rozprawią się raz na zawsze z czerwoną zarazą. „Czekolada dla dzieci, słowo honoru dla starszych" – można by spuentować słowami Mackiewicza zachowanie aliantów. Alianci robili wszystko, by uśpić czujność Kozaków.

23 maja 1945 roku Sowieci porozumieli się z Brytyjczykami i omówili plan deportacji Kozaków. Operację nadzorował generał Charles Keightley. Na pierwszy ogień poszli Kozacy z XV Korpusu Kozackiej Kawalerii gen. von Pannwitza, którzy znajdowali się w innym obozie niż Kozacki Stan atamana Domanowa. 28 maja Korpus von Pannwitza został rozbrojony i załadowany do ciężarówek. Zgodnie z zapewnieniami Kozacy mieli zostać przewiezieni do obozu jenieckiego we Włoszech, a stamtąd popłynąć do Kanady. Oczywiście była to pułapka. Kozacy pod silną eskortą trafili do miasteczka Judenburg nad rzeką Mur w ręce bolszewików – oddziałów NKWD i Smiersza. W Judenburgu znajdowała się strefa sowiecka, gdzie czekał na Kozaków obóz otoczony kolczastymi drutami. Do Związku Sowieckiego deportowano prawie 18 tys. ludzi. Zostali wydani na śmierć. W przeprowadzonej opera-

eprasa.pl d1d189da9f

cji widać, że zostały wykorzystane stare, sprawdzone metody NKWD, stosowane m.in. wobec oficerów, żołnierzy polskiej Armii Krajowej.

Również sowiecki, iście szatański podstęp został użyty w stosunku do ludzi atamana Domanowa. Major Davies, który cieszył się dużym zaufaniem Kozaków, uchodził wręcz za wzorzec brytyjskiego dżentelmena, oznajmił najpierw Kozakom, że otrzymają nową, porządną broń, ale wcześniej muszą oddać swoje stare karabiny. W ten sposób rozbroił Kozaków. Oficerowie kozackich oddziałów zostali zwabieni 28 maja 1945 roku na rzekomą konferencję z wyższymi władzami brytyjskimi w Lienz. Tą metodą pojmano starszyznę i cały korpus oficerski, według ustaleń Mackiewicza: 33 generałów, 167 pułkowników, 283 podpułkowników, 375 esaułów, 460 podesaułów, 526 setników, 756 chorążych, 124 urzędników wojskowych, 13 personelu lekarskiego, 2 fotografów, 3 oficerów łącznikowych z ROA i dwóch duchownych. Łącznie – 2750 osób. Zamiast na konferencję trafili na teren byłego oflagu w miejscowości Spittal an der Drau. Około 20 Kozaków w czasie nocy odebrało sobie życie, woleli śmierć z własnej ręki niż bolszewika.

Ciężarówki miały zabrać Kozaków o czwartej nad ranem w drogę do Związku Sowieckiego. Przed wyjazdem prawosławny kapelan odprawił Mszę świętą na otwartym powietrzu. Jakże inaczej niż zwykle zabrzmiał śpiew: Hospodi, pomiłuj! i Otcze nasz! Kozacy odmówili wejścia do ciężarówek, powiedzieli, że chcą zginąć na miejscu, rozstrzelani, nie chcą trafić do bolszewików. Młodzi, krewcy żołnierze brytyjscy zrobili najpierw masakrę ze starszyzny kozackiej. Wiedzieli, że w ten sposób zastraszą resztę Kozaków. Siedzących na podłodze baraku, trzymających się za ręce starszych mężczyzn, dźgali bagnetami, tłukli pałkami, po czym wrzucili nieprzytomnych lub półprzytomnych do ciężarówki jak worki z ziemniakami. Pozostali Kozacy nie stawiali już większego oporu. Deportowani zostali przewiezieni do Judenburga, gdzie czekali na nich Sowieci. Prawie 70 proc. wydanych bolszewikom tego dnia ludzi nie było obywatelami Związku Sowieckiego, co było niezgodne choćby z ustaleniami w Jałcie.

29 maja w obozie Peggetz rozległ się płacz, lament kobiet i dzieci na wieść o wydaniu ich mężów, ojców bolszewikom. Major Davies, dotychczas życzliwy Kozakom, unikał spotkań z nimi. Kozacy modlili się, wznosili błaganie do Boga o pomoc. Domyślali się, jaki czeka ich los. Obóz został otoczony ciasnym kordonem żołnierzy z bronią automatyczną gotową do strzału. Na barakach, namiotach, szałasach, stajniach Kozacy wywiesili na znak żałoby czarne sztandary. Kozacy ogłosili strajk gotowy, a na bramie umieścili transparent: „Lepsza śmierć niż wywózka do ZSRS!".

Z uwagi na to, że 31 maja wypadało święto Bożego Ciała, Brytyjczycy zarządzili deportację Kozaków z obozu w Peggetz na 1 czerwca. Do obozu ściągnięto znanych z brutalności Szkotów. Już o świcie na placu obozowym zaczęło się wielkie nabożeństwo, w którym uczestniczyło kilka tysięcy ludzi. Kozacy naiwnie myśleli, że Brytyjczycy nie odważą się zakłócać modlitwy, ale przeliczyli się. Im bardziej brutalnie Szkoci atakowali pałkami, kolbami karabinów, tym głośniej Kozacy śpiewali. Ludzie zbici w zwartą masę tratowali się, dusili. Później już śpiewy cichły, słychać było jedynie jęk, płacz, nieartykułowane głosy. Pobitych, okaleczonych żołnierze wywlekali do ciężarówek. Niektórzy Kozacy sami rzucali się pod czołgi i byli przez nie miażdżeni, inni próbowali ucieczki w góry. Rzeką Drawą płynęły trupy samobójców i tych, którzy usiłowali przedostać się na drugi brzeg. Mała dziewczynka podała jednemu z żołnierzy kartkę z nagryzmolonymi przez jakiegoś Kozaka słowami w języku angielskim: „Zabijcie nas, ale nie oddawajcie bolszewikom". Od ciosów pałką w głowę zginął stary Kozak znad Donu, Aleksander Kolcow.

▶ „Wszystko rozdeptane na ziemi"

Oddajmy głos Józefowi Mackiewiczowi: „Ludzie rzucali się na oślep, uciekali w lasy, skakali do rzeki. A rzeka była wezbrana. W powszechnym tumulcie rozbiegły się po dolinie tabuny koni. [...] Główna masa Kozaków zgrupowana w Peggetz, cofając się przed zbrojnymi żołnierzami, usiłowała jeszcze wyrywać z ich rąk tych, których już schwytali. Wtedy to padł pierwszy Kozak doński przebity bagnetem. Tłum odpłynął na chwilę i odsłonił ołtarze. Duchowny odwrócił się i wyciągnął ku żołnierzom Ewangelię, ale piechur 8-go batalionu wytrącił mu ją bagnetem z ręki. Jeden z Kubańców zasłonił się ikoną Matki Boskiej, otrzymał jednak cios w skroń i skóra wraz z włosami zwisła mu na ucho. Trzeci próbował parować cios chorągwią św. Mikołaja Cudotwórcy. Istotnie, uderzenie pałki zerwało tylko materiał, i wdeptało Mikołaja Cudotwórcę w błoto". „Improwizowana kaplica, ołtarz, obrazy święte, kielichy, wszystko to zostało przewrócone i rozdeptane na ziemi".

Tak cywilizowani, chrześcijańscy Europejczycy potraktowali „azjatycką dzicz".

Dopiero w latach 70. XX wieku opinia publiczna poznała tajemnice operacji Keelhaul, która była wynikiem porozumień aliantów z Sowietami w Jałcie w sprawie przekazania Związkowi Sowieckiemu wszystkich jej obywateli. Jako pierwszy elementy tej operacji opisał Józef Mackiewicz w artykule londyńskich „Wiadomości" (1955), a później w powieści „Kontra" (1957). W latach 1945–1947 alianci wydali bolszewikom na śmierć około 60 tys. ludzi. Wśród nich byli też tzw. biali Rosjanie, którzy nie posiadali sowieckiego obywatelstwa, a szukali schronienia przed rewolucją bolszewicką na Zachodzie Europy. ■

eprasa.pl d1d189da9f

Agnieszka Kowalczyk

ROSJA W PISMACH JÓZEFA PIŁSUDSKIEGO

Imponującą spuściznę pisarską Józefa Piłsudskiego, zebraną w dziesięciu obszernych tomach jego pism (wyd. 1937), przenika myśl o Polsce, o jej niewoli, buncie i akcie wybicia się na niepodległość, o odradzaniu życia państwowego i twórczej pracy dla odbudowy Rzeczypospolitej. Wiele spośród tekstów Marszałka, w tym zwłaszcza jego publicystyka, szkice historyczne, „Moje pierwsze boje", „Rok 1920", nabiera dziś, w obliczu zbrojnej napaści Rosji na Ukrainę, szczególnej aktualności.

depresa.pl d1d189de9f

FOT. NAC

Piłsudski przemawia do nas jako przenikliwy i dalekowzroczny analityk odwiecznych mechanizmów ścierania się tyranii z wolnością. Mówi o władczej Rosji, jej polityce podbojów i aparacie ucisku wymierzonym w ujarzmione przez nią narody. Uświadamia zarazem, że walka z rosyjskim despotyzmem jest możliwa i może zakończyć się zwycięstwem, które według Naczelnego Wodza Bitwy Warszawskiej „w trzech czwartych zależy od siły i postawy moralnej wojska i społeczeństwa, a w jednej czwartej od przygotowania pod względem technicznym".

Niewola

Piłsudski miał głęboką świadomość, jak skuteczną bronią w walce z zaborcą jest wolne słowo, które przeciwstawia się despotyzmowi, wzywa do społecznego ładu opartego na ideałach demokratycznych, a rozpalając skrywane w zniewolonych uczucia patriotyczne, wiedzie do czynu niepodległościowego. Toteż po powrocie z syberyjskiego zesłania (1892) niemal od razu związał się z działającym pod auspicjami PPS konspiracyjnym ruchem socjalistyczno-niepodległościowym, czyniąc swym orężem nielegalne pismo „Robotnik", wydawane w ścisłej konspiracji od 12 lipca 1894 roku. Był przekonany, że w kraju, w którym, „każde nieostrożne słowo, w niestosownym wypowiedziane towarzystwie, może pociągnąć za sobą paroletnie więzienie i wygnanie, gdzie najdrobniejsze zgromadzenie jest surowo karanym, a nad każdym mieszkaniem wisi stale miecz Damoklesa [...], jedynym środkiem oddziaływania na masy jest słowo drukowane". Toteż „Robotnik" stanowił platformę informacyjno-agitacyjną, która pozwalała na szerzenie niebezpiecznej dla caratu myśli społecznej i politycznej. Redaktor Piłsudski podejmował nie tylko kwestie dotyczące demokratyzacji życia społecznego, lecz także wzywał do przeciwstawienia się wrogiej polityce zaborcy, wysuwając na czoło postulat suwerenności politycznej Polski.

Z jego tekstów publicystycznych zamieszczanych w „Robotniku" oraz z korespondencji nadsyłanej do „Przedświtu" wyłania się wizja narodu ujarzmionego przez carat, który „wysysa soki żywotne" z uciemiężonych, eksploatuje ich i uciska w każdej sferze życia. Traktuje o tym między innymi artykuł „Niewola", w którym czytamy, że „haracz pracy i mięsa armatniego to główne cele zaborcy". Zniewoleni Polacy obciążeni nadmiernymi podatkami i zmuszeni dostarczać wojsku rekruta w liczbie kilkudziesięciu tysięcy (a podczas wojny dwa razy więcej), przyczyniają się „kosztem własnej krwi i pracy" do budowy militarnej i ekonomicznej potęgi zaborcy. Piłsudski demaskuje

prasa.pl d189da9f

ten bezwzględny mechanizm wyzysku, porównując podbite kraje do kuszącej obfitością wszelkiego dobra ziemi obiecanej, tworzącej wymarzoną przestrzeń dla całej sfory wiernopoddańczych strażników systemu, którzy, rozsyłani masowo na tereny podległe carowi, zniewalają i rujnują miejscową ludność poprzez „wyzysk podatkowy, grabież rynków i różne spekulacje handlowo-przemysłowe". Rekrutują się oni w większości ze zubożałej, zdeklasowanej szlachty rosyjskiej oraz z drobnomieszczaństwa, a nie mając przed sobą perspektyw lepszego życia, przeistaczają się w bezwolną masę lojalnych, ślepo posłusznych sług cara, zawdzięczających mu swe stanowiska i kariery urzędnicze. W artykule „Rusyfikacja" Piłsudski pisze na temat tej strategii działania caratu, że o ile „dla niepoprawnych zostawił szubienice, więzienia i Sybir, o tyle dla innych otworzył szeroko drogę do władzy i chleba", która prowadzi między innymi na ziemie dawnej Rzeczypospolitej, „będące rynkiem dla eksportu tego żywego towaru".

Jednocześnie publicysta uzmysławia fakt, że „niewola narodowa nie kończy się na grabieży i wyzysku materialnym", gdyż najeźdźca, nie chcąc dopuścić do buntu, dąży do wynarodowienia ludności podbitej, w związku z czym „wprowadza siłą, prześladowaniem lub pokusą nagrody własny język, religię, obyczaje". Tak więc obok metod wyniszczania opartych na jawnej przemocy (kary cielesne, więzienie, zesłanie na Sybir) oraz daleko idącego ucisku ekonomicznego, Piłsudski za równie niebezpieczne i dotkliwe dla pokonanego narodu uznaje działania godzące w sferę jego rozwoju cywilizacyjno-kulturowego. Rusyfikacja to najgroźniejsza broń tyrana godząca w polskość, w poczucie tożsamości narodowej, służąca zerwaniu więzi ze wspólnotą, a nawet odcięciu się od własnych korzeni.

Gwałty w Krożach

Uwidaczniające się w procesie rusyfikacji prześladowania Polaków, o których czytamy w „Robotniku" i „Przedświcie", nakierowane na ich życie duchowe, nie ominęły bynajmniej sfery uczuć religijnych. Najbardziej wstrząsającym bodaj wydarzeniem, opisywanym i komentowanym przez Piłsudskiego, były gwałty w Krożach (1893) ukazujące bezmiar carskiego bezprawia względem wiernych tamtejszego Kościoła katolickiego. Okazuje się, że w tym miasteczku, stanowiącym ważny ośrodek religijny na Żmudzi, dokonał się wielki dramat miejscowej ludności, która postanowiła bronić swej świątyni przed zamknięciem, nawet gdy do protestujących przybył sam gubernator kowieński Klingenberg w otoczeniu żandarmów i urzędników. Rozgniewany i zdeterminowany lud nie chciał jednak dobrowolnie ustąpić i doszło do walki. W tej sytuacji strona rządowa posłała po oddział kozaków, który ostatecznie miał rozprawić się z buntownikami. „Nahaje i szable robiły swoje, krwią oblano kościół, trupy padały, jęki ranionych i pokaleczonych rozlegały się w murach i na podwórzu". W następstwie tych wydarzeń kozacy ruszyli na Kroże, dokonując tam prawdziwej rzezi: „Rozpoczęły się straszne sceny gwałtów i grabieży. Co można rabowano, co nie dawało się unieść, rąbano i niszczono. Pojedyncze kupy kozaków rozbiegały się po okolicznych wioskach i folwarkach, siejąc wszędzie postrach i zniszczenie". Piłsudski pisze, że w czasie pogromu zabito pięćdziesięciu ludzi, rannych było ponad stu. Nazajutrz odbyła się egzekucja, podczas której bez wyroku sądowego pobito dotkliwie przeszło siedemdziesięciu włościan. W trakcie wymierzania kary obecny był lekarz wojskowy, który „trzymał palec na pulsie delikwenta, by oznaczyć chwilę, gdy bicie mogło być śmiertelne". Widoku tego okrucieństwa nie mógł znieść nawet sam prokurator, który w pewnym momencie wyrwał z rąk oprawców czternastoletniego chłopca. Wielu skatowanych niedługo potem zmarło w więzieniu. Artykuł kończy się jakże wymowną dziś konkluzją: „Mordy i pożogi wśród bezbronnej ludności, gwałcenie kobiet i w ogóle hulanie kozaków w czasie pokojowym, bitwa w kościele, męczeństwo za sprawy religijne [...] wszystko to razem wyda się zapewne człowiekowi Zachodu czymś nieprawdopodobnym, snem ciężkim z dawno zapomnianej przeszłości – u nas, niestety, to gorzki chleb powszedni, to smutna rzeczywistość".

Pomnik kata w sercu ofiary

Jednym z najbardziej dojmujących przejawów moskiewskiej niewoli, przywoływanym niejednokrotnie i komentowanym w tekstach Piłsudskiego, było pognębianie i upokarzanie Polaków w sferze poczucia własnej wartości i dumy narodowej, jakie przyszło im znosić ze strony caratu, który opierając się na wschodnim modelu despotyzmu, lubował się „w obrażaniu godności ludzkiej niewolnika" i „nie dosyć mu uderzyć nahajką, chciał on jeszcze, by uderzony pocałował narzędzie tortury". Takim kamieniem obrazy dla społeczności polskiej i litewskiej miał stać się wznoszony w Wilnie pomnik Michaiła Murawjowa (1898) nazwany przez Piłsudskiego „pomnikiem kata". W jednym ze swoich artykułów, który w istocie stanowi studium zbrodniarza i zbrodni przeciwko podbitemu narodowi, publicysta sięga do czasów, jakie nastały po klęsce powstania styczniowego, odsłaniając mechanizm działania despoty wobec buntującego się niewolnika. Nie wystarczy bowiem go pokonać,

eprasa.pl d1d189da9f

ale trzeba jeszcze ukarać i potraktować tak, by nigdy więcej nie ważył się podnieść ręki na swego pana. Do osiągnięcia tego celu potrzeba było w Rosji nie tyle zwycięskich dowódców, ile przede wszystkim „dobrych katów, umiejących pastwić się nad zwyciężonymi". Litwie wyznaczono Murawjowa, któremu wkrótce przydano nowe miano „Wieszatiela" z racji tego, iż „mordem, pożogą i grabieżą" znaczył nadniemeńską ziemię. Z jego rozkazu skazywano powstańców na śmierć bądź znęcano się nad nimi w straszliwy sposób, a ich rodzinom wymierzano najsurowsze kary i wypędzano z domów. Symbolem krwawych rządów Murawjowa staje się w artykule „Pomnik kata" wszechogarniająca obszar niewolniczej Litwy szubienica. Stworzenie demonicznego wizerunku carskiego satrapy, z którego poduszczenia „rujnowano i niszczono całe osady, palono je i zaorywano następnie ziemię, a mieszkańców bez różnicy płci i wieku wysyłano na Sybir", pozwoliło Piłsudskiemu ujawnić przed światem bolesną prawdę o okrucieństwach wileńskiego generał-gubernatora i o tym, jak wielkim ciosem jest dla Polaków stawianie pomnika kata „w sercu jego ofiary". Pośmiertne wyniesienie na piedestał człowieka naznaczonego piętnem zbrodni w miejscu, „gdzie nie zbutwiały jeszcze ciała zamęczonych i nie obeschły łzy, przezeń wytoczone", jest właściwe tylko takim rządom, które przez krzywdę i poniżenie zmuszają do uległości swych poddanych. Pod piórem Piłsudskiego ta wywołująca przerażenie niema bryła z kamienia i spiżu – widomy symbol tryumfu krwawej władzy – ożywa i zdaje się urągać z wysoka godności narodu: „Otoczony jestem pogardą waszą i nienawiścią, a jednak stoicie przede mną w milczeniu, bo tak chce car i jego słudzy; nad miastem unosi się jeszcze opar z krwi, przeze mnie wytoczonej, w powietrzu drgają jęki zamęczonych przeze mnie ofiar, na placach majaczą szubienice, dzieła rąk moich, a wy to nowe upokorzenie znieść musicie, jak znosiliście tysiące innych, które się nam – panom waszym – zadać podobało". Występujące w tekście symbole i atrybuty męczeństwa, takie jak: krew ofiar, szubienice, nahajki czy pęta zaświadczają o zbrodniczych poczynaniach zaborcy, które właśnie pod rządami Murawjowa osiągnęły swe apogeum na Litwie. Odpowiedź Piłsudskiego na te akty terroru jest kategoryczna – bunt wzniecony z nadzieją, że oto „pod promieniami wschodzącego nad Polską i Litwą słońca swobody skruszeje i rozsypie się pomnik niewoli".

▶ Rosja

Aby opracować niezawodną strategię walki o niepodległość i skutecznie stawić czoło zaborcy, należy najpierw, jak przekonuje Piłsudski, poznać dobrze mechanizmy rosyjskiego samodzierżawia, uświadomić sobie, na jakich fundamentach się wspiera, w czym tkwi jego siła, a w czym słabość. Trzeba też wniknąć w mentalność tamtejszego ludu, a przede wszystkim zrozumieć istotę stosunków społecznych panujących w Rosji od wieków. Zagadnienia te, rozwinięte w obszernym artykule „Rosja" (1895), składają się na wnikliwe studium funkcjonowania carskiego imperium, które za Piłsudskim nazwać można „państwem chłopskim", gdyż to włościanie stanowili przytłaczającą większość jego obywateli, podczas gdy ludność miejska była zaledwie dziesiątą częścią ogółu mieszkańców. Same zaś miasta to „wysepki w oceanie wiejskim" i z wyjątkiem kilku ośrodków przemysłowych nie odgrywały większej roli w życiu gospodarczym kraju. Stanowiły tak naprawdę „siedliska różnych władz gubernialnych i powiatowych" z nieprzebraną ilością urzędników żerujących na rosyjskim chłopie, który na swym małym kawałku ziemi był przyciśnięty ciężarem podatków nie do udźwignięcia. Dlatego, gdy jesienią nadchodziła pora uiszczania należności, w całej Rosji słychać było „świst rózeg i jęk bitych chłopów", którzy swą nienawiść i gniew kierowali ku rzeszy wyzyskiwaczy pozostających na carskich usługach, a samego cara jako sprawcę całego zła – kochali jak Boga i wierzyli mu bezgranicznie.

Wykazując właściwy sobie zmysł historiozoficzny, Piłsudski sięga do odległej przeszłości Rosji i w niej widzi mechanizm bezwolnej podległości władzy. Źródła jej upatruje w wielowiekowej niewoli tatarskiej, która odcisnęła na rosyjskim ludzie niezatarte piętno i wszczepiła weń niewolniczego ducha, co sprawiło, że bezwzględnie podporządkowany swemu władcy ślepo wykonuje jego rozkazy, idąc „zdobywać i zakuwać w kajdany inne narody". Zdaniem Piłsudskiego ta zacofana i wyzyskiwana część społeczeństwa stanowiła opokę dla caratu i gdyby nie jej upadek ekonomiczny, nie byłoby powodu do obaw o trwałość despotycznego systemu rządów. Szlachta bowiem nie była zagrożeniem dla panującego ustroju, wręcz przeciwnie – obdarzona w największej mierze przywilejami i urzędami utrzymywała się kosztem całego narodu, była „najulubieńszym dzieckiem caratu". W podobnej sytuacji znajdowała się burżuazja, ze względu na to, że władza sprzyjała jej interesom, choć w rzeczywistości w Rosji nie było dobrych warunków dla rozwoju kapitalizmu, który według Piłsudskiego determinuje dostatecznie rozbudowana i sprawnie działająca infrastruktura oraz odpowiednio wykwalifikowane kadry techniczne.

Klasa robotnicza natomiast, dla której, jak podkreśla Piłsudski, „matuszka Rosija nie była wcale matką, a macochą", liczyła w carskim imperium około półtora miliona proletariuszy (co stanowiło 1/15 całej lud-

eprasa.pl d1d189da9f

ności), a wraz z rodzinami – około 6 milionów, z czego dużą część stanowili Polacy, Litwini, Łotysze i Rusini. Robotnik rosyjski żył w nędzy, narażony na wyzysk, który „srożył się bezczelnie i bez granic wyciskał złotodajną pracę proletariusza". W Rosji obowiązywał najdłuższy dzień roboczy i najniższa płaca. Poza tym robotnik był nieustannie upokarzany i traktowany przez kapitalistę jak bezduszna maszyna, a nawet karany cieleśnie. Najgorsze okazało się jednak to, że nie miał on świadomości swego położenia i stąd brała się jego bierna postawa oraz brak sprzeciwu wobec wyzyskiwaczy.

Zdaniem publicysty siłą, która „w proch zetrze potęgę caratu", będą narody podbite i wchłonięte przez Rosję – Polacy, Litwini, Łotysze, Rusini – zamieszkujący w większości tereny dawnej Rzeczypospolitej, a wyrastający z zupełnie odmiennej tradycji i doświadczeń historycznych. Narody te cechuje – w przeciwieństwie do hołdujących ślepemu posłuszeństwu Rosjan – ugruntowana świadomość polityczna, wspierająca się na wartościach wolnościowych i demokratycznych, co determinuje ich gotowość do walki o niezależność.

W przekonaniu Piłsudskiego Polacy w szczególny sposób predestynowani są do odegrania przewodniej roli w starciu z prześladowcą, ponieważ stojąc zawsze po stronie narodów uciśnionych, angażowali się w europejskie ruchy narodowowyzwoleńcze i bronili wartości demokratycznych. Jako odwieczni orędownicy wolności, związani z cywilizacją i kulturą Zachodu, miłujący swobody demokratyczne, stwarzali „swą buntowniczością" niebezpieczny dla uzurpatora ruch oporu przeciwstawiający się jego apodyktycznej władzy. Ziemie polskie to według Piłsudskiego najdalej wysunięty na wschód Europy bastion ideałów wolnościowych, a Polacy to obrońcy Zachodu „od zaborczego i reakcyjnego caratu".

▶ „Palenie Polski"

Już w niepodległej Rzeczypospolitej, na początku lat dwudziestych, Piłsudski wystąpił z inicjatywą stworzenia specjalnej serii wydawniczej składającej się z relacji wspomnieniowych dawnych żołnierzy-legionistów, którzy na swych bagnetach przynieśli Polsce wolność. Rzucając hasło „Leguny do wspomnień!", stał się inicjatorem niezwykłej akcji gromadzenia tekstów pamiętnikarskich, które oparte na autentyczności przekazu bezpośrednich świadków i uczestników niedawnych bojów o Niepodległą stanowić miały bezcenne źródło historyczne, objawiające prawdę o polskim czynie legionowym i jego bohaterach. Uważał, że poprzez pryzmat osobistych doświadczeń, jednostkowych i subiektywnych, możliwe staje się przybliżenie dziejowych mechanizmów i zrozumienie ich skomplikowanych zależności. Sam wierny temu przesłaniu, stworzył z myślą o powstającej publikacji dwa refleksyjne szkice wspomnieniowe „Czeremoszno" (wyd. 1924) i „Ożarów" (wyd. 1925), które stanowią swoistą mozaikę wojennych przeżyć wodza.

W drugim z wymienionych szkiców centralnym motywem staje się ziemia zniszczona przez żywioł wojny. Piłsudski odsłania spustoszenia, jakich w Ożarowie i jego okolicach dokonały wojska rosyjskie w czasie letniej ofensywy 1915 roku. Wycofujący się pod naporem państw centralnych Rosjanie na wyraźny rozkaz: „Palić, wysiedlać, zostawiać tylko pustynię!", usiłowali zrównać z ziemią to, co znalazło się na ich drodze. Stanąwszy kwaterą w odległości sześciu kilometrów od Ożarowa, w Bidzinach na ziemi sandomierskiej, Piłsudski mógł zobaczyć piękny dwór, jedyny chyba, jaki ocalał w tej okolicy dzięki ułanom, którzy na polach bidzińskich stoczyli zwycięską potyczkę z kozakami. Wzburzony wyznaje, jak boleśnie dotyka go „hańbiąca bezsilność", gdy widzi „bezecne znęcanie się nad niewolniczą ziemią" i jak przerażająca staje się dla niego myśl, że uciekający Rosjanie „spędzą chłopków i baby nahajem, puszczą czerwonego koguta [podpalą] i hulaj dusza bez kontusza – szeroka natura Wschodu". Ten bestialski akt „palenia Polski" uważa za tym bardziej upokarzający, że dokonuje się na oczach zaborców walczących na podbitej ziemi i naigrawających się, a wręcz „chichoczących z rozkoszą" na widok tego nieludzkiego dzieła zniszczenia. Wzbierające w nim uczucie gniewu najsilniej dochodzi do głosu pod wpływem obrazu dojrzewających zbóż, chylących ku ziemi swe coraz cięższe kłosy, których Rosjanie nie zdążyli spalić.

Pozostając pod wpływem przytłaczających obrazów spalonej ziemi polskiej, Piłsudski decyduje się obejrzeć jeszcze z pewnego oddalenia strawiony moskiewskim ogniem Ożarów. To znajdujące się niedaleko od Bidzin miasteczko, do niedawna tętniące życiem kilku tysięcy mieszkańców, leżało teraz zniszczone doszczętnie pożarem wraz z kościołem, który aż trzykrotnie oblewano naftą, bo ogień nie chciał od razu go pochłonąć. Miejsce to czyniło wstrząsające wrażenie miasta-gruzowiska, miasta-ruiny, które zginęło „nie pod celową pracą wojny", lecz z powodu „jakiejś dzikiej zabawy w pustynię", stało się ofiarą bezrozumnej i okrutnej moskiewskiej żądzy zemsty i niszczenia. Patrząc z daleka na to umarłe miasto, widział, jak „domy-trupy świeciły na ulicę pustymi oczodołami – oknami bez szyb o sczerniałych od dymu bokach", widział część murów spadłych na ulice i tworzących ogromne rumowiska, a wszystko to przypominało mu „jakąś umarłą dawno siedzibę ludzką, którą upiększa nie tylko kapryśna rzeźba cza-

eprasa.pl d1d189da9f

su, strojąca mur w koronki i nieoczekiwane załomy, lecz i groza i powaga śmierci, śmierci nie ludzi, lecz i wiekowych wysiłków, i długiej, a wytrwałej pracy". W mrocznej scenerii, wśród gruzów i rozwalisk miasta-cmentarzyska Piłsudski czuje się bliższy tajemnicy śmierci, którą usiłuje wyrazić w metaforycznym obrazie „cichego melancholijnego śpiewu kuli" przerywającej nagle pasmo ludzkiego życia: „Zawsze myślę, że kula śpiewa o śmierci [...]. Jest w niej i przy niej jakaś powaga śmierci, która może zmusza ludzi skłonić przed nią głowę, tak jak przed pogrzebem".

„Europę zbawiła Polska"

Wojnie z Rosją Sowiecką, od której zawisł polski los, poświęcił Piłsudski swoje największe objętościowo dzieło – „Rok 1920" (wyd. 1924), w którym skoncentrował się na przedstawieniu najważniejszych i najcięższych zmagań trwających od maja do sierpnia włącznie. Jest to tworzone z pisarskim rozmachem studium naukowo-wojskowe poddające wszechstronnej analizie dopiero co minione wypadki wojenne oglądane z perspektywy wodza zwycięskiej armii. Rozprawa ta rodząca się w ciszy sulejowskiego dworku, dyktowana nocami żonie Aleksandrze, nie jest suchym wykładem akademickim, choć jest rzeczowa i świadczy o gruntownej wiedzy autora z zakresu historii i teorii wojskowości. Podejmowane w niej przez znawcę sztuki wojennej kwestie dotykają istoty filozofii i psychologii wojny, uwydatniając rolę pierwiastka moralnego tkwiącego u podstaw walki z potężnym przeciwnikiem. W „Roku 1920" Piłsudski nie ogranicza się do odtwarzania faktów znaczących z punktu widzenia historycznego, dokumentarnego, usiłując równocześnie wskazać i podkreślić rolę czynnika psychologicznego, determinującego postawy i działania żołnierzy na polu walki. Z przekonania o niebagatelnym znaczeniu siły moralnej wojska wyprowadza wniosek, że w tym morderczym boju po jednej stronie stawali Polacy jako ci, którzy umiłowali wolność i niezależność, a po drugiej Rosjanie – wewnętrznie zniewoleni, ślepo podporządkowani władzy i narzuconej im ideologii. „Patrząc, jak autor rozszerza stopniowo obręb stosowania duszy do wojny – pisze Cezary Jellenta, znawca twórczości Piłsudskiego – musimy dojść do dalszego jeszcze wniosku, że cała ta wojna roku 1920 była właściwie triumfem ducha, idei, lotności umysłu i poczucia wyższości moralnej ze strony wodza, nad bezduchem armii bolszewickiej, która do środków wojowania zaliczyła przede wszystkim zdemoralizowanie, zbolszewizowanie wojska polskiego. Gdy się ta impreza nie powiodła, Tuchaczewski skarżył się przed Sowietami i tym tłumaczył swoją porażkę. Była to zatem rozprawa umysłu wolnego, panującego nad wszystkim, z umysłem niewolniczym, kierowanym przez jakąś z zewnątrz narzuconą doktrynę i doktrynerów".

Przesycony żywiołem polemicznym „Rok 1920" miał stanowić zarazem odpowiedź, jaką dał Naczelnik Państwa sowieckiemu dowódcy Tuchaczewskiemu, który przedstawił własną wersję historii polsko-bolszewickich zmagań w propagandowej broszurze „Pochód za Wisłę". Chociaż Piłsudski przeciwstawia się teoretycznym i strategicznym wywodom Tuchaczewskiego, czyni to w sposób pełen kurtuazji – zachowuje daleko posunięty obiektywizm w ocenie działań przeciwnika i nie dopuszcza do fałszowania historii, przeciwstawiając się tym samym kłamliwej propagandzie sowieckiej. Swoje racje wykłada jasno, rzeczowo, nie ukrywa przy tym własnych wewnętrznych rozterek. W tym obszernym studium wojny występuje nie tylko jako doświadczony strateg, polemista i wychowawca społeczeństwa, ale i jako pisarz ujmujący ekspresją słowa, co uwidacznia się w wielu fragmentach tekstu, jak chociażby w poniższym, poświęconym Bitwie Warszawskiej, kiedy to „nie marnego kontredansa, lecz wściekłego galopa rżnęła muzyka wojny! Nie dzień z dniem się rozmijał, lecz godzina z godziną! Kalejdoskop, w takt wściekłego galopa zakręcony, nie pozwalał nikomu z dowodzących po stronie sowieckiej zatrzymać się na żadnej z tańczących figur. Pękały one w jednej chwili, podsuwając pod przerażone oczy całkiem nowe postacie i nowe sytuacje, które przerastały [...] czynione plany i zamiary". Lektura wydaje się tym bardziej pasjonująca, że do książki Piłsudskiego dołączona została relacja Tuchaczewskiego z przebiegu walk nad Wisłą, dzięki czemu powstał swego rodzaju dwugłos polemiczny płynący z wojennych przekazów obydwu wodzów pozostających ze sobą w śmiertelnych zapasach.

„Ocalała nie tylko Warszawa, ocalała nie tylko Polska – napisała po Bitwie Warszawskiej Aleksandra Piłsudska. – Zwycięstwo nad Wisłą załamało marsz wojsk bolszewickich na Europę. Była to bitwa o zwycięstwo cywilizacji i wolność całego Zachodu". Przyjęta przez Piłsudskiego strategia działania i jego przemożny wpływ na postawę żołnierza pozwoliły generałowi M. Weygandowi stwierdzić, że „pod żadnym innym dowódcą wojsko polskie nie dokonałoby z tym uniesieniem zażartym tej ofensywy, [...] rozwalając siły czterech armii sowieckich, które dopiero co miały się za zwycięzców". Dyplomata angielski Edgar d'Abernon, świadek polsko-bolszewickich zmagań i autor poświęconej im książki „Osiemnasta decydująca bitwa w dziejach świata pod Warszawą...", jednoznacznie wskazuje na fakt, że „w 1920 roku Europę zbawiła Polska". ■

eprasa.pl d1d189da9f

Piotr Lisiewicz

Cel, który wyznaczyłem, będzie realizowany jeszcze długo po tym, jak przeminie nasze pokolenie. Ale my razem również przeszliśmy już najgorsze. Zbierzmy więc teraz siły, aby nie zapomniano o tym, co najważniejsze: krucjacie o wolność, której prowadzenie wymagać będzie od kolejnego pokolenia wiary i męstwa" – jak te słowa Ronalda Reagana wygłoszone w 1982 roku w brytyjskim parlamencie brzmią dokładnie 40 lat później, w czasie wojny na Ukrainie w 2022 roku? Gdy Rosja pokazuje niedowiarkom, że pozostaje niezmiennie Imperium Zła? Kengor nie przypadkiem nadał swojej książce tytuł „Ronald Reagan. Duchowa biografia". 4 lipca 1984 roku Ronald Reagan powiedział, że „dzisiejsze zmaganie totalitaryzmu z wolnością" dokonywało się właściwie nie przez porównywanie sił zbrojnych i rakiet, „lecz przez próbę wiary i ducha". Rosja zawsze buduje swoją siłę na strachu Zachodu, a broń nuklearna stała się w określonym momencie najważniejszym narzędziem straszenia zachodnich społeczeństw. Co przeciwstawił temu strachowi Reagan? O tym mówi fragment książki biografa Ronalda Reagana, który przedrukowujemy poniżej. ■

Paul Kengor

Religijność Reagana a zwycięstwo w wyścigu zbrojeń

Polityk ukazywał, że jego – jako chrześcijanina – antykomunistyczna kampania motywowana była „nakazem biblijnym" opierania się złu i zwalczania go, gdziekolwiek się pojawi. Na wspólnej sesji parlamentu irlandzkiego 4 lipca 1984 roku powiedział, że „dzisiejsze zmaganie totalitaryzmu z wolnością" dokonywało się właściwie nie przez porównywanie sił zbrojnych i rakiet, „lecz przez próbę wiary i ducha". Zmaganie to – jak mówił – było „walką duchową".

Rozpoczyna się ona tam, gdzie wiara bohatera – we wczesnym dzieciństwie. Wiara ta, przynajmniej u swoich początków, nie różniła się zbytnio od wiary typowego człowieka żyjącego w podobnym czasie i miejscu. Pojawiła się u Ronalda w wyniku poszukiwania odpowiedzi na te same pytania, z jakimi zmagali się wierzący w różnych epokach historycznych. Oryginalność duchowości Reagana dało się zauważyć dopiero po opuszczeniu przez niego rodzinnego miasta. Wkrótce bowiem jego religijna wrażliwość zrosła się z wrażliwością polityczną, tak że mogły się one uzupełniać. Kiedy więc Reagan stał się młodym mężczyzną, był już świadom zachodzących w świecie przemian i gotów wyrażać zdecydowany sprzeciw wobec ateistycznego komunizmu, wyrosłego na gruncie rewolucji rosyjskiej 1917 roku.

Ekspansja i upadek komunizmu niemal całkowicie zbiegł się z życiem i karierą polityczną Reagana. Urodził się on 6 lutego 1911 roku w Tampico w stanie Illinois. Był sześciolatkiem, kiedy bolszewicy rozpoczynali swoje krwawe rządy w Petersburgu w październiku 1917 roku. Kilkanaście dni po roznieceniu w Rosji rewolucyjnego ognia przez Włodzimierza Lenina doszczętnie spalił się kościół w amerykańskim Dixon w Illinois; pięć lat później na jego gruzach powstał First Christian Church – sanktuarium przy 123 South Hennepin Avenue, które ukształtowało młodego Reagana, tak jak rewolucja rosyjska ukształtowała Lenina.

eprasa.pl d1d189da9f

Kiedy przywódca komunistów umierał w pierwszych miesiącach 1924 roku, Reagan wkraczał w wiek nastoletni. W czasie, gdy Stalin zdobywał władzę absolutną, Reagan zyskiwał przyjaciół w Eureka College. Gdy Stalin mordował dziesiątki milionów ludzi, Reagan poszukiwał pracy. Kiedy sowieccy komuniści dążyli do ekspansji marksizmu-leninizmu i prowadzili brutalną kampanię przeciwko religii, dorosły Reagan spoglądał na ich poczynania z żalem, obrzydzeniem i przeświadczeniem, że nie można być biernym. Zanim jeszcze został prezydentem w 1981 roku, gotów był nie tylko przeciwdziałać leninowskiemu imperializmowi, lecz także robić to wszelkimi środkami, które okażą się konieczne.

Postawiony przed ciemną siłą historii – sowieckim komunizmem – stykał się z nią nie tylko na gruncie politycznym, lecz i religijnym. Jego wiara była głęboka i nietypowa. Jego spojrzenie korespondowało ze zdaniem grona represjonowanych w Związku Sowieckim z powodów religijnych, dla których zimna wojna była nie tyle wielką wojną ideologiczną, co przede wszystkim konkretną walką o wiarę.

Zatem niniejsza duchowa biografia, dokładnie tak jak pielgrzymka życiowa Reagana, osiągnie swój punkt kulminacyjny w osobistej „krucjacie" prezydenta Reagana. Słowo „krucjata" jest tutaj jak najbardziej na miejscu – zarówno prezydent, jak i sowieccy komentatorzy używali go w tym samym celu: aby opisać dążenie Reagana do obalenia komunizmu.

Historia zawarta w tej książce podąża śladem Reagana od momentu zanurzenia go w chrzcielnicy First Christian Church w Dixon do chwili jego wystąpienia na podium Uniwersytetu Moskiewskiego w 1988 roku. Przedstawia Reaganową wizję Ameryki: jako kraju będącego z woli Bożej bastionem wolności – „świetlistym miastem położonym na górze" – i jako kraju przeznaczonego do zwycięstwa nad komunizmem.

Ta podróż z Reaganem nie ma na celu ani potwierdzenia jego wiary, ani debatowania nad jakością jego chrześcijaństwa, ani też wysublimowanej oceny jego poglądów religijnych. Chociaż jego wiara pozostawała wyraźnie chrześcijańska, nie będę się zajmować kategoryzacją jego teologii czy denominacyjnym szufladkowaniem jego wiary. Moje poszukiwania poszły w kierunku samych wierzeń Reagana: jak one konkretnie wyglądały i jak bardzo wpływały na jego myślenie i postępowanie. Nade wszystko intencją moją pozostaje tu wykazanie, że niemożliwe jest pełne zrozumienie Ronalda Reagana – w tym jego poczynań w czasie zimnej wojny – bez zrozumienia wpływu religii na jego myślenie.

Jego umysł pozostawał sprawny wystarczająco długo – mimo choroby Alzheimera w ostatnich latach życia – aby zobaczyć to, co od lat przewidywał: upadek Związku Sowieckiego. Po przeszło czterdziestu latach starań Reagana zakończył się komunizm sowiecki. Polityk ukazywał, że jego – jako chrześcijanina – antykomunistyczna kampania motywowana była „nakazem biblijnym" opierania się złu i zwalczania go, gdziekolwiek się pojawi. Na wspólnej sesji parlamentu irlandzkiego 4 lipca 1984 roku powiedział, że „dzisiejsze zmaganie totalitaryzmu z wolnością" dokonywało się właściwie nie przez porównywanie sił zbrojnych i rakiet, „lecz przez próbę wiary i ducha". Zmaganie to – jak mówił – było „walką duchową".

Ekspansja i upadek komunizmu niemal całkowicie zbiegł się z życiem i karierą polityczną Reagana.

Książka ta nie jest jednak prostą opowieścią o wpływach człowieku zajmującego potężne stanowisko, który zaczął wierzyć, iż Bóg przeznaczył go do specjalnej misji. Wiara Reagana była czymś o wiele bardziej znaczącym: stanowiła kluczowy czynnik jednego z najważniejszych wydarzeń XX wieku. Miała ogromny wpływ na myślenie i decyzje Reagana wobec sowieckiego komunizmu i zimnej wojny. Sami Sowieci zauważali w oficjalnych komunikatach swojej agencji prasowej TASS, że „prezydent Reagan ze szczególną gorliwością przywołuje religię dla wsparcia swojej antyradzieckiej polityki". Oczywiście, twierdzenie, że sama wiara Ronalda Reagana zburzyła komunizm, byłoby nadużyciem. Jednakże faktem pozostaje, że miała ona pewien (niełatwy może do uchwycenia) związek z tym wydarzeniem. Podobnie jak wiara każdego człowieka poważnie traktującego religię, tak i wiara Reagana kształtowała sposób jego życia i postępowania, a także wpływała na osoby wokół niego. Nie ma więc wątpliwości, że to, co Reagan czynił, wpłynęło na bieg wydarzeń XX wieku. ■

_____

Przedruk za: Paul Kengor, „Ronald Reagan. Duchowa biografia", Dom Wydawniczy RAFAEL, 2004.
Tytuł pochodzi od redakcji „NP".

eprasa.pl d1d189da9f

Catherine Belton, „Ludzie Putina. Jak KGB odzyskało Rosję i zwróciło się przeciwko Zachodowi", Wydawnictwo SQN, Kraków 2022

Krzysztof Wołodźko

GRA ZŁUDZEŃ. JAK PUTIN I KGB OSZUKALI ZACHÓD

„Ludzie Putina" Catherine Belton to potężne oskarżenie Zachodu o chciwość, wyrachowanie przemieszane ze skrajną naiwnością i polityczną hipokryzję. Dziennikarka śledcza zagląda również pod podszewkę sowieckiej i rosyjskiej rzeczywistości, a jej wnioski nie pozostawiają złudzeń: po upadku ZSRS najdrapieżniejsza część postsowieckiego aparatu władzy, czyli KGB, szybko zaczęła odbudowywać swoją pozycję. W lutym 2022 roku Władimir Putin wcale nie oszalał – uznał, że czas już zrzucić maskę „łagodnego despoty", w której wolały go oglądać liberalne salony cywilizowanego świata.

eprasa.pl d1d189da9f

Lata 80. XX wieku. Drezno, Niemiecka Republika Ludowa. Władimir Putin zajmuje się rzekomo nudną, biurokratyczną robotą jako oficer łącznikowy między KGB a Stasi. W rzeczywistości położone niedaleko od granicy z Czechosłowacją miasto służyło komunistycznym służbom do współpracy z lewackimi terrorystami, czyli Frakcją Czerwonej Armii (RAF – Rote Armee Fraktion), znaną też jako Grupa Baader-Meinhof. Putin bezpośrednio prowadził spotkania z członkami RAF. Choć po latach byli funkcjonariusze KGB i Stasi chętnie tłumaczyli, że „jedynie" pomagali dostarczać islamskim i lewackim terrorystom nielegalne dokumenty i broń, są co do tego poważne wątpliwości: najprawdopodobniej żaden z ataków terrorystycznych w Niemczech nie odbył się wówczas bez zgody i wiedzy rosyjskich służb: „RAF siał w całych Niemczech Zachodnich zamęt, dopuszczając się serii straszliwych zamachów bombowych. Działalność ta stanowiła kluczowy element strategii KGB, mającej na celu destabilizację nieprzyjaciela [...]. Wobec zbliżającego się końca sowieckiej potęgi oraz samej NRD jest bardzo prawdopodobne, iż owe metody stały się po prostu sposobem chronienia interesów KGB".

▶ Zamach na prezesa Deutsche Bank

30 listopada 1989 roku, okolice Frankfurtu, Niemcy Zachodnie. Alfred Herrhausen, prezes Deutsche Bank, szara eminencja zachodnioniemieckiego biznesu, bliski współpracownik kanclerza RFN Helmuta Kohla wsiada do opancerzonej limuzyny. Nigdy nie dojedzie do pracy – 150 kilogramów materiałów wybuchowych zamienia auto i jego pasażera w stalowo-krwawe strzępy. Deutsche Bank miał w tamtym czasie przejąć kontrolę nad prywatyzacją wschodnioniemieckich przedsiębiorstw państwowych. Wśród konkurentów najważniejszej zachodnioniemieckiej instytucji finansowej był Dresdner Bank, „gdzie wkrótce znalazł pracę Matthias Warnig, kolega Putina ze Stasi". Warnig, dziś powszechnie znany jako „zwykły niemiecki biznesmen", po dekadach od tamtych wydarzeń został namaszczony przez prezydenta Rosji na szefa Nord Stream 2 AG. Jest też jednym z bohaterów nieprzetłumaczonej jeszcze na polski książki Jensa Hovsgaarda „Gier, Gas und Geld" („Chciwość, gaz i pieniądze").

Najprawdopodobniej nigdy się nie dowiemy na 100 procent, jak duże było rzeczywiste znaczenie Władimira Putina w Dreźnie i jak bardzo wpływał na destabilizację Niemiec – do myślenia daje jednak fakt, że ludzie chronieni dziś przez niemieckie służby bezpieczeństwa twierdzą, że w tamtych czasach jako agent miał prowadzić sławnego neonazistę Rainera Sonntaga, którego w 1987 roku deportowano do Niemiec Zachodnich, „a który po upadku muru [berlińskiego – K.W.] wrócił do Drezna, gdzie pomagał w odrodzeniu się skrajnej prawicy". A gdy upadały Sowiety, KGB i Stasi miały ten proces pod niemałą kontrolą. Niemal wszystkie ważne dokumenty zniszczono, zbędni i gadatliwi ludzie ginęli. Sam Putin przyznawał, że „wszystko, co najcenniejsze, powędrowało do Moskwy". W chwili szczerości zdradził, że jego praca w Dreźnie skupiała się na prowadzeniu uśpionych agentów – ludzi najtrudniejszych do wykrycia, którzy potrafią straszliwie szkodzić potencjalnym wrogom Rosji nawet po dekadach. Ale wśród euforii, jaka nastała po upadku muru berlińskiego, obawy się rozproszyły: „głosy uciekinierów ze Stasi, którzy dotarli na Zachód, ginęły w ogólnym harmidrze, jednak kilku z nich mówiło bez ogródek. »W pewnych warunkach część siatek agenturalnych da się reaktywować – informował pewien dysydent. – Nikt na Zachodzie nie może mieć gwarancji, że kiedyś KGB się na to nie zdecyduje«".

Dlaczego początki są tak ważne? Ponad trzydzieści lat później, po zbrojnej napaści Rosji na Ukrainę, zachodnia Europa jest zbulwersowana. Ale wciąż nie dowierza. Zachodni przyjaciele Władimira Putina zamilkli albo biją się w cudze piersi. Albo tłumaczą wszystko jego rzekomym szaleństwem, chorobą lub starością. Ale 70-letni tyran jest tym samym człowiekiem co przed dekadami – cynicznym technologiem politycznego terroru, który połączył w jedno religijny, wielkoruski szowinizm z postkomunistycznymi strukturami i niezwykłymi finansowymi możliwościami, jaki dał Rosji współudział w gospodarczym systemie zachodniego kapitalizmu. Taki prezydent Rosji przestaje być irracjonalnym despotą – staje się kimś, kto wykorzystał każdą możliwość, by odbudować rosyjską imperialną ideę i służące jej struktury władzy.

▶ Człowiek o wielu twarzach

Doświadczenie zdobyte w pracy w KGB nauczyło Putina nie tylko terroru i manipulowania ludźmi. Stał się znakomitym aktorem, człowiekiem bez właściwości, co pomogło mu bardzo w początkach kariery w Sankt Petersburgu, na początku lat 90. Anatolij Sobczak, mer miasta, polityk uchodzący za liberalnego, nie mógł się obyć bez pomocy Putina, wicemera i szefa Miejskiej Komisji Spraw Zagranicznych. Putin nie znalazł się tam przypadkiem – KGB celowo osadziło go wysoko w strukturze

eprasa.pl d1d189da9f

„drugiej stolicy" Rosji. Dalej pełnił właściwie rolę kogoś w rodzaju oficera łącznikowego – z pomocą parasola ochronnego służb osłaniał i wspomagał Sobczaka w czasie antyjelcynowskiego puczu w sierpniu 1991 roku. Sprawnie posługiwał się dobrze widzianym przez gości z Zachodu żargonem – potępiał sowiecką ekonomię, wychwalał demokratyzację i zachodnią przedsiębiorczość. Jak pisze Belton: „przejawiał takie poglądy, jakich po nim oczekiwano: najpierw podobne do swego nowego, pseudodemokratycznego pana, a potem ludzi ze starej gwardii i z establishmentu, z którymi również współpracował". Jeden z jego niemieckich współpracowników z tamtych lat mówił: „Zmieniał barwy jak kameleon, tak szybko, że nie sposób było stwierdzić, kim jest naprawdę". Taki człowiek zdolny jest do wszystkiego, gdy tylko okoliczności dadzą mu po temu okazję.

Jedno wydaje się pewne: Władimir Putin bolał nad upadkiem rosyjskiego imperializmu. A to coś więcej niż publicznie deklarowany żal za rozpadem Sowietów. Następczyni KGB, Federalna Służba Bezpieczeństwa Rosji, dobrze wiedziała, że kapitalizm to nie tylko efektywniejsza gospodarka, ale także straszliwa korupcja – szczególnie dla tych, którzy znajdują się na jego peryferiach. Sam Putin, wbrew swojemu wizerunkowi zatroskanego państwowca, w latach 90. również żył z mafii i łapownictwa. Miał na to jednak lepszy pomysł niż jelcynowska Familia. I choć putinowski system okazał się po latach nie mniej skorumpowany niźli córka, szwagier i cała „rodzinka" Jelcyna, to jednak silna polityczna władza nad rosyjską gospodarką pomogła przywrócić sterowność władzy i państwu. Putin kierował FSB dość krótko: od lipca 1998 do sierpnia 1999 roku. Ale z pewnością dojrzewała już w nim wówczas myśl, że najlepiej będzie, jeśli Rosja odwróci trend. I sama zacznie korumpować na ogromną skalę elity polityczne, finansowe, medialne i kulturalne Zachodu. Musiał jednak zachować pozory: szczególnie latem 1999 roku, gdy – pomimo ostrzeżeń jego dawnego pryncypała z Sankt Petersburga – Familia pogodziła się z myślą, że to on zostanie kolejnym prezydentem Rosji.

Prawdziwie liberalny antykomunista, a przy tym schorowany alkoholik Boris Jelcyn, coraz bardziej oderwany od kremlowskiej rzeczywistości, dał się przekonać nie bez oporów. Uspokajano go, że Putin nie jest „twardym człowiekiem KGB", niereformowalnym „siłowikiem", czyli przedstawicielem najbezwzględniejszych, bezpieczniackich i wojskowych tradycji ZSRS: „Nieszczere poparcie przez Putina zasad wolnego rynku oraz demokracji skłaniało Familię do uwierzenia, że będzie kontynuował jej polityczny kurs". Sam Władimir Władimirowicz mówił wówczas o sobie, że jest menedżerem do wynajęcia – na pięć najbliższych lat. Ale rzeczywistość była inna: Putin już wcześniej współpracował z ludźmi, którzy planowali obalić władzę Jelcyna, oszukiwał Familię, udając zwolennika demokratycznej i liberalnej, antyimperialnej drogi Rosji. A równocześnie uspokajał Zachód, przekonywał, że jest człowiekiem, który zrozumiał błędy minionej epoki i chce się na nich uczyć. W wywiadzie rzece „W pierwszej osobie", opublikowanym w 2000 roku, zapytany o inwazję wojsk Układu Warszawskiego na Węgry w 1956 roku i na Czechosłowację w 1968 roku odpowiadał: „Zapominacie, że w 1953 roku użyliśmy siły również w Niemczech. Moim zdaniem to były poważne błędy. A owocem tych błędów jest rusofobia, którą obserwujemy dziś w Europie Wschodniej". Grał tak, jak wówczas grać należało: jego najprawdziwszą twarz zachodnia opinia publiczna odkryła dopiero zimą 2022 roku.

▶ Pieniądze lubią martwą ciszę

W lutym 2000 roku zmarł (lub zginął) Anatolij Sobczak, mer Sankt Petersburga. Od lat nie miał najlepszego zdania o Putinie – więcej jeszcze: ostrzegał przed nim Siergieja Pugaczowa, kremlowskiego oligarchę, który pomógł Putinowi zdobyć władzę, a blisko dziewięć lat później znalazł się w niełasce i w końcu musiał opuścić Rosję. Belton sugeruje, że Sobczaka zabito na zlecenie Putina. Jak pisze: „był wtajemniczony w najciemniejsze sprawki Władimira Władimirowicza jeszcze w Petersburgu: przekręty »ropa za żywność«, pranie brudnych pieniędzy dla grupy tambowskiej za pośrednictwem państwowej agencji nieruchomości SPAG, prywatyzacja i rozkradanie Floty Bałtyckiej".

Sobczak wiedział to wszystko dobrze, bo w czasach, gdy Putin był prawą ręką, on sam pomógł mafii tambowskiej przejąć port i terminal naftowy w „Pitrze". Żona po Sobczaku, Ludmiła Narusowa, o której świat dowiedział się w marcu 2022 roku, gdy powiedziała głośno o rosyjskich żołnierzach, licznych ofiarach wojny na Ukrainie, pozostawała przez lata lojalna wobec Władimira Putina. Raz tylko pozwoliła sobie zasugerować, że milczy w sprawie śmierci męża, gdyż boi się o życie córki. I dodała: „wiem, do czego ci ludzie są zdolni, ludzie, którzy nie lubią prawdy i chcą ją zataić. Wszystkie dokumenty są przechowywane w bezpiecznym miejscu za granicą. Nawet jeśli coś mi się stanie, one tam będą".

eprasa.pl d1d189da9f

Putin zaczął rządzić i zaczął się bogacić. Po kryzysie 2008 roku potężne środki z bezprawnego funduszu zainwestowano nie w infrastrukturę publiczną, nie w ratowanie poziomu życia społeczeństwa, lecz w budowę luksusowej rezydencji prezydenckiej nad Morzem Czarnym. Siergiej Kolesnikow, jeden z uciekinierów na Zachód, odpowiedzialny za tę inwestycję, mówi, że Putin traktuje Gazprom jako swoje prywatne lenno. Pieniędzy transferowanych stamtąd nie mogło zabraknąć na zachcianki cara: rezydencja, na którą wydano miliard dolarów, rozrosła się do pałacu w stylu włoskim o wielkości 4 tysięcy metrów kwadratowych: z trzema lądowiskami dla helikopterów, letnim amfiteatrem, marina oraz herbaciarnią z basenami.

Belton tak pisze: „gdy po kryzysie finansowym z 2008 roku Putin wydał polecenie, aby wszystkie pozostałe środki znajdujące się na lewym funduszu w Petromedzie przeznaczyć na jego pałac, a nie na stocznie i inne projekty w realnej gospodarce, Kolesnikow rozpoczął planowanie ewakuacji". Miał powody do obaw: wiedział, że putinowska władza najsurowiej karze tych, którzy zdradzają tajemnice Kremla. Pieniądze Putina najbardziej lubią martwą ciszę. Także dlatego, że wobec wciąż biedniejącego narodu kremlowski włodarz przedstawiał się jako najtroskliwszy ojciec, surowo karzący złych bojarów za okradanie rosyjskiego ludu. Putin, który nie godzi się na zamykanie fabryk; Putin, który nie pozwala na podwyżki biletów kolejowych, bo zwykli ludzie jeżdżą nimi do pracy; Putin, który ściga korupcję na wszelkich szczeblach instytucji – rosyjskie media pełne są takich obrazków, które w Polsce kojarzą się raczej z białoruską, łukaszenkowską propagandą.

▶ Rozbicie oligarchów, atak na Zachód

To wszystko nie byłoby jednak możliwe, gdyby nie realny sukces putinowskiej polityki: rozgromienie rozpanoszonych w latach 90. oligarchów, odebranie im niezależności finansowo-politycznej. „O ile magnatom finansowym epoki jelcynowskiej – pisze autorka „Ludzi Putina" – zależało na wmanewrowaniu osłabionego Kremla w rozparcelowanie majątku państwa po zaniżonych cenach, o tyle Putin tworzył coś innego: sieć lojalnych, zaufanych, powiązanych z KGB powierników. Proces ten prowadzono także na zachodzie Europy, w Liechtensteinie i Monako, a później również w Panamie na brytyjskich Wyspach Dziewiczych". Bardzo ważna okazała się Szwajcaria: „KGB od dawna chomikowała tam swoje środki: bankowcy opowiadali szeptem historie, jak w czasach zimnej wojny sowieccy biznesmeni przywozili walizki wypchane gotówką, o czym informowali ich, dzwoniąc z budek telefonicznych. [...] Teraz, gdy ogłoszono już koniec zimnej wojny, Genewa znów stała się ważną placówką magazynowania bogactw z ropy naftowej, pozostających w dyspozycji kagiebistów Putina".

Londyn, Berlin, Waszyngton – putinowska Rosja rozbudowywała strefę wpływów, korzystając ze starej i nowej sieci agentury; pieniądze, które dawało się zarabiać na handlu z Rosją, były najlepszym narzędziem moskiewskiej dyplomacji. Zachodni świat nie bardzo chciał się domyślać, dlaczego kolejni oligarchowie uciekali z Rosji: elity polityczne, prawnicze i gospodarcze łatwo sobie tłumaczyły, że uciekają skorumpowani ludzie epoki Jelcyna, których Putin jako surowy, lecz dobry włodarz kraju chce przykładnie ukarać. Zabójstwa dziennikarzy, spadające samoloty z nadto dociekliwymi ludźmi? Wojny gdzieś daleko? Wszystko dało się zracjonalizować. Pomocą służył Dmitrij Miedwiediew. Dziś rozszalały w swoich pogróżkach wobec Zachodu i Polski, przez lata uchodził za liberała – również w polskojęzycznych, liberalnych mediach. Belton nie ma złudzeń: „Miedwiediew prawie nie podejmował samodzielnych decyzji, a jego reformy umniejszające rolę państwa stanowiły mydlenie oczu – pod wieloma względami był to tylko pionek".

Użyteczny pionek: prezydentura Miedwiediewa pomogła uwierzyć Stanom Zjednoczonym, że w Rosji demokracja wciąż jest możliwa i do wyobrażenia jest ocieplenie stosunków między Waszyngtonem a Kremlem. Tymczasem stały napływ zachodnich inwestycji do Rosji, dla którego zielone światło dał Barack Obama, pozwolił „wewnętrznemu kręgowi" Putina, czyli ludziom KGB, na kolejne działania wobec Zachodu i wzmacnianie autorytaryzmu we własnym kraju. Na całe szczęście nie wszystkie bezpieczniki zostały zniszczone: w 2010 roku FBI zaczęło ostrzegać Dolinę Krzemową, Massachusetts Institute of Technology oraz szefów ważnych spółek technologicznych w Bostonie, że „rosyjskie projekty państwowe to w istocie wyrafinowane przykrywki", których celem jest infiltracja i szkodzenie amerykańskim urządzeniom wojskowym i cywilnej oraz militarnej cyfrowej infrastrukturze.

Gra liberalnych pozorów i coraz wyraźniejsza, brutalna geopolityczna rozgrywka – elity najważniejszych europejskich państw długo nie chciały widzieć narastających sprzeczności w rosyjskiej polityce wobec Zachodu. Studium tych złudzeń i błędów pisze się na naszych oczach. „Ludzie Putina" to ważny element analizy dzisiejszej, groźnej dla świata sytuacji. ■

eprasa.pl d1d189da9f

Małgorzata Matuszak

Czym jest... nienawiść

Nienawiść to na wskroś ludzka, silna emocja, która – jeśli nie jest kontrolowana – potrafi przejąć władzę nad człowiekiem i nim kierować. Może mieć charakter zarówno indywidualny, jak i grupowy – zawładnąć jedną osobą, ale też spajać całą grupę, nadając jej tożsamość; może być skierowana przeciw jednej osobie, ale też sięgać zbiorowości: grup ludzi, społeczeństw, kultur. Jest ogromną siłą, zawsze jednak niszczącą, związaną z destrukcją, niechęcią i wrogością. Jak pisze André Glucksmann: „Nienawiść nie jest ani wypadkiem przy pracy, ani przytrafiającym się gdzieś po drodze błędem. To fundamentalne pragnienie niszczenia, przepaść rozwierająca się pod stopami, wyczuwalna przez skórę otchłań, która nie znajduje się za nami, ale w nas i wokół nas. To radykalna i wywrotowa negatywność".

Max Scheler przeciwstawia nienawiść miłości. Obie są aktami duchowej preferencji. Miłość jest praaktem, czyli aktem podstawowym, fundamentem świadomości gruntującym życie emocjonalne i intelektualne człowieka, dzięki któremu otwieramy się na inne wartości. Nienawiść jest jej przeciwieństwem – ona życie emocjonalne i intelektualne tego gruntu pozbawia, sprawiając, iż człowiek nie potrafi otworzyć się na wartości, postrzega je w zupełnie przeinaczony sposób. Miłość kieruje wzwyż, ku najwyższym wartościom i byciu wyrazicielem tych wartości, nienawiść – ściąga w dół, ku negacji tego, co wartościowe. Akty nienawiści stają się w ten sposób nośnikiem zła. Miłość rozszerza horyzont aksjologiczny, nienawiść go przerażająco zawęża. W perspektywie miłości wszystko postrzegamy lepszym, kierując zaś się nienawiścią – gorszym, mniej wartościowym.

Nienawiść oślepia. Deformuje sposób patrzenia do tego stopnia, że owładnięte nim serce niszczeje. W nienawiści, jak pisze Scheler, widzi się nie to, co istotnie jest, ale coś innego. Nie kieruje się obiektywną oceną wartości tego, ku czemu jest kierowana, lecz kreuje się własną „oczywistość" tego, co widziane. Dlatego też próby jej uzasadnienia spełzają często na niczym bądź opierają się na czymś, co tylko w niewielkim stopniu ją tłumaczy. I nie jest tylko pragnieniem nieistnienia czegoś, kogoś. Jej niszczycielska siła stępia odczuwanie wartości tak dalece, że dla owładniętego nią człowieka stają się one niewyczuwalne. Karmi się sama sobą i trwa. Każdy powód jest dla niej dobry, by zniszczyć albo chociaż maksymalnie umniejszyć to, ku czemu się kieruje.

Nienawiść w swej skrajnej postaci może prowadzić do pragnienia zniszczenia narodu, do ludobójstwa. Do wojny, w której agresor przekracza wszelkie prawa. Cena przy tym nie gra roli. Nienawiść w pewnym momencie staje się tak wielka, że nie zważa już na koszty. Niestety tak właśnie się dzieje na naszych oczach.

„Masakra w Buczy dowodzi, że nienawiść Rosjan do Ukraińców wykracza poza wszystko, co Europa widziała od II wojny światowej" – pisał na Twitterze Dmytro Kułeba po dramatycznych zdarzeniach, które miały miejsce w jednej z podkijowskich miejscowości. I nie tylko tam. Ogrom zła, którego doświadcza ludność Ukrainy, przeraża i poraża. Armia rosyjska atakuje obiekty cywilne, zabija kobiety i dzieci, dokonuje zbrodni wojennych na coraz większą skalę. Nie można wątpić w to, że wojska rosyjskie działają na rozkaz – bądź za przyzwoleniem – tych, których serca i umysły zatrute są trucizną nienawiści. W Ukrainie praktykowana jest nienawiść z właściwą sobie gotowością, wręcz żądzą destrukcji, zadawania gwałtu i śmierci, a nawet profanacji zwłok. Kremlowska propaganda nienawiści zatruwa umysły Rosjan, przejmuje ich serca i potrafi tak nimi kierować, by akceptowali i czynili zło, uważając je za dobro. Postawa ta gloryfikowana jest przez rządowe media, które nieustannie zaprzeczają rosyjskim zbrodniom i kreują równoległą rzeczywistość. Ci zaś, którzy się tej propagandzie nie poddają, uznawani są za zdrajców i wrogów rosyjskiego narodu.

Musimy zrobić wszystko, by tę spiralę nienawiści przerwać. Musimy trwać w nadziei, że dobrych ludzi jest więcej, że dobro zwycięży, choć cena tego zwycięstwa będzie ogromna. ■

eprasa.pl d1d189da9f

Marek Kalinowski

Jaka piękna katastrofa

Jack White, współtwórca duetu The White Stripes, to jedna z ikon współczesnego rocka. Z rosnącym niedowierzaniem słucham więc jego najnowszej, solowej płyty, spoglądam na postać z okładki bezradnej wobec otaczającej ją katastrofy i zastanawiam się: co znów tu poszło nie tak?

Miłośnicy ciężkich, rockowych brzmień z pewnością odczytają z mrocznej okładki nowej, solowej płyty Jacka White'a nawiązanie do głośnego albumu grupy Iron Maiden „Fear of the Dark". Niech od razu wyzbędą się złudzeń. Podobieństwa w zasadzie kończą się na pomyśle graficznym i tytule albumu, więc jeśli ktoś liczył na ukłon White'a w stronę heavy metalu lat 80. czy 90., będzie bardzo zdziwiony. Choć artysta ten, owszem, lubi grzebać w przeszłości, szczególnie w blues-rockowej muzyce sprzed dziesięcioleci, i wyciągać z niej najróżniejsze inspiracje, robi to jednak wyłącznie po to, aby wrzucić je do muzycznego świata zbudowanego na własnych zasadach, a udowadniał już wiele razy, że wyobraźnię ma nieograniczoną.

Tak zdarzyło się i na najnowszym albumie „Fear of the Dawn", choć tym razem wyobraźnia prowadzi go już w kierunku dla wielu słuchaczy trudno akceptowalnym. Oto wśród nowych piosenek znalazło się choćby „Hi-De-Ho" amerykańskiego jazzmana Caba Callowaya, które White niemal karykaturalnie zniekształcił w samplach i zapętleniach. W rozciągniętym do blisko czterech minut utworze zmieściła się nawet kwestia znanego rapera Q-Tip, która szczęśliwie przynosi tu choć chwilę oddechu od męczącego chaosu.

Jack White, FEAR OF THE DAWN, Third Man Records

Jack White to bez wątpienia jeden z najważniejszych współczesnych gitarzystów. Albumy jego zespołów, zwłaszcza duetu The White Stripes, były kamieniem milowym w spojrzeniu na muzykę rockową. Z rosnącym niedowierzaniem słucham więc jego kolejnej, solowej płyty, spoglądam na postać z okładki, jakoś beztrosko bezradnej wobec otaczającej ją katastrofy, i zastanawiam się, co znów tu poszło nie tak.

Odpowiedź niemal sama nasuwa się już po otwierającym album utworze „Taking me back". To jeden z najbardziej spójnych i chwytliwych fragmentów płyty, choć już z niepokojąco dziwnym, uciekającym w kosmiczne rejestry brzmieniem gitary. Dalej jest już tylko gorzej, bo próżno w nowych piosenkach szukać zarówno ciekawych kompozycji, jak i interesujących historii. White wykrzykuje pozbawione znaczenia hasła, z których nie da się odtworzyć żadnej sensownej opowieści. A przecież to, co charakteryzowało wszystkie albumy jego zespołów, od The White Stripes po The Raconteurs czy The Dead Weather, to obok kapitalnych gitarowych riffów i prostego, surowego brzmienia, również kopalnia znakomitych pomysłów, a z każdą płytą można było przebierać w świetnych piosenkach. W solowej twórczości White'a próżno szukać chwytliwych dźwięków czy kompozycji, a jedyną siłą napędową tej muzyki zdaje się nieustanna potrzeba zmian, która okazuje się celem samym sobie. W efekcie mamy tu nadmiar wszystkiego. O ile eksperymenty z elektroniką męczyły już na poprzednich solowych wydawnictwach White'a, tak tutaj doprowadziły do sytuacji, że do większości najnowszych utworów nie chce się wracać.

„Fear of the dawn" to pierwsza z dwóch zapowiadanych w tym roku płyt Jacka White'a. Czy druga okaże się krokiem wstecz? Nie sądzę, choć nie tracę nadziei. ■

eprasa.pl d1d189da9f

Stefan Czerniecki
czerniecki.net

Tutaj umiera się po cichu

Takich miejsc jest pod Manilą coraz więcej. Bo i w nadrzecznym River Side, i w ulokowanym na wielkiej górze śmieci Quarry, i pod regularnie wybuchającym wulkanem Taal miasteczku Tagaytay. Wszędzie tam życie wygląda podobnie. Dalece odbiegając od wzorca, jaki my w swojej kulturze uznajemy za gwarantujący minimum godności. Problem w tym, że tutejsi mieszkańcy nie bardzo mają wyjście. Bo przecież tak już się nauczyli żyć. I to od maleńkości.

Niektórych mieszkańców Quarry stać nawet na to, aby utrzymać auto

Stojący w pobliżu dom nie ma ścian. Zbudowany jest z kilku swobodnie poukładanych blach. Przy wejściu ktoś postawił drewniany element od jakiejś zabudowy. Zupełnie niepasujący i kolorystycznie, i gabarytowo. To jednak nie jest w tej chwili ważne. Istotne, że dzięki tym imitacjom drzwi do środka nie wejdzie żadna z dzikich świń. Zaglądam do środka. Ciemno. Żadnej elektryczności. Wszelkie otwory, przez które mogłyby dostać się w to miejsce jasne promienie słońca, są w tej chwili szczelnie pozakrywane szmatami bądź materiałami. Pośrodku czegoś odgrywającego funkcję werandy stoi plastikowy stół. Przy nim popękane zielone krzesła. Też z plastiku. Kilka metrów dalej widać leżący na ziemi materac. Przesunięty nieco dalej, w narożnik skonstruowanych naprędce kartonowych ścianek. By zagwarantować leżącej na nim osobie choć minimum prywatności i dyskrecji.

– Właśnie w tym miejscu kilka dni temu umarła nastoletnia dziewczynka – tłumaczy mi siostra Salome, urszulanka, oprowadzająca mnie po tym specyficznym miasteczku.

– Co się stało?

– Chorowała. Bardzo ciężko.

– I nic się nie dało zrobić? Żadnego lekarza, szpitala?

– Panie Stefanie... – Siostra Salome zatrzymuje się na chwilę. – Zdecydowana większość tych ludzi w życiu nie widziała lekarza na oczy. Tutaj żyje się troszkę inaczej. A umiera... po cichu.

Na scenie

Adrian ma 13 lat. Jest pierwszym dzieckiem Fercivala i Anny. Rodzice mają dziś odpowiednio 39 i 28 lat. Prócz Adriana wychowują jeszcze dwójkę dzieci. Dziesięcioletnią Angelicę i pięcioletnią Angelinę. Dwójka starszego rodzeństwa chodzi już do szkoły. Angelina zostaje jeszcze z mamą w domu. Czasem opiekują się nią krewni. Zwłaszcza wówczas, gdy do miasteczka Quarry przyjeżdża kolejna śmieciarka. Mama biegnie wtedy pomagać tacie w pracy. Będą zbierać śmieci. Muszą się spieszyć. Bardzo ważne jest, gdzie się ustawią przy śmieciarce i kto pierwszy chwyci najcenniejsze z odpadków. Te nadające się do recyklingu znajdą kupca najszybciej. Dla mieszkających na wysypisku śmieci pod Manilą ludzi to być albo nie być. Z tego utrzymują cały swój dom. I całą rodzinę.

Adrian lubi śpiewać. Zwłaszcza gdy może to robić razem z siostrami. Stają wtedy przed stołem i udają zawodowych muzyków występujących na scenie. Przymykają oczy i zaczynają koncert. Najwięcej przyjemności mają wtedy, gdy oboje rodzice są akurat w domu. To ich najwierniejsza publika. Po każdej piosence rodzice biją im brawo. Adrian jest wtedy najszczęśliwszy.

Po szkole zwykle biegnie pomagać rodzicom w segregacji przyniesionych do domu śmieci. Nie jest to łatwe. Jeden worek odpadów potrafi ważyć kilkanaście kilogramów. A jeśli zdarzą się cięższe elementy z meta-

eprasa.pl d1d189da9f

Bieda wyzwala w tych dzieciach inspirację do wymyślania coraz nowszych form spędzania czasu i rozrywki

lu, nawet ponad dwadzieścia. Adrian jednak nie narzeka. Chce być jak tata. Chce pomagać w utrzymaniu domu. W końcu jest najstarszym z rodzeństwa.

Fercivala i Anna bardzo nie chcą, aby ich syn robił to samo co oni teraz. Woleliby, aby Adrian po szkole poszedł na studia. I żeby znalazł pracę. Taką, by kiedyś było go stać na opuszczenie ich rodzinnego Quarry. Miasteczka na wysypisku.

W oczekiwaniu na transport

Trzynastoletnia Thalia nie ma ojca. Mieszka na wysypisku śmieci razem z mamą i starszym o dwa lata bratem. Matka każdą wolną chwilę spędza podobnie jak pozostali mieszkańcy Quarry: szukając butelek, puszek i innych odpadków, które dałoby się później sprzedać lub poddać recyklingowi. Popołudnia spędzają zwykle razem. Siedząc przed poskładaną z wiórowych płyt imitacją domu. Oglądając, jak okoliczne dzieci ganiają za pozostawioną przez kogoś czarną oponą od ciężarówki. To jedna z ich ulubionych zabaw. Thalia i jej mama siedzą w milczeniu. Chłoną chwilę.

Do chaty Thalii prowadzi wąska dróżka. Po obu jej stronach widać rozpłaszczone, rozdeptane śmieci. Wałęsają się po nich kury i koguty. Niekiedy nad stertą śmieci trzeba przejść niczym nad przepaścią: po wąskiej, chyboczącej się desce. Czasem trzeba się zgiąć albo schylić głowę, bo właśnie przechodzi się przez imitację tutejszego tunelu utworzonego akurat przez jakieś rozciągnięte na linach chusty bądź szmaty.

Thalia nie zaprasza nas do środka domu. Trudno się jej dziwić. Dziewczynka po prostu się wstydzi. Woli porozmawiać na zewnątrz. Podobnie zresztą jak na zewnątrz odbywa się całe życie wioseczki Quarry. Tutaj toczą się sąsiedzkie rozmowy. Tutaj bawią się dzieci. Tutaj bystre oczy obserwują, czy na lokalnej drodze prowadzącej z Manili nie pojawiła się czasem kolejna śmieciarka wioząca odpady z miasta. Tak cenne dla tutejszych mieszkańców.

Nowe mamy

Dziesięcioletnia dziś Januarica straciła matkę, gdy nie miała jeszcze roku. Była najmłodszą pociechą rodziców, którzy wcześniej zdecydowali się jeszcze na ośmioro dzieci. Niestety po śmierci mamy cała ósemka opuściła owdowiałego ojca i poszła swoimi drogami w świat. Maleńka Januarica pozostała sama z ojcem. Z czasem wróciła do nich najstarsza z córek, Juvy. Wprowadziła się do swojego rodzinnego domu razem z partnerem i dziećmi. Niedługo po niej wróciła kolejna z sióstr oraz jeden z braci. Dziś mieszkają wszyscy pod jednym dachem swojej lepianki.

Ojciec pracuje jako dozorca. Dba o ziemię, na której mogą mieszkać. Dzięki temu nie musi płacić za dom.

eprasa.pl d1d189da9f

Siostra Salome zna to miejsce od podszewki

Właściciel terenu zdecydował się wynajmować go w zamian za wykonane prace. Juvy oraz jej partner pracują z kolei w fabryce drewna. Dziennie każde z nich zarabia około 370 php (równowartość około 30 zł). Całość musi wystarczyć na utrzymanie domu i zaspokojenie potrzeb 10 ludzi mieszkających pod jednym dachem. Nie widząc innej możliwości, biorą kolejne pożyczki.

Trudne dzieciństwo bardzo mocno wpłynęło na dzisiejszą postawę Januarici. Dziewczynka mało mówi i rzadko się uśmiecha. Pomna tego, że sama musi o siebie zadbać, często zamyka się w sobie i chadza zwykle własnymi ścieżkami. Tata od śmierci mamy nie może się pozbierać. Pozostałe rodzeństwo nie ma do najmłodszej siostry wystarczającej cierpliwości. Jedyne ciepłe uczucie, na jakie może liczyć w rodzinnym domu, okazuje jej starsza siostra Juvy.

Januarica uczęszcza do czwartej klasy pobliskiej publicznej szkoły podstawowej. Twierdzi, że lubi się uczyć. Choć zarazem zdradza, że chciałaby, aby od czasu do czasu ktoś był przy niej i pomógł jej odrobić lekcje. Zwłaszcza w trakcie pandemii, gdy nauka przeszła na tryb zdalny i nie wszystko z podręcznika było dla dziewczynki jasne.

Właśnie wtedy drugą rodziną dla Januarici stały się odwiedzające jej dom siostry urszulanki. Pomagały odrobić lekcje, przywoziły trochę żywności. Pobawiły się, spędziły wspólnie czas. Z czasem każdą z sióstr Januarica zaczęła nazywać swoją mamą. Młode dziewczyny nie kryły wzruszenia.

Obawa o dom

Dwunastoletnia Shairra jest jednym z pięciorga dzieci Ernesto i Sheryli. Jak na populację filipińskich rodzin para na dzieci zdecydowała się dość późno. Kobieta miała już 22 lata. Dziś cała siódemka mieszka w nie swoim domu. Zajęli lepiankę na ziemi prywatnego właściciela. Mieli z nim umowę, że mogą tu mieszkać w zamian za pomoc w utrzymaniu ziemi. Kilka lat temu właściciel jednak wrócił i zamieszkał na swojej działce. Trzeba było zmienić zasady. Od tej pory rodzina ma płacić właścicielowi za wynajmowane miejsce, na którym stoi ich blaszano-drewniana chatka. Mężczyzna chce 1000 php (równowartość około 80 zł) za miesiąc. Dla rodziny Amador to naprawdę dużo.

Ernesto pracuje jako elektryk. Jednak jego praca nie ma stałego charakteru. Dostaje zlecenia jedynie od czasu do czasu. Problem pojawił się zwłaszcza wówczas, gdy na Filipinach zaczęły obowiązywać bardzo rygorystyczne restrykcje związane z rozprzestrzenianiem się pandemii COVID-19. Wprowadzono godzinę policyjną. Ludziom zakazano opuszczania domów. Tylko jedna osoba na rodzinę dysponowała specjalną przepustką, by móc udać się do sklepu zrobić zakupy. Siłą rzeczy mężczyzna nie mógł opuszczać domu, aby zarobić na

eprasa.pl d1d189da9f

W samej Manili jest dziś ponad 2 mln dzieci żyjących poniżej granicy ubóstwa. Około 75 tys. dzieci zostało osieroconych, nie ma domu bądź z niego uciekła.

chleb. Wszelka działalność zawodowa musiała być zawieszona. Nie było za co żyć.

Wtedy pojawiły się siostry urszulanki. Wpierw znalazły rozwiązanie dla finansowania dalszej edukacji zdolnej Shairry. Rodziców nie było stać na utrzymanie szkoły. Urszulanki zarzuciły swoje wici w Polsce, prosząc o wsparcie dla swoich podopiecznych. Bardzo szybko odezwał się pan Zbyszek, mieszkaniec podwarszawskiego Milanówka. Zaoferował pomoc.

– Jak się okazało, był to początek czegoś większego – wspomina dziś pogodnie emeryt. – Wspólnie z siostrami urszulankami stworzyliśmy ideę adopcji serca. Polega ona na tym, że polska rodzina deklaruje się wspierać kwotą 100 złotych miesięcznie jedno, wybrane przez posługujące na Filipinach siostry dziecko. W ten sposób biedni rodzice mają fundusz na edukację dla swoich pociech.

W przypadku rodziny nastoletniej Shairry pomoc okazała się większa. Pan Zbyszek zaczął telefonować do swojej podopiecznej. Wpierw poznał jej rodzeństwo i rodziców, by finalnie dowiedzieć się o jej hobby i pasjach. Z czasem między polskim ojcem a adoptowaną sercem filipińską córką wytworzyła się relacja. To właśnie dzięki niej pan Zbyszek dowiedział się o problemach lokalowych rodziny. Wraz z żoną zdecydowali się wesprzeć swoją podopieczną i jej najbliższych. Dzięki tej decyzji Shairra nie musi się już obawiać, czy wynajmujący kawałek swojej ziemi właściciel nie każe z dnia na dzień opuścić ich domu.

▶ Wizyta w Quarry

Kierowca naszej półciężarówki, którą jedziemy na pobliskie wysypisko śmieci, pędzi, ile się da. Rzadko kiedy spuszczając nogę z gazu. I praktycznie w ogóle nie korzystając z hamulca. Koła pojazdu podskakują na nierównościach asfaltu. Raz na jakiś czas wpadamy w dziurę. Trzęsie niemiłosiernie. Trzeba też uważać na głowę. Wolniej jechać raczej już nie będziemy. Na filipińskich ulicach to drogowe faux pas.

Nasza ciężarówka skręca w lewo. Porzucamy za sobą jako tako cywilizowaną drogę na rzecz podrzędnej drogi gruntowej. Wkoło nas zaniedbane grunty orne. Porośnięte gdzieniegdzie wysoką trawą. Przy drodze leży mnóstwo śmieci. Im bliżej celu, tym ich więcej. Kierowca zwalnia. Wreszcie! Narastające nudności powoli ustają. Marzę o wyjściu na świeże powietrze.

Rozległy piaszczysty plac. Wokoło kilkadziesiąt domów. Chat pozlepianych z kawałków blachy, czasem desek. W naszą stronę biegną półnagie, umorusane dzieci. Machają rękami. Śmieją się. Za nimi nieco zawstydzeni ich dorośli opiekunowie. Także z przyjaznym wzrokiem. Bez oznak wrogości. Nie mają zresztą powodów. Przyjechaliśmy z siostrami urszulankami. Ich dobrodziejkami. Ich ziemskimi aniołami.

eprasa.pl d1d189da9f

Nie, to nie one są winne tego, że ich domem jest dziś wysypisko śmieci pod Manilą

W jednej izbie mieszka tu często nawet po kilkanaście osób

Polskie królestwo

Oto dzisiejsze Quarry. Oficjalnie znane pod nazwą St. Martin de Porres. Filipińskie miasteczko na wysypisku śmieci. Kiedyś był tu rozległy kamieniołom. Wydobywano z niego głównie piasek i kamienie. Raz na jakiś czas trafił się jakiś minerał. Dziś to już tylko wielka góra śmieci. Żywe wysypisko, na które zwożone są kolejne odpadki z zamieszkanej przez 24 mln ludzi aglomeracji Manili. Miasta, które rośnie z każdym dniem. Głównie wskutek przybywających na wyspę Luzon emigrantów z innych wysp Filipin. Szukających pracy, szukających lepszej przyszłości.

Dziś część z nich mieszka właśnie tutaj. To w większości analfabeci. Ludzie bez wykształcenia. Pierwsi osadnicy Quarry przybyli w to miejsce z wysp Mindanao oraz Visayas. Liczyli, że opuszczając swoje rolnicze ziemie, znajdą w okolicach Manili coś lepszego. Nie znaleźli. Trafili tutaj. Żyjąc dziś ze zbierania i segregacji odpadków.

W 2011 roku na wysypisku zamieszkało w sumie 50 rodzin. Dziś jest ich 34. Żyją w atrapach domów, na pokrytej odpadkami ściółce śmieci. Tu nie ma normalnej ziemi. Wszędzie leżą odpadki przywiezione śmieciarkami z miasta. W powietrzu czuć fetor. Mieszkańcy zdążyli się już przyzwyczaić. Dzieci wybudowały sobie nawet małe boisko do koszykówki. Jedna rodzina sprowadziła do siebie dzikie świnie. Taplają się w błocie obok rozwieszonych ubrań.

Siostry urszulanki odwiedzają tych ludzi co tydzień. Przywożą im jedzenie, czasem ubrania. Wszystko to kupują za pieniądze otrzymane od darczyńców z bogatej Europy czy Ameryki. Tam też siostry szukają chętnych do podjęcia wspomnianej wcześniej adopcji serca dla swoich podopiecznych. Okazuje się, że pomimo pandemii i związanego z nią kryzysu gospodarczego chętnych jest coraz więcej. Ludzie chcą się dzielić.

Lepsze śmieci niż ryż

– Szukałam w Polsce jakiejś grupy ludzi, najlepiej mężczyzn, która najbardziej skutecznie mogłaby pomóc naszym filipińskim siostrom w ich posłudze dla najbiedniejszych mieszkańców tutejszych slumsów – wspomina siostra Ewa, Polka organizująca od lat finansowe zaplecze dla urszulińskich programów pomocowych i humanitarnych. – Trafiłam wówczas na pana Zbyszka i Zakon Rycerzy Jana Pawła II. W ciągu kilku miesięcy panowie z tego bractwa zorganizowali się i zaadoptowali w sumie 823 dzieci. Namówili także swoich znajomych i parafian. W sumie dzieci objętych programem adopcji serca przez braci rycerzy i ich znajomych jest już 1247. Najwięcej z Filipin. Ale także z Wysp Zielonego Przylądka, z Wybrzeża Kości Słoniowej, z Ugandy, Kongo, Kamerunu czy Rwandy.

eprasa.pl d1d189da9f

W odróżnieniu od brazylijskich czy wenezuelskich faweli, w filipińskim Quarry z sympatią patrzą na obcych odwiedzających to miejsce

Jeśli chodzi o Filipiny, nad uruchomioną pomocą finansową czuwają na miejscu urszulanki z klasztoru w Tagaytay. – To niezwykle cenna inicjatywa. Wsparcie, bez którego nie mogłybyśmy tym dzieciom pomóc – potwierdza siostra Salome, przełożona tutejszego domu zakonnego. – Te dzieci naprawdę na to zasługują. Pomimo tragicznej sytuacji, one nadal się śmieją. Nadal chcą się bawić. Z tą różnicą, że w Quarry zamiast bawić się na bezpiecznych placach zabaw, bawią się przed domami swoimi zepsutymi, brudnymi lalkami, zardzewiałymi rowerami, a czasem po prostu śmieciowym błotem.

Gdy pod wieczór pytam siostrę Salome o motywację tych ludzi do pozostania w swoim improwizowanym miasteczku na górze śmieci, odpowiada mi, że najczęściej jest to problem niechęci powrotu do własnej ziemi, którą się zostawiło. Zostawiło, mając nadzieję na lepsze życie gdzie indziej. Okazuje się, że niejednokrotnie ludziom tym proponowano już inną lokalizację. Czasem oferowano pomoc w powrocie na ich rodzinne wyspy. W większości przypadków propozycje te spotykały się jednak z odmową. Ludzie ci żyją w przeświadczeniu, że lepiej jest zbierać śmieci pod Manilą niż uprawiać ryż na rodzinnych poletkach wyspy Mindanao. Bo biednie będzie im i tu, i tu. A tak, żyjąc w cieniu stolicy, mają przynajmniej jakiekolwiek perspektywy zmiany na lepsze. A przynajmniej sami w takowe perspektywy chcieliby wierzyć. I to pomimo tego, że rzeczywistość zdaje się przeczyć takiemu rozumowaniu.

▶ Uśmiech i nadzieja

Słońce nad Quarry powoli chyli się ku zachodowi. Na tyłach tutejszych lepiankowych zabudowań dzieci zbudowały sobie boisko do koszykówki. Czterech młodzieńców właśnie ćwiczy wsady do kosza. Podchodzę bliżej, aby zrobić im zdjęcie. „Sir, ale ty duży jesteś..." – krzyczą, podając mi piłkę. Kilka kozłów. Zgięte kolana. Wyskok. Wreszcie rzucam do kosza i ja. Na szczęście trafiam. Przynajmniej wstydu nie będzie, że „big man" z Polski ma tylko wzrost.

– Przyjeżdżamy tutaj przede wszystkim dla tych najmłodszych – wyjaśnia siostra Salome, rozdając ustawionym w kolejce dzieciom słodycze oraz bułki. – To nie ich wina, że urodziły się w takim, a nie innym miejscu. Dajemy im tyle, ile możemy.

A dzięki kilku dobrym sercom z Polski siostry mogą wciąż wiele. Przez co te młode dziewczęta w szarych habitach z Tagaytay nadal przybywają na wysypisko. Co tydzień dzieląc się tym, co otrzymały od innych. I właśnie wtedy mówią mieszkańcom Quarry o Bogu. Ci ponoć słuchają. Chcą bowiem jak najdłużej przybywać z siostrami. Dla nich to filipińskie heroski. Dla mnie zresztą też. ■

eprasa.pl d1d189da9f

Peng Ming-min

David Kilgour

Hanna Shen

Bohaterowie wolności

David Kilgour i Peng Ming-min – urodzeni i wychowani w innych kulturach. Żyjący na dwóch różnych kontynentach. Łączyło ich umiłowanie wolności i swobód obywatelskich. Upominali się o prawo do nich także dla Azjatów. Byli przyjaciółmi Polski. Obaj zmarli w kwietniu bieżącego roku.

eprasa.pl d1d189da9f

5 kwietnia bieżącego roku zmarł David Kilgour, były minister w rządzie Kanady, członek Parlamentu przez wiele lat i światowej sławy obrońca praw człowieka.

Urodzony w 1941 roku w Winnipeg, był z wykształcenia prawnikiem. Po raz pierwszy został wybrany do Izby Gmin z ramienia Postępowych Konserwatystów jako przedstawiciel dystryktu Edmonton-Strathcona w 1979 roku. W 1990 roku w wyniku sprzeciwu wobec wprowadzenia podatku od towarów i usług przez ówczesnego premiera Briana Mulroneya został usunięty ze swojej frakcji politycznej. Wstąpił do Partii Liberalnej, gdzie w rządzie Jeana Chrétiena służył jako sekretarz stanu ds. Ameryki Łacińskiej i Afryki, a następnie jako sekretarz stanu ds. Azji i Pacyfiku. W 2005 roku jednak opuścił tę partię w wyniku nieporozumień co do panujących w niej zasad i został posłem niezależnym. W 2006 roku przestał ubiegać się o mandat poselski i wycofał się z polityki, lecz nadal aktywnie działał na rzecz wielu innych kwestii związanych z prawami człowieka.

Nie kłaniał się zbrodniczym reżimom

Susan Korah w amerykańskiej gazecie „Catholic Register" przypomniała, co ten kanadyjski polityk powiedział w czasie jednego z dorocznych Parlamentarnych Śniadań Modlitewnych: „Chrześcijanie kochają Boga starając się przestrzegać Jego przykazań, Boża miłość jest skierowana do ludzi, a ludzie, którzy mają Bożą miłość, są oddani miłowaniu także innych ludzi". Kierując się tą Bożą miłością, która objawia się także miłowaniem bliźnich, David Kilgour był niestrudzonym wojownikiem o prawa prześladowanych przez Komunistyczną Partię Chin (KPCh), m.in. praktykujących Falun Gong, Tybetańczyków i Ujgurów. Gdyby nie poświęcenie i praca jego oraz innego kanadyjskiego prawnika, Davida Matasa, nie poznalibyśmy rozmiaru zbrodni, jakiej dopuszcza się KPCh, prowadząca w Chinach proceder grabieży organów od żywych więźniów sumienia. W 2006 roku Kilgour i Matas opublikowali raport pt. „Krwawe żniwo", gdzie przedstawili, jak działa ten haniebny proceder w Państwie Środka. 10 lat później obaj mężczyźni we współpracy z Ethanem Gutmannem, amerykańskim dziennikarzem śledczym i autorem książki pt. „Rzeź – masowe morderstwa, nielegalne pobieranie organów a sekretne rozwiązanie problemu dysydentów w Chinach", przygotowali drugą część raportu pt. „Krwawe żniwo. Rzeź".

Obie publikacje pokazały, że komunistyczne władze Chin fałszują oficjalne dane dotyczące transplantacji dokonywanych w Państwie Środka w ciągu roku i szpitali, które mogą ich dokonywać. Te nieprawdziwe statystyki rządowe mają ukryć fakt, że na potrzeby większości zabiegów narządy pobiera się od więźniów. A na całym procederze zarabiają partyjni aparatczycy, szpitale i lekarze. A klienci są na całym świecie. Narządy skazanych dysydentów są sprzedawane tzw. turystom – oczekującym na przeszczepy chorym z innych państw Azji, USA i Europy, a także bogatym obywatelom ChRL. Pobrane w prawidłowy sposób organy mogą przynieść zysk w granicach 200–300 tys. dolarów od każdej ofiary. Z tych pieniędzy władza KPCh finansuje m.in. chiński przemysł wojskowy.

Kilgour często przypominał, że jego raport był nie tylko zakazany w Chinach, lecz także w Rosji. Moskwa uważa bowiem, że zawarte w nim treści mogą zaszkodzić jej najbliższemu partnerowi, Pekinowi. David Kilgour dobrze rozumiał, jakie zagrożenie dla świata stanowi chiński reżim i władza Putina. We wrześniu 2014 roku wziął udział w manifestacji w Ottawie, zorganizowanej m.in. przez tamtejszy klub „Gazety Polskiej", w celach uświadomienia Kanadyjczykom, jak wielkim zagrożeniem jest Rosja, i pokazania, że Ukraina nie jest pierwszą ofiarą rosyjskiego ucisku i nie będzie ostatnią. Na wiecu, w którym brał udział także redaktor naczelny „Gazety Polskiej" Tomasz Sakiewicz, banery przypominały o pięciu przykładach aktów rosyjskiego terroryzmu: inwazji Gruzji w 2008 roku, zamachu smoleńskim w 2010 roku, aneksja Krymu i wojnie na Ukrainie w 2014 roku oraz zestrzeleniu samolotu malezyjskich linii lotniczych MH17 w 2014 roku.

W trakcie demonstracji Kilgour powiedział, że „jeśli Ukraina stanie się Nową Rosją, a Zachód upadnie, to nie z powodu fizycznej siły Rosji, ale z powodu naszej psychicznej słabości".

Na miesiąc przed śmiercią w artykule na łamach „Toronto Sun" napisał: „Podobnie jak Stalin, Putin zdaje sobie sprawę, że decyzja o masowych egzekucjach lub agresji na wielką skalę przeciwko suwerennemu państwu jest poważną zbrodnią, nieulegającą przedawnieniu. Współczesny świat ścigał już takich zbrodniarzy wojennych, jak Saddam Husajn, Muammar Kaddafi i Slobodan Milošević. Następny może być Władimir Putin".

Bojownik o niepodległy Tajwan

Życie zmarłego 8 kwietnia bieżącego roku prof. Peng Ming-mina to kawał historii Tajwanu, a on sam nazywany jest „ojcem demokracji i niepodległości" wyspy. Lektura jego autobiografii pt. „Smak wolności" to obowiązek dla każdego zainteresowanego Dalekim Wschodem.

Urodzony na Tajwanie w 1923 roku Peng, był absolwentem kanadyjskiej uczelni McGill i doktorantem prawa Uniwersytetu Paryskiego i jest uważany za jed-

FOT. ANDY RAIN/PAP/EPA, WIKIPEDIA

eprasa.pl d1d189da9f

nego z pionierów w dziedzinie międzynarodowego prawa lotniczego. W 1964 roku, będąc u szczytu kariery wykładowcy (w wieku 34 lat, jako najmłodszy na Tajwanie, otrzymał tytuł profesorski) prestiżowego Uniwersytetu Tajwańskiego, wraz z grupą studentów wydał „Manifest dotyczący ocalenia Tajwanu". Dokument ten nawoływał rząd Kuomintangu do zaakceptowania faktu, iż niemożliwe jest odrodzenie się Chin (Republiki Chińskiej) w dawnych granicach i dlatego Tajwan powinien budować własne państwo w oparciu o nową konstytucję (a nie tę napisaną jeszcze w Chinach przez władze pokonanego przez komunistów i wygnanego z Chin rządu Chiang Kai-sheka); konstytucja ta powinna gwarantować Tajwańczykom podstawowe prawa człowieka i rozwój demokracji (w chwili pisania manifestu na Tajwanie obowiązywał stan wojenny). Manifest mówił także, iż Tajwan powinien występować w ONZ jako państwo Tajwan, a nie jako Chiny. Rządzący na Tajwanie Kuomintang zareagował bardzo ostro na ten dokument. Profesor Peng został aresztowany i skazany przez sąd wojskowy na 8 lat więzienia. W wyniku nacisków Amnesty International, Johna K. Fairban'a i Henry'ego Kissingera, Chiang Kai-shek zmienił areszt wojskowy na areszt domowy, ale przy tym 8 lat na dożywocie. W 1970 prof. Peng w brawurowy sposób dzięki pomocy przyjaciół z Japonii i USA uciekł z Tajwanu do Szwecji, gdzie otrzymał azyl polityczny.

W Szwecji Peng dostał pozwolenie na wjazd do USA pod warunkiem, iż obieca, „że nie będzie mówić o strasznym słowie zaczynającym się na »n« – niepodległość" Tajwanu. Dlaczego był to temat niewygodny dla ówczesnej administracji USA? Sekretarzem Stanu USA był wtedy Henry Kissinger, który przygotowywał grunt pod wizytę ówczesnego prezydenta USA Richarda Nixona w Chinach. Kissinger nie chciał, aby temat niepodległości Tajwanu, nieakceptowalny przez Pekin, pokrzyżował jego plany.

Peng był jednak aktywny w Stanach Zjednoczonych. Wydał swoją autobiografię pt. „Smak wolności" i wykładał na uczelniach m.in. Harvard, Berkeley i Stanford. W 1981 roku prof. Peng był jednym z założycieli bardzo w tej chwili prężnie działającej organizacji lobbystycznej na rzecz Tajwanu, Formosan Association for Public Affair (FAPA). W wyniku amnestii ogłoszonej przez ówczesnego prezydenta Tajwanu, Lee Teng-huia, w 1992 roku Peng Ming-min mógł powrócić do kraju. Tu założył m.in. Fundację na rzecz Kultury i Edukacji, której zadaniem jest rozwój tożsamości tajwańskiej wśród mieszkańców wyspy. Profesor Peng był doradcą prezydenta Tajwanu Chen Shui-biana (2000–2008).

Peng Ming-min uważał, że o losie Tajwanu muszą decydować Tajwańczycy, a nie komunistyczne Chiny. „Chciałem, aby Chińczycy zrozumieli, że można być dumnym ze swojego chińskiego dziedzictwa etnicznego i kulturowego i nadal pragnąć być politycznie i prawnie oddzielonym od Chin" – napisał w „Smaku wolności".

Był pełen uznania dla Polski

Okazuje się, że za prof. Pengiem nie przepadali nie tylko chińscy komuniści, lecz także polscy, o czym tajwański bohater przekonał się w 2005 roku (końcówka rządów SLD). Wtedy to Polska Akademia Nauk wystosowała zaproszenie dla delegacji tajwańskich naukowców, w tym także dla prof. Penga. Zaproszenie jasno stwierdzało, że prof. Peng weźmie udział w seminarium dotyczącym rozwoju praw człowieka w Azji, a także będzie mówił o stosunkach chińsko-tajwańskich. PAN podkreślił także, iż w trakcie wizyty omówione zostaną szczegóły współpracy pomiędzy stroną tajwańską a jednym z Instytutów PAN-u. Po otrzymaniu zaproszenia prof. Peng złożył wniosek o wizę w przedstawicielstwie polskim na Tajwanie, Warszawskim Biurze Handlowym (WBH). Po kilku dniach otrzymał informację, iż jego wniosek o wizę został odrzucony. Na pytanie, dlaczego WBH odrzuciło podanie prof. Penga o wizę, dyrektor biura Wsiewołod Strażewski zapewnił, iż decyzja „nie zrodziła się pochopnie" i była konsekwencją „przestrzegania europejskich kryteriów dotyczących przyjmowania działaczy rządowych Tajwanu".

Europejskie kryteria musieli jednak zupełnie inaczej rozumieć Czesi, którzy wizę Peng Ming-minowi dali. Dodatkowo Czesi chcąc podkreślić uznanie, jakim w ich kraju cieszy się prof. Peng, zwolnili go z opłat wizowych.

Polskie MSZ było wtedy nadal komunistyczną stajnią Augiasza – polskim przedstawicielem na wyspie był Wsiewołod Strażewski, syn generała Strażewskiego, który na czele Ludowego Wojska Polskiego, w służbie Sowietów i dla Sowietów tłumił powstanie poznańskie w 1956 roku, a szefem MSZ Adam Rotfeld, który w 1956 roku był jednym z organizatorów komórki komunistycznej w Szkole Głównej Służby Zagranicznej aż do ukonstytuowania się ZMS, którego był członkiem. W okresie PRL Rotfeld był zarejestrowany jako kontakt operacyjny wywiadu PRL o pseudonimach „Rot", „Ralf", „Rauf", „Serb".

Mimo jednak tak nieprzyjemnego doświadczenia z ówczesną dyplomacją RP, prof. Peng nie zmienił swojego zdania o naszym kraju. Podziwiał odwagę i bohaterstwo Polaków i jak mi powiedział: „Polska to dla nas, Tajwańczyków, kraj, który jak żadne inne państwo zapłacił dużą cenę za wolność, który tak pięknie stawał w obronie niepodległości innych („Za wolność waszą i naszą"). ■

eprasa.pl d1d189da9f

ORLEN FUNDACJA

CLUB VITAY

ZAMIEŃ PUNKTY NA POMOC

Za każde **1000 punktów** VITAY przekazane przez użytkowników Programu VITAY, Fundacja ORLEN przeznaczy **5 zł** na pomoc Ukrainie, a za każde **5000 punktów** – **25 zł**.
Wymiany punktów można dokonać na stronie vitay.pl w zakładce Fundacja ORLEN.
Punkty można przekazywać wielokrotnie.

Zebrane środki trafią do Fundacji ORLEN i zostaną przeznaczone na wsparcie dla mieszkańców Ukrainy.

eprasa.pl d1d189da9f

Olga Doleśniak-Harczuk

Antoni Opaliński (PR24)

Księżniczka, wybory i uśmiech apostoła

eprasa.pl d1d189da9f

4

W budapesztańskiej hali sportowej BOK Węgrzy rozlokowali ukraińskich uchodźców. Docieramy tu w czasie szczególnym. Za ścianą odbywają się właśnie Mistrzostwa Europy w Zapasach. Zapaśnicy życia pod jednym dachem z zapaśnikami maty. W hali jak na dworcu – jedni wyjeżdżają, inni czekają, tobołki, prowizoryczny kantor i kącik modlitewny – surowe warunki w trudnych czasach, ale wszyscy nakarmieni i bezpieczni. I tylko szelest cekinowych spódnic kobiet z romskiej społeczności Gaborów wprowadza element lekkiego surrealizmu i dekadenckiego luksusu.

FOT. OLGA DOLEŚNIAK-HARCZUK

Gaborowie to romska elita, ich kobiety noszą bajecznie kolorowe, wręcz wieczorowe stroje. Podchodzimy do sympatycznej rodziny, ojciec w kapeluszu, matka niczym księżniczka rzucona w wir alternatywnego świata, w hali zostają do jutra, a potem Berlin. Na granicy już nie ma tłumów, tu też spokojniej. 600 tysięcy przyjęliśmy – mówią nasi rozmówcy. To dużo na tak mały kraj – podkreślają. Idziemy dalej. Za chwilę Victor Orbán znowu wygra, w hali targowej Nagycsarnok turyści poza salami zakupią Barbie w węgierskim stroju ludowym, a restauratorzy ze znudzoną miną przyniosą kolejną porcję gulaszu. Węgry.

Uśmiechnij się do świętych

Szybki rekonesans. Na przejściu granicznym Łużanka–Beregsurány już nie ma uchodźców, został kącik z zabawkami. Stąd Ukraińcy jechali dalej, niektórzy przeczekali kilka dni w centrum migracyjnym nieopodal. W budynku byłej szkoły i urzędu przygotowano kilkaset miejsc noclegowych, pomocy udzielali wolontariusze Zakonu Maltańskiego i Caritasu. Towarzystwo międzynarodowe, jowialny Francuz robi kanapki, pojawia się i burmistrz. Szybka rozmowa i ruszamy w dalszą drogę. Po drodze przystanek w Csaroda, wiosce z romańskim kościółkiem z XIII wieku, dawniej świątyni katolickiej, dziś kalwińskiej. Słupek światła sączący się do wnętrza zabiera myśli kilka wieków wstecz, a widok roześmianych twarzy apostołów, bohaterów świątynnych fresków wlewa w serce jakąś dziwną radość. Dobre miejsce. Po prostu.

I po wyborach

Może powiedzmy to od razu – sukces wyborczy koalicji Fideszu z chadekami i osobiście samego Victora Orbána jest niewątpliwy. 54 proc. głosów, piąte w ogóle i czwarte z rzędu zwycięstwo i większość konstytucyjna. Odkładając na bok niemądre opowieści o „braku demokracji" nad Dunajem i jednocześnie uwzględniając wszelkie możliwe zarzuty pod adresem stylu i charakteru rządów

1. Plakat wyborczy partii Pies o dwóch ogonach. Trochę parodii w polityce węgierskiej
2. Hala BOK. Przejściowe schronienie dla uchodźców z Ukrainy
3. Csaroda. Wnętrze romańskiego kościółka
4. Uśmiechnięci święci
5. Hala targowa Nagycsarnok, sen koneserów kuchni węgierskie,j i nie tylko
6. Z okien węgierskiego parlamentu świat wygląda inaczej

eprasa.pl d1_d189da9f

węgierskiej prawicy, specyfiki pejzażu medialnego czy związków państwa z biznesem – trzeba powiedzieć, że w obliczu wojny i kryzysu globalnego ładu, Węgrzy po prostu wybrali sprawdzonego lidera. Opozycja poszła do wyborów zjednoczona według próbowanego również w Polsce modelu „wszyscy razem przeciw rządzącym w obronie demokracji". Model ten doprowadzono do skrajności, bo przeciw Orbánowi zjednoczyli się politycy z wszelkich możliwych orientacji od mocno już podstarzałych byłych skinheadów i rasistów z Jobbiku (to od nich był ten pan w skórze, z którym fotografował się Donald Tusk) po zażarcie broniących dziś demokracji postkomunistów – ich lider, były premier Ferenc Gyurcsany, na zawsze już chyba pozostanie tym, który nie posłuchał rady Bismarcka, zdradził Węgrom skład „politycznej kiełbasy", a jego słowa o kłamstwie „rano, wieczorem i w nocy" przeszły do historii. Egzotyczną, przyznajmy, koalicję uzupełniła cała paleta partii – ekologowie, „fajni, młodzi" z ruchów miejskich i inni. W dodatku opozycja chciała być sprytna i zorganizowała prawybory. Wygrał je burmistrz miasta Hódmezővásárhely, Péter Márki-Zay. Konserwatywny, młodszy o dekadę od premiera, ojciec wielodzietnej rodziny. Miał być takim świeższym, lepszym i bardziej europejskim Orbánem. Rzecz w tym, że mimo medialnych zabiegów pozostał właśnie burmistrzem, sympatycznym, choć budzącym zdziwienie niektórymi wypowiedziami. Na pewno nierównorzędnym rywalem dla jednego z najbardziej wytrawnych i doświadczonych politycznych graczy współczesnej Europy. I jakkolwiek węgierska ordynacja wyborcza premiuje duże bloki, to poza liberalnym Budapesztem wyborcy odrzucili propozycję koalicji wszystkich ze wszystkimi z fajnym burmistrzem na czele. Nic dziwnego, że w pierwszym powyborczym wystąpieniu Victor Orbán mógł kpić, iż zjednoczona opozycja była najgorszą inwestycją „wujka Gyuriego" (chodzi naturalnie o George'a Sorosa).

Tyle że w swoim przemówieniu po zwycięstwie premier wśród wrogów, z którymi wygrał, obok Sorosa, „międzynarodowej lewicy" i eurokratów z Brukseli wymienił również prezydenta Ukrainy. Można dyskutować, czy krytykujące Orbána wypowiedzi Zełenskiego i kontakty kierownictwa ukraińskiego z opozycją stanowiły ingerencję w wewnętrzne sprawy Węgier. Sądząc po wypowiedziach szefa węgierskiej dyplomacji Pétera Szijjártó, nasi węgierscy przyjaciele tak to właśnie odebrali. Można to zrozumieć, tak jak i fakt, że Węgrzy na wojnę na Ukrainie patrzą z punktu widzenia węgierskiej mniejszości zamieszkującej Ruś Zakarpacką. A nad relacjami z Ukrainą ciąży kwestia praw tejże mniejszości w sprawach szkolnictwa. Tylko że dla Polski to już jest „nasza wojna", a nie konflikt przebiegający obok.

Nic dziwnego, że w pierwszym powyborczym wystąpieniu Victor Orbán mógł kpić, iż zjednoczona opozycja była najgorszą inwestycją „wujka Gyuriego" (chodzi naturalnie o George'a Sorosa).

Po Buczy trudno

Węgierskie wybory zbiegły się akurat z ujawnianiem rosyjskich zbrodni w Buczy i innych miejscowościach... Naprawdę prezydent kraju walczącego o fizyczne przetrwanie zasługuje na zestawienie z międzynarodowym spekulantem i promotorem świata bez granic? Kiedy czołowy polityk Fideszu, przewodniczący parlamentu Laszlo Kover mówi polskim dziennikarzom, że Rosja jest niezbędnym elementem porządku międzynarodowego, kiedy posługujący się doskonałą angielszczyzną eksperci węgierskich think tanków pytają: czego wy, Polacy, właściwie chcecie, przecież my też przyjmujemy uchodźców z Ukrainy, chyba nie oczekujecie, żebyśmy szli na wojnę z Rosją? – nawet bardzo zakochany w Węgrzech i zauroczony ich imponującą stolicą przybysz z Polski zaczyna się zastanawiać. Czy wobec rozpoczętej właśnie walki o kształt świata i o prawo narodów „młodszej Europy" do niepodległego życia bratankowie są razem z nami? Czy może trzeba im wybaczyć to skupienie tylko na własnych sprawach i pozwolić na pozostanie w dolinie? A może świat i polityka z okien węgierskiego parlamentu wyglądają po prostu inaczej niż byśmy sobie tego życzyli, i czas się z tym pogodzić. Po Buczy trudno. ■

eprasa.pl d1d189da9f

Ryszard Czarnecki

Bucza, Irpień, Kijów. Dziennik podróży

W Strasburgu decyzja o wyjeździe zapadła z dnia na dzień. Pragnęliśmy wyruszyć tydzień wcześniej, lecz przewodnicząca europarlamentu Roberta Metsola chciała być pierwsza przed wszystkimi. Mamy zakaz informowania o tym wyjeździe dziennikarzy i w mediach społecznościowych. Embargo ma obejmować zarówno czas i trasę podróży, jak i to, z kim i gdzie się spotykamy. Możemy o tym poinformować dopiero dwie godziny po spotkaniu. Mamy też wyłączyć geolokalizację w telefonach komórkowych. Moja rozpiska: Strasburg–Frankfurt: samochód, Frankfurt–Warszawa: samolot, ze stolicy do Rzeszowa: samolot, Rzeszów–Przemyśl: autokar. A potem najbardziej znany dziś szlak komunikacyjny do Kijowa: nocny pociąg. W pociągu czekamy 2 godziny na von der Leyen i Borrella. W końcu są wraz z ochroniarzami ze Słowacji (nie mają bariery językowej z Ukraińcami?). Podróż trwa około 12 godzin. Wysiadamy dla bezpieczeństwa nie na dworcu głównym, tylko wcześniej. Kijów w piątkowe wczesne popołudnie sprawia początkowo wrażenie opustoszałego. Jedziemy niczym w slalomie-gigancie, ale jakby w „slow motion": od barykady do barykady. Kolczatki, worki z piaskiem – te ostatnie także przy niektórych budynkach. Werchowna Rada – tak dobrze mi znany ichni „Sejm" – przypomina warowną twierdzę z zakrytymi deskami oknami, z mnóstwem worków z piaskiem i specjalną siatką nad drzwiami wejściowymi, która ma amortyzować pociski artyleryjskie.

Ukraiński „marszałek" Werchownej Rady, blisko dwumetrowy olbrzym Rusłan Stefańczuk, dziękuje za „europejską solidarność". Tak odbiera naszą misję. Prosi o broń dla ukraińskiej armii... Ale przekonuje przekonanych. Do tego trzeba namawiać Scholza czy Macrona. Tyle że obaj ani myślą przyjechać do Kijowa. Merkel wybrała Toskanię.

Wyruszamy do Irpienia. Odległość około 50 kilometrów pokonujemy w półtorej (!) godziny. Już w Przemyślu dostajemy kamizelki kuloodporne i hełmy – to wymóg, żeby móc jechać. Na miejscu okaże się, że znacznie groźniejsze są miny. Dostajemy polecenie: mamy się poruszać zwarta grupą, nikt nie może odchodzić. Gdy jeden z kolegów odłącza się od grupy na kilkanaście metrów, aby zrobić zdjęcia, nasz przewodnik wpada w histerię. Gospodarze mają rację. Miny są wszędzie. Przy trupach, na drogach, chodnikach, podwórkach, w opustoszałych mieszkaniach, jedną znaleziono nawet w lodówce. To realne niebezpieczeństwo obok nocnych ostrzałów artyleryjskich.

Irpień. Zawalony most. Na tym, co z niego zostało, doszczętnie spalone samochody. Na ulicach sami wojskowi, policjanci i ludzie z SBU (ukraińska bezpieka). Jedziemy do dzielnicy mieszkaniowej. Jest jak wymarła. Cisza przytłacza. Nie słyszę żadnego ludzkiego głosu, szczekania psa, radia czy TV. Wysokie bloki, wypalone w górnych kondygnacjach. W żadnym nie ma choćby jednej szyby. Przypominają mi się amerykańskie filmy o „życiu bez życia" – po wybuchu bomby atomowej. Naprzeciwko bloków domki. Porozrzucane zabawki na podwórzu. Na ulicy pies obwąchujący każdego człowieka, każdy samochód, każdy metr trotuaru z rozpaczliwą nadzieją, że w końcu znajdzie swojego pana. A tego nie ma, bo albo Rosjanie go zabili, albo uciekł.

Jedziemy dalej. Bucza. Trudno przejechać drogą, na której stoi pół kolumny doszczętnie spalonych czołgów. Na miejscu spotykam polskich dziennikarzy z Poland World i TVP Info. Księżycowy krajobraz. Jedziemy do cerkwi św. Andrzeja, na terenie której zwieziono – w celu badan i identyfikacji – zwłoki torturowanych i zamordowanych. Tego dnia zdążono z osiemnastoma, potem zaczęło lać i badania stały się niemożliwe. Przewodnik mówi, tłumacz przekłada na angielski dla kolegów z Zachodu. Według miejscowych zginęło tu około 500 ludzi, w tym jedna dziesiąta to dzieci. Oficjalne dane są inne. Ukraińska Ombudsman Ludmiła Denysowa podaje 360 zabitych, w tym 10 dzieci.

Bucza była pierwszym czy jednym z dwóch pierwszych miast na Ukrainie, które jednej z ulic nadało imię prezydenta Lecha Kaczyńskiego. W Polsce mało kto o tym wie. Tak jak i o tym, że mieszka tu sporo ludzi przyznających się do polskich korzeni.

Reprezentowałem europarlament podczas dziesiątek wizyt na pięciu kontynentach, ale tej misji nie zapomnę nigdy. ■

eprasa.pl d1d189da9f

Olga Doleśniak-Harczuk

Portret upadłej cesarzowej

Cesarzowa, Matka, Liderka, Sfinks, Dziewczynka Kohla – Angela Merkel miała wiele wcieleń. Wojna na Ukrainie dla niemieckich elit politycznych była i jest pewnego rodzaju „sprawdzam". Ten test nie ominął też byłej kanclerz Niemiec. I co się okazało? Że cesarzowa jest nagusieńka. Bankructwo niemieckiej Ostpolitik z jednej strony i bankructwo szesnastu lat rządów Angeli Merkel – z drugiej. A teraz jeszcze wystawa portretów tej, która z tym swoim stoickim spokojem ugruntowała rosyjską pozycję na europejskich salonach. Nie, nie ona jedna, to prawda. Ale ona była kluczowa. Muzealny hołd składany Merkel, teraz w kolejnym miesiącu wojny, ma w sobie coś z kpiny.

eprasa.pl d1d189da9f

Jeżeli wszystko poszło zgodnie z zamierzeniem niemieckiego Muzeum Historycznego w Berlinie, 29 kwietnia zainaugurowano w gmachu przy Unter den Linden wystawę portretów Angeli Merkel. Tak to wydarzenie reklamowano już po rozpoczęciu rosyjskiej inwazji na Ukrainę:

Kiedy jesienią 2021 roku dobiegła końca kadencja kanclerz Angeli Merkel, kresu dobiegł również wyjątkowy w skali światowej projekt Herlinde Koelbl, fotograf, która przez trzydzieści lat towarzyszyła Angeli Merkel. Od momentu wejścia Merkel na arenę polityczną w roku 1991 aż do zakończenia urzędowania w Kanzleramcie w roku 2021. Regularne sesje portretowe z Angelą Merkel dokumentują drogę od młodego, niedoświadczonego polityka do „lidera światowego". Efektem tych sesji są zaś unikalne zbliżenia, które oddają ekstremalną fizyczną i psychiczną przemianę Merkel i rejestrują jednocześnie niezwykłe spotkanie dwóch kobiet.

Herlinde Koelbl jest jedną z najbardziej znanych niemieckich artystek fotografów. Jej wszechstronny dorobek charakteryzuje się przede wszystkim wieloletnimi projektami fotograficznymi, często uzupełnionymi pogłębionymi rozmowami i nagraniami wideo. Cykl portretów Angeli Merkel jest kontynuacją cyklu fotograficznego Koelbl „Ślady władzy", w ramach którego przez kilka lat fotografowała znane osoby publiczne.

Tyle oficjalnego komunikatu. Jak poszukamy głębiej, na stronie popularnego wydawnictwa znajdziemy album z portretami byłej kanclerz, który będzie towarzyszył wystawie. Prawie 3 kilogramy zdjęć Merkel rozłożonych na 248 stronach.

▶ Kochała Kalifornię i wolność...

Poza tym w albumie znalazły się wywiady z bohaterką dzieła, eseje, kronika zawrotnej kariery. Herlinde Koelbl w istocie towarzyszy Merkel od wielu lat, w kwietniu 2013 roku brała nawet udział w dyskusji panelowej poświęconej wydanej wtedy przez Stefana Korneliusa biografii Merkel pt. „Angela Merkel. Kanclerz i jej świat". To była jedna z tych wielu podobnych do siebie książek kreujących legendę o „niepozornej nastolatce z enerdowskiego Templina, sowieckiego miasta garnizonowego, zafascynowanej Kalifornią i pragnącej wolności, która w zaledwie dwie dekady katapultowała się na sam szczyt niemieckiej polityki". Tak więc, kiedy „Merkel się katapultowała", pani Koelbl ten akt dokumentowała w czerni i bieli, tak jak wcześniej i później dokumentowała kolejne stacje wzrostu (żadnych upadków) Gerharda Schrödera czy Joschki Fischera. W 2001 roku Harald Martenstein na łamach dziennika „Tagesspiegel" stwierdził: „Herlinde Koelbl pisze zdjęcie po zdjęciu kronikę pewnej epoki, tak jak kiedyś powieściopisarze, tacy jak Balzak i Zola, tyle że za pomocą innych środków wyrazu". I pełna zgoda. Nikt pani Koelbl nie odmawia zacięcia kronikarskiego ani talentu do „wyciągania z polityka tego czegoś". A jednak coś tu zgrzyta. Fetowanie Merkel w jednym z najważniejszych muzeów Niemiec jako byłej przywódczyni, globalnej liderki, matki narodów wręcz, w czasie, gdy Ukraina zbiera krwawe żniwo rosyjskiej agresji i bestialstwa, działań, które nie byłyby możliwe bez kilkunastu lat Merkelowego tańca godowego wokół Kremla, jest co najmniej nie na miejscu. A porzucając język dyplomacji – jest dowodem na skrajny deficyt wrażliwości ludzi, którzy mimo okoliczności nie zrezygnowali z uhonorowania byłej kanclerz. Dziś, kiedy nawet polityczny matecznik Merkel nie jest w stanie bronić jej decyzji względem Rosji, kiedy coraz głośniej mówi się w przestrzeni publicznej o tym, że Merkel swoją polityką niejako utorowała Putinowi drogę na Ukrainę. Ale są i inne głosy.

▶ Mądrość Alice

Alice Schwarzer, nestorka niemieckiego feminizmu, a osobiście fanka i znajoma byłej kanclerz, dziwi się, jak można atakować decyzje Merkel i w dodatku przypisywać jej jakiekolwiek błędy w polityce względem Rosji. W komentarzu zamieszczonym na stronie magazynu „Emma" Schwarzer próbowała nawet dowodzić, że Merkel zapobiegła III wojnie światowej! Dowód? Zdaniem Schwarzer jest nim to, że „za kadencji Steinmeiera i Merkel nie było żadnej wojny, tylko pokój". Poza tym w niedawnym szorstkim potraktowaniu Franka-Waltera Steinmeiera przez Kijów aktywistka dopatruje się chęci rozgrywania przez Wołodymyra Zełenskiego niemieckiej polityki wewnętrznej. Schwarzer apeluje jednocześnie o „natychmiastowe negocjacje z rosyjskim prezydentem", ponieważ „demonizowanie przywódcy drugiej, najsilniejszej potęgi nuklearnej świata nie jest szczególnie pomocne". Naczelna magazynu „Emma" załamuje ponadto ręce nad zakazem opuszczania Ukrainy przez mężczyzn w wieku poborowym, rozmydla pojęcie „bohaterstwa", krytykuje tych, którzy żądają dostaw broni Ukrainie. Alice Schwarzer nie wspomina w swoim felietonie o gwałtach na ukraińskich kobietach i dzieciach, tak zawsze wyczulona na krzywdę kobiet, w tym aspekcie jakby się sama utemperowała. Rozumiem. Histeryczne domaganie się aborcji dla wszystkich, zwłaszcza w warunkach kawiorowo-szampańskiej rewolucji, musi rabować sporo energii. Zawęża horyzont. Za nim jest już tylko uznana portrecistka z trzema kilogramami zdjęć Merkel. Kobiety, której boi się nawet wojna. Tak bardzo, że rozgorzała dopiero po końcu kadencji. ■

eprasa.pl d1d189da9f

Hanna Shen

Tak minął miesiąc w Azji

Co działo się w minionym miesiącu na kontynencie azjatyckim i wokół niego? Poniżej prezentujemy omówienie wydarzeń, które niekoniecznie trafiają na pierwsze strony gazet, lecz są ważne.

Tajwan

15 kwietnia powrócił na Tajwan zwolniony z więzienia w Chinach tajwański działacz na rzecz praw człowieka Lee Ming-che. W ChRL skazany został na 5 lat więzienia za rzekome prowadzenie działalności wywrotowej przeciwko państwu.

Lee Ming-che przez lata związany był z rządzącą obecnie na Tajwanie proniepodległościową Demokratyczną Partią Postępu (DPP). Często kontaktował się z aktywistami na rzecz swobód obywatelskich w Chinach. 19 marca 2017 roku po przylocie z Tajwanu do Makao, przekroczył chińskie przejście graniczne i od tego czasu słuch o nim zaginął. Rządowa Rada ds. Chin Kontynentalnych (MAC) na Tajwanie przez kilka dni próbowała ustalić u władz chińskich, co spotkało Tajwańczyka. Uzyskała tylko potwierdzenie od chińskiej policji, że Lee przekroczył granicę ChRL. Dopiero 29 marca 2017 roku Biuro ds. Tajwanu, instytucja w randze ministerstwa działająca przy chińskim rządzie, przyznała, że Lee jest zatrzymany i podejrzany o działanie na szkodę bezpieczeństwa narodowego.

W grudniu 2017 roku Lee usłyszał wyrok 5 lat pozbawienia wolności za prowadzenie działalności wywrotowej przeciw ChRL. „Wina" Lee miała polegać na tym, że współpracował z obywatelami Chin w rozpowszechnianiu i pisaniu w mediach społecznościowych komentarzy, które „atakowały" komunistyczny rząd Chin i promowały „zachodnią demokrację". Skazanie Lee Ming-che było kolejnym dowodem na to, że represje, jakie za rządów prezydenta Xi Jinpinga stosowane są wobec krytykujących chiński komunizm, dotykają już nie tylko obywateli ChRL, lecz także cudzoziemców. W 2016 roku władze ChRL przetrzymywały przez 23 dni w ramach tzw. nadzoru w wyznaczonej lokalizacji (czyli tajnego więzienia) szwedzkiego działacza na rzecz praw człowieka Petera Dahlina. W wydanej w USA książce pt. „Ludowa Republika Zaginionych – historie chińskiego systemu wymuszonych zniknięć" znajduje się opis doświadczeń Dahlina w chińskim tajnym więzieniu. „Przez pierwszy weekend słyszałem powtarzające się w regularnych odstępach w nocy dźwięki trzasków i pisków dochodzące z piętra wyżej. W takich warunkach nie było możliwości spania. [...] Chciałem rozmawiać z ich szefem i powiedziałem strażniczce, że Chiny ratyfikowały konwencję w sprawie zakazu stosowania tortur, dodając, że pozbawianie więźnia snu jest formą tortury. Na co ona, starsza kobieta, w gniewie krzyknęła, że nie mam szacunku. Przecież traktują mnie miło. W końcu zamiast pozbawiać mnie snu bezpośrednio, stosowali trzaskanie, piski i głośne dźwięki na górze, abym nie zasnął, aby mnie złamać". Po wypuszczeniu z więzienia Dahlin został wydalony z Chin.

W 2017 roku zatrzymany też został Feng Chongyi, obywatel ChRL, lecz pracujący i mający kartę stałego pobytu w Australii. Feng jest wykładowcą na University of Technology w Sydney. Gdy wracał z Chin do Australii, nie wpuszczono go na pokład samolotu. Feng Chongyi często wypowiadał się m.in. o zagrożeniu, jakie dla Australii stwarzają studenci przybywający na stypendia z Chin. Są wśród nich osoby pracujące dla wywiadu ChRL. Feng zwracał także uwagę na wpływy, jakie Komunistyczna Partia Chin (KPCh) ma w chińskojęzycznych mediach w Australii i jak te media wykorzystywane są przez chińskie władze- w celach propagandowych.

W wyniku interwencji władz Australii Feng został zwolniony po 10 dniach przetrzymywania. Sprawa Lee Ming-che to także nie pierwszy przypadek porwania przez chińskie służy bezpieczeństwa działaczy na rzecz swobód obywatelskich w Chinach. Takie uprowadzenia odbywają także za granicą. W 2016 roku doszło do serii porwań przez chińskich agentów hong-

eprasa.pl d1d189da9f

końskich wydawców publikujących książki krytykujące komunistyczne władze w Pekinie. W 2002 roku w trakcie pobytu w Wietnamie porwany został Wang Bingzhang, człowiek nazywany „ojcem chrzestnym chińskiej opozycji". Wang został uprowadzony wraz z dwoma innymi dysydentami, Yue Wu i Zhang Qi, i przewieziony do Chin Ludowych. W lutym 2003 roku odbył się jednodniowy proces Wanga. Jak mówiła córka dysydenta Ti-Anna, „ojcu nie przedstawiono żadnych dowodów winy ani nie pozwolono przemawiać w czasie rozprawy". Pekin uznał, że Wang prowadził działalność terrorystyczną i szpiegował na rzecz Tajwanu. Skazał go na dożywocie.

Japonia–Filipiny

Ministrowie obrony Japonii i Filipin zapowiedzieli zacieśnianie współpracy w zakresie bezpieczeństwa i rozszerzenie wspólnych ćwiczeń swoich sił wojskowych, a także wyrazili obawy związane z coraz bardziej asertywnymi działaniami wojskowymi Chin w regionie.

Spotkanie ministrów spraw zagranicznych i obrony obu państw azjatyckich 9 kwietnia w Tokio było pierwszym w formacie „2+2" między kluczowymi sojusznikami USA. Do rozmów doszło w momencie, gdy Tokio i Manila toczą spory z Pekinem w wyniku chińskiej ekspansji na Morzach Wschodniochińskim i Południowochińskim, gdy Rosja prowadzi wojnę przeciw Ukrainie oraz gdy Korea Północna wznowiła testy rakietowe.

Podczas kwietniowych rozmów japońscy i filipińscy urzędnicy zgodzili się współpracować na rzecz „wolnego i otwartego" Indo-Pacyfiku, co jest też zgodne z oficjalnym stanowiskiem USA, i ma przeciwdziałać wzrostowi wpływów geopolitycznych Chin w regionie. Oba kraje zapowiedziały też rozpoczęcie rozmów na temat wspólnej umowy obronnej. W tej chwili Manila znajduje się w trudnej sytuacji, próbując zrównoważyć sojusz z Waszyngtonem i znaczną ekonomiczną zależność od Pekinu.

Podczas kwietniowej rozmowy telefonicznej chiński prezydent Xi Jinping powiedział swojemu filipińskiemu odpowiednikowi Rodrigo Duterte, że stabilności regionalnej nie można osiągnąć poprzez sojusze wojskowe, co jest wyraźnym odniesieniem do polityki USA na Zachodnim Pacyfiku. Podobną retorykę Pekin w tej chwili stosuje w Europie Zachodniej, starając się obarczyć winą za wojnę w Ukrainie NATO i USA oraz rozbić sojusz transatlantycki.

Od czasu swojego wyboru w 2016 roku Duterte zbudował uprzywilejowane stosunki z Chinami. W przeciwieństwie do swojego poprzednika, Benigno Aquino III, próbował zmniejszyć napięcia z Chińczykami, ignorując orzeczenie Międzynarodowego Trybunału Arbitrażowego w Hadze, który stwierdził, że chińskie roszczenia do prawie 90 proc. Morza Południowochińskiego były „bezprawne".

Dwustronne spotkanie przedstawicieli Filipin i Japonii odbyło się miesiąc przed majowymi wyborami prezydenckimi na Filipinach. Wyścig wydaje się teraz sprowadzać do pojedynku urzędującej wiceprezydent Leni Robredo i Ferdinanda Marcosa Jr, którego ojciec rządził Filipinami jako dyktator od 1965 do 1986 roku. Robredo zapowiedziała ostrzejsze stanowisko wobec Chin, natomiast lider dotychczasowych sondaży Marcos powiedział, że chce pozostać w przyjaznych stosunkach zarówno z Waszyngtonem, jak i Pekinem.

Korea Północna

14 kwietnia północnokoreańskie media pokazały, jak Kim Dzong Un przekazuje 78-letniej Ri Chun Hi, prezenterce wiadomości w reżimowej telewizji w Korei Północnej, mieszkanie w nadrzecznym kompleksie w stolicy Korei Północnej, Pjongjangu. Samo uroczyste otwarcie kompleksu – z przecinaniem wstęgi, oprowadzaniem po osiedlu i zwiedzaniem nowego mieszkania prezenterki – odbyło się 13 kwietnia, czyli dzień przed 110. rocznicą urodzin dziadka Kim Dzong Una i założyciela reżimu – Kim Il Sunga. Kim Dzong Un miał powiedzieć o Ri Chun Hi, że jest jednym ze skarbów narodu, pracującym w zawodzie od dzieciństwa. Kobieta z kolei stwierdziła, że mieszkanie wygląda „jak hotel", a jej rodzina „nie spała całą noc, pogrążona we łzach głębokiej wdzięczności".

Eksperci twierdzą, że podczas gdy Korea Płn. zmaga się z pandemią, ogromnymi trudnościami gospodarczymi i impasem w relacjach ze Stanami Zjednoczonymi, Kim musi zabiegać o większą lojalność tamtejszych elit. „Rozdając domy tym, którzy byli mu wierni, Kim Dzong Un chciałby jeszcze bardziej wzmocnić ich lojalność i wewnętrzną jedność. Ri Chun Hi to przykład takich osób, ponieważ mocno propagowała jego testy nuklearne i rakietowe i służy jako tuba jego propagandy" – stwierdził w wypowiedzi dla „New York Post" Moon Seong Mook, analityk z Koreańskiego Instytutu Badawczego Strategii Narodowej z siedzibą w Seulu.

Ri Chun Hi, nazywana „różową damą" ze względu na kolor tradycyjnego ubioru północnokoreańskiego, w którym występuje na antenie, zadebiutowała w telewizji północnokoreańskiej w 1971 roku. Stała się ulubioną prezenterką władzy. To ona informowała na antenie o najistotniejszych zdarzeniach typu udana próba jądrowa czy śmierć przywódcy. Gdy w 2011 roku obwieszczała narodowi, że nie żyje Kim Dzong Il, nie kryła łez i głos się jej wyraźnie łamał. ■

eprasa.pl d1d189da9f

TŁUMACZYŁ I OPRACOWAŁ
Antoni Rybczyński

„Nowiczok" majora Pietrenki. Jak żyją ofiary sowieckich eksperymentów na ludziach

Związek Sowiecki nie tylko opracował chemiczne środki bojowe, lecz także testował je na ludziach. Radio Swoboda opowiada historię wojskowego, który przeszedł takie testy, został zwolniony ze służby, był prześladowany, a w końcu rozprawa sądowa wykazała, że jego choroby były spowodowane kontaktem z trującą substancją. Przedstawiamy obszerne fragmenty artykułu Władimira Woronowa.

Nowiczok" – nazwa tej rodziny środków bojowych przeszła do historii w związku z otruciem byłego pułkownika GRU Siergieja Skripala i jego córki Julii w brytyjskim mieście Salisbury 4 marca 2018 roku. Według władz brytyjskich to właśnie nowiczok rosyjskiej produkcji otruł Skripalów. Jednak przedstawiciele władz rosyjskich zaprzeczają istnieniu takiego „produktu". 15 marca 2018 roku wiceminister spraw zagranicznych Siergiej Riabkow kategorycznie stwierdził, że „ani w ZSRS, ani w Federacji Rosyjskiej nie istniały programy rozwoju środka chemicznego o nazwie Nowiczok".

Sto substancji klasy nowiczoka

Tymczasem wystarczy przejrzeć stare archiwa prasowe, aby przekonać się, że rosyjskie gazety piszą o nowiczoku już od 1992 roku. Po raz pierwszy wspomniano o nim w artykule „Zatruta polityka" autorstwa Wiła Mirzajanowa i Lwa Fiedorowa, opublikowanym w gazecie „Moskowskie Nowosti" 20 września 1992 roku. Co prawda w artykule nie padł termin „nowiczok", lecz wspomniano, że są osoby, które zostały narażone na jego działanie i stały się w wyniku tego niepełnosprawne. Wkrótce jednak w czasopiśmie „Nowoje Wremia", w numerze 50 z 1992 roku, ukazał się artykuł Olega Wiszniakowa „Zrobiłem bombę binarną": wywiad z Andriejem Żelezniakowem, byłym pracownikiem naukowym Państwowego Instytutu Badań Naukowych Chemii Organicznej i Technologii, jednym z uczestników procesu tworzenia nowego środka binarnego. Nazwa tej substancji jest kilkakrotnie wymieniona w artykule: „nowa substancja o kryptonimie Nowiczok"; „supertajny program Foliant mający na celu stworzenie nowej klasy środka paralityczno-drgawkowego o kryptonimie Nowiczok"; „nowa modyfikacja Nowiczoka"; „Nowiczok-5"; „Nowiczok-9"; „broń binarna oparta na Nowiczoku"...

Sam Żelezniakow stał się ofiarą nowiczoka w maju 1987 roku. Antidotum pomogło, ale nie na długo, a „przerażeni lekarze zaczęli gorączkowo wciągać na siebie sprzęt ochronny, zamiast udzielać mu pierwszej pomocy". Tylko cudem przeżył, spędzając 18 dni między życiem a śmiercią na intensywnej terapii i stając się inwalidą. Zresztą Żelezniakow zmarł krótko po publikacji wspomnianego artykułu. W 1993 roku to samo czasopismo opublikowało wywiad z innym twórcą nowiczoka, Władimirem Uglewem, który powiedział, że w 1973 roku „po raz pierwszy wyprodukowano nowy fosforowy środek nerwowy, który później stał się znany jako nowiczok, a w kolejnych latach zsyntetyzowano ponad sto substancji tej klasy". Ponadto istnieje publikacja oficjalnego organu prasowego Ministerstwa Obrony Federacji Rosyjskiej, gazety „Krasnaja Zwiezda" z 16 czerwca 1993 roku. Wielu czytelników dowiedziało się z niej po raz pierwszy o „ściśle tajnym programie o kryptonimie »Foliant«" oraz o tym, że istniał „dwuskładnikowy środek nerwowy Nowiczok", a także „jego modyfikacje o numerach 5, 8, 9 itd." oraz „produkty »33« i »35«, wzór »VX« itd.". Na początku 1993 roku na jednej z konferencji dotyczących chemicznego rozbrojenia poznałem byłego majora armii sowieckiej Władimira Pietrenkę. [...] Jak mówił, na nim samym testowano co najmniej jeden z wariantów nowiczoka.

Ważna misja wojskowa

Władimir Pietrenko urodził się i wychował w Izmaile. Już w szkole interesował się najpierw pirotechniką, potem chemią, a próba połączenia tych pasji zaprowadziła go do... wojska – do Wyższej Wojskowej Szkoły Inżynieryjnej Obrony Chemicznej

eprasa.pl d1d189da9f

w Saratowie, która kształciła chemików wojskowych. Po ukończeniu studiów z wyróżnieniem w 1981 roku porucznik Pietrenko został skierowany do służby w Centralnym Instytucie Badań i Testów Wojsk Chemicznych. Znajdował się tam również wojskowy poligon chemiczny, największy w Związku Sowieckim: 400 kilometrów kwadratowych, step, brzeg Wołgi, obwód saratowski. Dla zachowania tajemnicy tę ściśle tajną placówkę nazywano Szychany-2, Wolsk-18, a służącym w niej ludziom nadano bardziej zwięzłą nazwę: „Zona". Na poligonie zawsze znajdowały się różnego rodzaju zwierzęta: króliki, świnki morskie, psy, konie, czasem sprowadzano małpy. Ale to wszystko nie było do końca w porządku: środki bojowe są przeznaczone do oddziaływania na ludzi, a podczas testów na zwierzętach obraz jest nieco zamazany, niepełny i zniekształcony, a zwierzęta nie mogą dzielić się swoimi odczuciami i wrażeniami. „Głównym celem firmy jest zapewnienie klientom jak najlepszej obsługi".

– Latem 1982 roku ja, wówczas porucznik – opowiada Władimir Pietrenko – zostałem wezwany na spotkanie z kierownikiem wydziału specjalnego traktowania. Zaczął z daleka i z patosem kierownik wydziału: „Imperialiści szykują się do rozpętania przeciwko nam wojny z użyciem chemicznych środków bojowych. Wojna może wybuchnąć lada dzień. Ale nie możemy siedzieć bezczynnie, towarzyszu poruczniku! Partia uważa, że musimy godnie odpowiedzieć na rzucone nam wyzwanie, intensyfikując prace nad najnowszymi środkami walki chemicznej. Poruczniku Pietrenko, czy jest pan gotowy do najważniejszej tajnej misji dla Ojczyzny?". – Właśnie tak, z całą powagą, jak na zebraniu partyjnym! Ale jesteśmy w wojsku, a tam przyjęło się, że na takie propozycje odpowiada się jednoznacznie, stojąc na baczność. Ja sam byłem entuzjastycznie nastawiony i szczerze wierzyłem, że jest to słuszne posunięcie, i byłem bardzo dumny z zaufania, jakim mnie obdarzono: zaledwie od roku miałem oficerskie naszywki, a teraz powierzono mi ważną misję wojskową. W końcu nie co dzień ktoś prosi o dokonanie takiego wyczynu!

– Kazano mi poinformować rodzinę, że wyjeżdżam na tydzień w podróż służbową, spakować walizkę ze wszystkim, co potrzebne, i pożegnawszy się z żoną, wyjechać... do budynku laboratorium poligonu – wspomina Pietrenko. Prawdziwy tajny eksperyment rozpoczął się, gdy porucznik otrzymał polecenie wypełnienia formularza polisy ubezpieczeniowej na nazwiska żony i matki. Następnie został przeniesiony do osobnego pokoju z łóżkiem. Oczywiście obowiązywała całkowita tajemnica: zakaz opuszczania kompleksu, jedzenie przynoszono z oficerskiej stołówki. Można się było tylko domyślać charakteru misji: lekarze wykonywali różnego rodzaju analizy, przeprowadzali badania, robili kardiogramy, mierzyli ciśnienie krwi. A każdego dnia – zestaw ćwiczeń sportowych: strzelanie z pistoletu elektronicznego, basen, rowerek treningowy...

Lodówka opłacona zdrowiem

Po kilku dniach takiego życia porucznik został wezwany na spotkanie z zastępcą dyrektora instytutu, który pokrótce wyjaśnił mu jego zadanie: ma sprawdzić na sobie działanie trującej substancji. W formie nie był to rozkaz, lecz niemal prośba. Ale w wojsku nie ma zwyczaju dyskutowania ze słowami starszego oficera. Jak wspominał Pietrenko, kilku oficerów odrzuciło taką propozycję: „Formalnie mieli do tego prawo, bo to nie był rozkaz, a sprawa była dobrowolna... Ale nie mogli im tego wybaczyć: złamano im kariery. Oczywiście nie wszystko naraz, ale w kilku etapach; w wojsku zostało to dopracowane w najdrobniejszych szczegółach". Porucznik Pietrenko nie odmówił: zapewniono go stanowczo „w imieniu dowództwa", że zostaną użyte absolutnie nieszkodliwe mikrodawki. Poprosili go też o zgolenie wąsów: dla czystości eksperymentu? A ten był potem:

– Głowę owinęli mi specjalną tkaniną ochronną – wspomina Władimir. – Tak, że maska zakrywała wszystko oprócz nosa i ust. Następnie musiałem wsadzić głowę, a właściwie tylko twarz, w otwór okienny przezroczystej komory i oddychać tylko na komendę. Następnie za pomocą specjalnego sprzętu wprowadzono do komory środek chemiczny. Natychmiast straciłem oddech, jakbym dostał cios w gardło, i naraz wyssano mi powietrze z płuc. Łaskotało mnie pod nosem, w ustach miałem metaliczny posmak, z oczu napływały mi łzy... Było to co najmniej nieprzyjemne. I oddychałem tak przez prawie minutę, dopóki nie kazano mi się cofnąć. Potem kazali mi biegać, skakać, jeździć na rowerze treningowym, strzelać z pistoletu elektronicznego, mierzyli czas, puls, ciśnienie, robili kardiogramy, testy... Ósmego dnia wyszedłem wreszcie z walizką w ręku na zewnątrz budynku i tak zakończyła się moja „podróż służbowa" do innego miasta.

Za wypełnienie bojowego zadania porucznika Pietrenkę doceniono: dostał premię w wysokości 300 rubli: „Jak raz, starczyło na lodówkę". – Kiedy podpisałem odbiór premii w biurze rachunkowym jednostki, zauważyłem, że na liście płac widniały nazwiska jeszcze około czterdziestu osób – wspomina Pietrenko. Kilka miesięcy po wypełnieniu „zadania partii i rządu" na rękach oficera pojawiły się tzw. starcze plamy. Potem Pietrenko zaczął czuć się coraz gorzej, a jego dokumentacja medyczna szybko zaczęła być uzupełniana o cały bukiet diagnoz. Jednak lekarze wojskowi, którzy go badali, kategorycznie zaprzeczyli, by istniał jakikolwiek związek między nagłymi problemami zdrowotnymi a wcześniejszym testem, nie zapewnili mu opieki medycznej ani nie zalecili żadnego leczenia. Ponadto przez ponad dwa lata nadal pracował z chemicznymi środkami bojowymi. W listopadzie 1984 roku Pietrenko został formalnie uznany za niezdolnego do pracy ze środkami chemicznymi i substancjami radioaktywnymi, ale nie zawieszono go w pracy z nimi! W tym czasie zdiagnozowano już u niego bielactwo, choroby układu oddechowego, żołądka i tarczycy...

W 1986 roku doszło do wybuchu w elektrowni jądrowej w Czarnobylu. Od 29 maja do 16 lipca 1986 roku Władimir Pietrenko przebywał w strefie skażonej – w jednostce rozpoznania radiochemicznego. Zgodnie z wszelkimi normami i instrukcjami medycznymi dowództwo nie miało prawa wy-

eprasa.pl d1d189da9f

słać do strefy skażonej chorego oficera, wcześniej narażonego na kontakt z bronią chemiczną. Ale tak się stało. [...]

Z pisma majora rezerwy Władimira Pietrenki do ministra obrony Rosji, generała armii Pawła Graczowa, z 25 listopada 1992 r:

„W Siłach Zbrojnych byłem od 05.08.1976 r. Od 1981 r. służyłem i pracowałem w Centralnym Instytucie Badań i Testów Wojsk Chemicznych w Szychanach. W czasie służby byłem odpowiedzialny za przeprowadzenie 4 testów państwowych prototypów amunicji, posiadam 11 podziękowań, jestem autorem i współautorem 20 prac naukowych. Nie jestem karany. Przez osiem lat pracowałem w skrajnie niebezpiecznych warunkach. W 1982 r., wykonując zadania zlecone przez dowództwo, uległem zatruciu substancjami toksycznymi. Od 29 maja do 16 lipca 1986 r., mimo przeciwwskazań lekarskich, zostałem skierowany do likwidacji awarii w elektrowni jądrowej w Czarnobylu w strefie 30 km.

W wyniku tego w czasie służby wojskowej lekarze zdiagnozowali u mnie 10 chorób:

1. pierwotna niedoczynność tarczycy I stopnia;
2. przewlekłe obturacyjne zapalenie oskrzeli z komponentem astmatycznym;
3. alergiczne zapalenie spojówek;
4. przewlekłe zapalenie żołądka i jelit;
5. bielactwo rozległe;
6. zapalenie gardła;
7. dystonia nerwowo-krążeniowa typu mieszanego;
8. kamica żółciowa;
9. nawykowe zwichnięcie stawu barkowego;
10. podostre zapalenie odbytnicy...".

[...]

„Zdolny do czynnej służby bez ograniczeń"

W lipcu 1990 roku Władimir Pietrenko, wówczas już major, odszedł z KPZS z powodów politycznych. Można było to tolerować, ale uparty major rzucił się w wir życia publicznego, które wówczas było w pełnym rozkwicie. Lista jego „przewinień" była spora: major nie tylko odważył się kandydować jako niezależny kandydat do Rady Miejskiej, lecz także sprzeciwił się oficjalnemu kandydatowi – zastępcy dowódcy swojej jednostki. Wygrał, ale na tym nie poprzestał: rozpoczął starania o unieważnienie sfałszowanych wyników wyborów do rady miasta 1. sekretarza komitetu miejskiego partii komunistycznej. Kiedy jednak został członkiem Rady Miejskiej, stanął na czele podkomisji ds. środowiska i zaciekle walczył z władzami o to, by Szychany nie stały się składowiskiem broni chemicznej. Postanowiono pozbyć się majora w sposób czysto wojskowy, zwykłą i sprawdzoną metodą: dyrektywą szefa Sztabu Generalnego Armii Sowieckiej generała Michaiła Mojsiejewa z 15 października 1990 roku stanowisko zajmowane przez majora Pietrenkę zostało zredukowane. 2 lutego 1991 roku został zwolniony z wojska „z powodu redukcji personelu" – bez zapewnienia mu odpowiedniego mieszkania i, co najważniejsze, bez emerytury...

Z cytowanego pisma majora rezerwy Pietrenki do ministra obrony Rosji, generała armii Pawła Graczowa: „Pomimo mojej nienagannej służby i tego, że faktycznie straciłem zdolność do służby w wojsku, wykonując swoje obowiązki, nie pozwolono mi służyć do emerytury. Po 14,5 roku zostałem zwolniony bez emerytury, pozbawiony zdrowia, pomimo tego, że rada miejska nie wyraziła zgody na likwidację mojego stanowiska [...]". Według niego, w ten sam sposób wyrzucono również innych oficerów, którzy brali udział w usuwaniu skutków katastrofy w Czarnobylu – ponad 300 osób. Dwaj oficerowie, nie mogąc znieść „wdzięczności ojczyzny", popełnili samobójstwo. A wielu zmarło w wyniku napromieniowania (a także eksperymentów chemicznych na nich).

Wszystkie próby odwołania się nie powiodły się: ani sądy wojskowe, ani prokuratura wojskowa, ani minister obrony ZSRS marszałek Dmitrij Jazow, ani minister obrony Rosji generał armii Paweł Graczow nie reagowali na protesty i odwołania majora Pietrenki. Pod koniec 1992 roku Pietrenko po raz pierwszy oświadczył na wiecu wyborczym, że wojsko przeprowadzało testy broni chemicznej na ludziach. Zajęło się tym wojsko, a później regionalny departament Ministerstwa Bezpieczeństwa Publicznego. Próbowano go oskarżyć o złamanie sowieckiego prawa o tajemnicy państwowej. Nie można było jednak ścigać deputowanego bez zgody rady, a Rada Miasta kategorycznie odmówiła takiej. Dlatego postanowiono działać inaczej: zebrano personel jednostki i pod ścisłym kierownictwem dowództwa zwrócił się on do Rady Miasta z prośbą o rozpatrzenie kwestii odwołania Pietrenki. Rada odmówiła. Następnie zwolnionemu ze służby majorowi ponownie zaproponowano przejście badań lekarskich, które nagle dały zupełnie fantastyczny werdykt: „zdolny do czynnej służby bez ograniczeń". Do tego czasu, latem 1993 roku, u Pietrenki zdiagnozowano 12 poważnych chorób przewlekłych, a lista ta wzrosła potem do 30. [...] Latem 1993 roku Władimir został poddany badaniom w szpitalu wojskowym im. Burdenki, gdzie lekarze wojskowi ponownie wydali ten sam werdykt: wszystkie choroby nie są w żaden sposób związane ze służbą wojskową i nie mają nic wspólnego z Czarnobylem, a tym bardziej z testami broni chemicznej. Następnie major Pietrenko otrzymał propozycję... powrotu do czynnej służby na kolejne sześć lat, aby „uczciwą służbą wojskową zdobyć prawo do emerytury". W tym właśnie duchu minister obrony Graczow odpowiedział w końcu na pisma majora.

„Jak się masz, Wołodia?"

Kiedy Władimir Pietrenko po ukończeniu szkoły wojskowej rozpoczął służbę na poligonie w Szychanach, Centralnym Instytutem Badawczym Wojny Chemicznej kierował Anatolij Kuncewicz, wówczas pułkownik. Kierował również programem testowania najnowszych typów chemicznych środków bojowych. Za ich rozwój w 1981 roku tajnym dekretem otrzymał tytuł Bohatera Pracy Socjalistycznej, stając się jednocześnie członkiem korespondentem Akademii Nauk. Jego żona, według Pietrenki, również pracownik Centralnego Instytutu

eprasa.pl d1d189da9f

Badawczego, była członkiem grupy medycznej odpowiedzialnej za przeprowadzenie tych eksperymentów. [...] Za wybitne osiągnięcia Kuncewicz został wkrótce awansowany do stopnia generała-majora, a w 1983 roku wspiął się niemal na sam szczyt sowieckiej piramidy wojsk chemicznych – mianowano go zastępcą dowódcy wojsk chemicznych ds. pracy naukowej. W 1987 roku został awansowany na generała-porucznika, a także otrzymał tytuł naukowy, stając się członkiem rzeczywistym Akademii Nauk ZSRS. W 1991 roku generał Kuncewicz otrzymał wreszcie Nagrodę Lenina – za opracowanie pewnego nowego wojskowego środka binarnego. Miał już wówczas odpowiedni przydomek: Generał Gaz.

Wiele mediów twierdziło, że jest on twórcą środka nowiczok. Jest to oczywiście błędne rozumowanie, i to nie tylko dlatego, że takiego „produktu" nie może stworzyć jedna osoba, nawet generał i pracownik naukowy. Najważniejsze jest to, że wobec całkowitego utajnienia sfery tych badań nie ma sensu zgadywać, jaki konkretnie produkt Kuncewicz i jego zespół przedstawili ówczesnym najwyższym władzom i jaki był jego kryptonim. Faktem jest, że wydano coś wyjątkowo udanego, za co zostali nagrodzeni. Po rozpadzie Związku Sowieckiego wybitny ekspert w dziedzinie testowania chemicznych środków bojowych na „świniach" w mundurach stanął na czele Komisji ds. Konwencjonalnych Problemów Rozbrojenia Chemicznego i Biologicznego przy Prezydencie Federacji Rosyjskiej.

Zarówno Kuncewicz, jak i ówcześni dowódcy wojsk chemicznych zaprzeczali samemu faktowi takich eksperymentów na ludziach. Na marginesie jednej z wielu konferencji lub przesłuchań dotyczących rozbrojenia chemicznego, które odbywały się w Moskwie w latach 1992–1994, udało mi się porozmawiać z Anatolijem Kuncewiczem. Zadałem mu pytanie o testowanie broni chemicznej na ludziach w armii sowieckiej. Nie usuwając z twarzy charakterystycznego dla siebie czarującego uśmiechu, generał Kuncewicz lakonicznie stwierdził: „Nie ma takich danych!". Mówił to, nie odrywając wzroku od stojącego obok mnie Władimira Pietrenki, któremu przed chwilą podał rękę, pamiętając, by zapytać: „Jak się masz, Wołodia?".

Materiał odpadowy

W kwietniu 1994 roku prezydent Borys Jelcyn nagle odwołał generała Anatolija Kuncewicza ze stanowiska szefa Komidji ds. Konwencjonalnych Problemów Rozbrojenia Chemicznego i Biologicznego, używając nieoczekiwanego i dotychczas zupełnie niespotykanego sformułowania: „za jednorazowe rażące naruszenie obowiązków". Początkowo przypisywano to nadmiernemu pijaństwu generała, który potrafił upijać się do nieprzytomności na międzynarodowych konferencjach dotyczących rozbrojenia chemicznego. Jednak później okazało się, że generał Kuncewicz był główną postacią w sprawie karnej dotyczącej organizacji nielegalnych dostaw odczynników do produkcji gazu bojowego do Syrii. Jak oficjalnie poinformowała 23 października 1995 roku służba prasowa FSB Zarządu Moskwy i obwodu moskiewskiego, w 1993 roku „grupa osób, w skład której wchodził pracownik naukowy Anatolij Kuncewicz, przewiozła do kraju na Bliskim Wschodzie 800 kg komponentu, który przy zastosowaniu pewnej technologii mógł być użyty do produkcji substancji toksycznych". Na początku 1994 roku służby kontrwywiadowcze uniemożliwiły nielegalny wywóz kolejnych pięciu ton tzw. chemikaliów podwójnego zastosowania, przy czym, według FSB, Kuncewicz również brał udział w próbie ich wywozu. Jednak zarzut przemytu postawiono mu dopiero we wrześniu 1995 roku, jednocześnie zobowiązując się do nieopuszczania kraju. W tym samym czasie generał Kuncewicz został objęty sankcjami USA. W Rosji sprawa ta została wyciszona, a Kuncewicz nadal pracował w Syrii, przypuszczalnie w swoim głównym zawodzie. Dopiero 29 marca 2002 roku generał, który „odbywał oficjalną podróż służbową" w Syrii, zginął w niewyjaśnionych okolicznościach na pokładzie samolotu lecącego z Damaszku do Moskwy...

Jeśli chodzi o samego Pietrenkę, to w kwietniu 1999 roku nastąpił nieoczekiwany przełom w jego sprawie. Materiały z kontroli przeprowadzonej przez prokuraturę Nadwołżańskiego Okręgu Wojskowego potwierdziły, że rzeczywiście był on poddawany eksperymentom. 15 kwietnia 1999 roku Sąd Rejonowy w Saratowie oficjalnie uznał fakt udziału Pietrenki w eksperymencie i przesłał trzy tomy materiałów do dalszego zbadania. Zgodnie z wnioskami ekspertów Uniwersytetu Medycznego w Saratowie, objawy chorobowe odpowiadają narażeniu na działanie „organofosforowych środków bojowych". Prawdopodobnie testowano jakąś odmianę nowiczoka, gaz A-232. Wojskowym nie udzielono pomocy medycznej. Dwa miesiące później lekarz zdiagnozował u Pietrenki problemy z żołądkiem, układem oddechowym i skórą. Gazeta „Nowoje Izwiestia" w maju 1999 roku obficie cytowała zeznania podpułkownika służby medycznej Nikołaja Pospielowa, złożone jeszcze w styczniu 1993 roku: „W związku z kierowanymi do mnie pytaniami powinienem wyjaśnić, że w 1982 roku podczas wykonywania zaplanowanych badań spotkałem Władimira Fiedorowicza Pietrenkę, który dobrowolnie zgodził się wziąć udział w eksperymencie mającym na celu określenie zewnętrznej dawki substancji fosforoorganicznej...".

Te zeznania nie pomogły Władimirowi Pietrence uzyskać od Ministerstwa Obrony ani odszkodowania, ani emerytury wojskowej, ani mieszkania: dla rosyjskich urzędników państwowych to materiał odpadowy, niepotrzebni i gadatliwi świadkowie. Major nie poddał się jednak i nie zrezygnował: uzyskał drugie, już prawnicze wykształcenie. Obronił pracę doktorską na temat „Prawna regulacja kontroli publicznej w sferze ochrony środowiska", wykorzystując przy jej pisaniu swoje bogate doświadczenie. Następnie wyjechał na rodzinną Ukrainę... ■

Śródtytuły pochodzą od redakcji „NP".

eprasa.pl d1d189da9f

Marcin Wolski

OKRUCIEŃSTWO

Okrucieństwo towarzyszy wojnie od zawsze. Podobnie jak ona sama jest przerwaniem naturalnego porządku, przyrodzonego ładu i ludzkiej natury. A może właśnie dzięki temu pozwala się wydobyć temu, co w naszej naturze jest najokropniejsze, tylko na co dzień bywa ukryte pod cienką warstewką kultury, empatii, tolerancji? Dawne historie opowiadając o dokonaniach królów i bohaterów, o okrucieństwie mówiły mimochodem, niechętnie. Wojna była męską grą szlachetnie urodzonych, a jeśli ciury czy maruderzy dokonywali rzeczy paskudnych, lepiej było o nich nie wspominać.

Dlatego pisząc o sukcesach Rzymu, zapominano najczęściej o wyrzynaniu całych narodów, dziesiątkowaniu własnych żołnierzy, mordowaniu pokonanych, wysiedlaniu ludności ze swych terenów i sprzedawaniu w niewolę. Chrześcijaństwo, nawet w walce, starało się być lepsze, ale nie do końca – to przecież Szymon de Montfort podczas wojny z albigensami wypowiedział znamienną formułę: „Zabijcie wszystkich, Bóg swoich rozpozna", która miała towarzyszyć ludzkości przez wieki. Oczywiście Kościół usiłował moderować obyczaje. Wprowadzono zasadę treuga Dei, czyli okresy, w których nie można było prowadzić wojen, a etos rycerski oparto na rygorystycznych zasadach. Niektórzy nawet je stosowali. Król francuski Jan Dobry po klęsce pod Maupertuis poszedł w niewolę angielską. Wkrótce zwolniony został na słowo honoru. Pozwolono mu wrócić do ojczyzny, aby zabrać okup. Kiedy nie udało się zdobyć potrzebnej kwoty, władca dobrowolnie wrócił do niewoli i w niej zmarł. Ale taka rycerskość wyginęła wraz z rycerstwem. Ostatnim rozbłyskiem tamtego świata było Boże Narodzenie 1914 roku, kiedy walczące armie wyszły z okopów, śpiewając te same (choć w różnych językach) kolędy. Barbarzyństwo na nowo ożywiły wojny religijne, bo istnieje dziwna prawidłowość, że zmagania bratobójcze są okrutniejsze niż walki z obcymi. Wraz z nastaniem państw narodowych, a już szczególnie wieku ideologii, ludzkość popadła w jeszcze większe zezwierzęcenie niż w minionych wiekach. Nowożytni despoci czerpali pełnymi garściami od swych poprzedników w rodzaju Attyli czy Tamerlana. Przeciwnika należało przerazić, zniechęcić do prób oporu, a najlepiej w całości unicestwić – razem z rodziną (wszak martwi się nie mszczą). W odróżnieniu od dawnych epok, kiedy pokonany wróg mógł z czasem zostać sojusznikiem, a nawet obywatelem Rzymu, totalitaryzmy w rodzaju nazizmu czy komunizmu nie mogły pozwolić sobie na taki luksus. Eliminacja odczłowieczonego wroga stawała się wręcz obowiązkiem. Przy czym o ile Niemcy mordowali na rozkaz wedle określonych procedur, Rosjanie postawili na dowolność i spontaniczność. „Znakomity" naśladowca Iwana Groźnego – Józef Stalin – cynicznie przyzwalał na mordy i gwałty wobec cywilów („aby żołnierze Armii Czerwonej mogli mieć odrobinę osobistej satysfakcji"). I to się nie zmieniło. Młodzi ludzie z epoki smartfona zachowują się identycznie jak ich dziadkowie z 1920 roku. Ile jest w tym zamierzonej taktyki łamania hartu ducha obrońców (przypomina to przeraźliwe syreny podczepione do pikujących stukasów), a ile rzeczywistego strachu przed śmiercią pisaną tysiącom agresorów? Nie wiem.

W ODRÓŻNIENIU OD DAWNYCH EPOK, KIEDY POKONANY WRÓG MÓGŁ Z CZASEM ZOSTAĆ SOJUSZNIKIEM, A NAWET OBYWATELEM RZYMU, TOTALITARYZMY W RODZAJU NAZIZMU CZY KOMUNIZMU NIE MOGŁY POZWOLIĆ SOBIE NA TAKI LUKSUS.

Niewykluczone też, że współczesne barbarzyństwo jest emanacją strachu, wściekłości i paranoi Naczelnego Ludobójcy, który ukryty w sterylnym bunkrze wie, że już przegrał zarówno swoje miejsce w historii, jak i marzenia o imperium, a obecnie żyje tylko tak długo, aż jeden z jego pretorianów nie straci cierpliwości i nie wyświadczy przysługi Rosji i światu. ■

eprasa.pl d1d189da9f

Tomasz Sakiewicz

Symbole Rosji jak symbole nazizmu

Symbolika w czasie wojny ma ogromne znaczenie. W przeszłości oddziały wojskowe gromadziły się wokół chorągwi i ruszały do boju z hymnem na ustach. Dla własnego herbu żołnierze ginęli. Symbole nie są abstrakcją, lecz kwintesencją wspólnoty. Mają pomóc odnaleźć swoją tożsamość i właściwie ją zdefiniować. Dlatego państwa jedne symbole chronią, a innych zakazują. Spotkało to znaki nazistowskie po II wojnie światowej, a po 1989 roku – bardzo niekonsekwentnie – niektóre komunistyczne. Zakaz propagowania symboli państw zbrodniczych wiązał się jednocześnie z obostrzeniem szerzenia związanych z nimi ideologii, co miało w rezultacie uniemożliwić odbudowę niebezpiecznych dla ludzkości ruchów politycznych. Nazizm w warstwie symbolicznej został zduszony i współczesny imperializm niemiecki, choć pojawiający się w realnej polityce, musi robić wszystko, by uniknąć skojarzeń z niechlubną przeszłością, a to nakłada na niego poważne ograniczenia.

Rosji niestety się upiekło. Po pierwsze, wracając od symboliki sowieckiej do panrosyjskiej, mogła udawać, że nie ma nic wspólnego z komunizmem i jego zbrodniami. W dodatku, jak wyżej wspomniałem, symboli komunistycznych zakazywano bardzo niekonsekwentnie, a w Rosji nie zrobiono tego w ogóle. W efekcie wkraczające na Ukrainę wojska wiozły symbole ZSRS i pewnie nie tylko dlatego, że z tych czasów pochodzi spora część sprzętu najeźdźców, lecz także dlatego, że Związek Sowiecki był po prostu najsilniejszą emanacją rosyjskiego imperializmu. O ile dla większości rozumnych ludzi jest oczywiste, że teraz trzeba już twardo zakazać sowieckich symboli, o tyle pewną nowością jest pojawiający się pomysł zakazu symboli rosyjskich. To postulat ważny i racjonalny. Do tego powinniśmy ostatecznie dążyć, bo symbole Rosji są jedną z inspiracji zbrodniczej ideologii.

To państwo w swojej historii zawsze było zbrodnicze. Funkcjonowało wyłącznie w oparciu o podbój i terror. Ostatnie sto lat to najbardziej krwawy okres w jego historii. I nie ma znaczenia, czy była to Rosja biała czy czerwona. Nie można więc uznać Rosji wraz z jej państwową ideologią za coś innego niż najstarsze w historii państwo bandyckie. I dlatego nie może być traktowane normalnie. Oczywiście trudno nakazać krajom, które utrzymują stosunki dyplomatyczne z Federacją Rosyjską, żeby usuwały z ich ambasad rosyjskie flagi. Ale w instytucjach kultury, sportu i społecznych symbolikę Rosji można po prostu zakazać. Póki istnieje taka Rosja jak dzisiejsza, musi być ona izolowana, również w warstwie symbolicznej. To zdecydowanie utrudni wszelkie formy współpracy z Moskwą i wymusi wcześniej czy później zmiany. Posiadanie rosyjskiego paszportu powinno być powodem konsternacji i problemem. Nie twierdzę, że wszyscy Rosjanie są winni temu, co wyrabiają Putin i większość jego rodaków, lecz wobec masowego poparcia dla tej polityki ciężar dowodu tych przyzwoitych jest po ich stronie. Pamiętamy międzynarodowe problemy RPA w czasie apartheidu. Co najmniej takie same trudności powinna mieć Rosja, która napada nieustannie na swoich sąsiadów. Izolacja Rosji również w warstwie symbolicznej pomoże zdestabilizować jej gospodarkę i zakończyć okres wojen. Izolacja ta powinna się zakończyć wraz z całkowitym potępieniem przez to państwo imperialnej ideologii i udowodnieniem, że potrafi żyć w pokoju.

> PÓKI ISTNIEJE TAKA ROSJA JAK DZISIEJSZA, MUSI BYĆ ONA IZOLOWANA, RÓWNIEŻ W WARSTWIE SYMBOLICZNEJ.

Niemożliwe? Oczywiście, że możliwe. Nawet Niemcy przebrały się za gołąbka pokoju i same narzucają sobie ograniczenia w polityce, co doprowadziło do rozbrojenia ich armii. Rosja też może się zmienić, ale wyłącznie pod stałą i długotrwałą presją. ■

eprasa.pl d1d189da9f

Gazeta Polska codziennie

CYKL ARTYKUŁÓW

WYBITNI POLSCY EKONOMIŚCI

NARODOWY BANK POLSKI

Projekt realizowany z Narodowym Bankiem Polskim w ramach programu edukacji ekonomicznej

eprasa.pl d1d189da9f